

NOBEL 2007
LESSING
PAMIĘTNIK PRZETRWANIA

„DLA MNIE LESSING JEST WIELKĄ AUTORKĄ”

Olga Tokarczuk
PAMIĘTNIK PRZETRWANIA
©

DORIS
LESSING
PAMIĘTNIK PRZETRWANIA
PRZEŁOŻYŁ
BOGDAN BARAN
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Tytuł oryginału
The Memoirs of a Survivor
Copyright 1974 by The Octagon Press
Copyright for the Polish edition
by Wydawnictwo Literackie, Kraków 1990, 2007
Copyright for the Polish translation by Bogdan Baran
ISBN 978-83-08-04157-4

Mojemu synowi Peterowi

Wszyscy pamiętamy tamten czas. Dla mnie był taki sam jak dla innych. A jednak ciągle sobie opowiadamy szczegóły wspólnie przecież przeżytych wydarzeń, powtarzamy to wszystko, słuchamy, jakbyśmy chcieli powiedzieć: „Z tobą też tak było, prawda? A więc to by się potwierdziło, tak, to tak właśnie było, musiało tak być, nie przywidziało mi się”. Porównujemy i dyskutujemy jak ludzie, którzy w czasie podróży zobaczyli jakieś niezwykle stwory: „Pamiętasz tę rybę? Tę wielką, niebieską? A nie, ty widziałeś żółtą”. Ale morze, przez które płynęliśmy, było to samo, długi okres niepokoju i napięcia przed końcem taki sam dla wszystkich, wszędzie, w mniejszych jednostkach naszych miast — na ulicach, w kompleksie wysokich bloków mieszkalnych, w hotelu — taki sam jak w miastach, w narodach, na kontynencie... owszem, przyznaję, że w dość ekstrawaganckich obrazach rozważamy tu charakter tych wydarzeń: osobliwa ryba, oceany i tak dalej. Ale może nie byłoby od rzeczy stwierdzić, że my wszyscy będziemy spoglądać wstecz na

7

pewien okres życia, pewien ciąg wydarzeń i znajdować tam więcej niż oni w tamtym czasie. Dotyczy to nawet tak pospolitych spraw, jak na przykład śmieci na placu po weekendzie. Ludzie będą porównywać zapiski, jak gdyby pragnęli lub spodziewali się potwierdzenia czegoś, na co same wydarzenia nie zezwalały — a nawet czegoś, co w ogóle wykluczały. Szczęście? Podejmowałam w życiu to słowo od czasu do czasu, oglądałam je — ale nigdy nie stwierdziłam, by zachowywało swój kształt. A zatem sens, cel? W każdym razie przeszłość oglądana z tym nastawieniem umysłu zostaje jakby zanurzona w substancję, która wydawała się jej obca, zewnętrzna wobec doświadczenia jej. Być może taka jest materia rzeczywistej pamięci? Nostalgia, nie; nie o tym mówię — o pragnieniu, żalu, o tej trującej tęsknocie. Nie chodzi też o wagę, którą staramy się przypisać swej niezbyt znaczącej przeszłości: „Wiesz, ja tam byłem. Ja to widziałem”. Ale może ta właśnie nasza skłonność usprawiedliwi moje wybujałe metafory. Naprawdę widziałam ryby w tym morzu, tak jakby wieloryby i delfiny postanowiły się pokazać w szkarłacie i zieleni, ale wtedy nie rozumiałam jeszcze, co właściwie widzę, i na pewno nie wiedziałam, na ile moje osobiste doświadczenie było wspólne, powszechne: spoglądając wstecz, to właśnie rozpoznajemy najpierw — nasze podobieństwa, nie różnice.

8

Jak teraz wiemy, tym, co dotyczyło wszystkich, ale co każdy z nas uważał za przejaw własnej, uparcie pielęgnowanej oryginalności, było, że wydarzeń nie obserwowaliśmy poprzez środki oficjalnego przekazu. Przyzwoite. Do wiadomości radiowych, gazet i oświadczeń przywykliśmy i nikt ich nie potępiał: bez nich stalibyśmy się przygnębieni i lękliwi, bo przecież trzeba mieć oficjalny stempel, zwłaszcza, gdy nic nie dzieje się zgodnie z oczekiwaniami. W istocie jednak każdy z nas uświadamiał sobie w pewnym momencie, że to nie z oficjalnych źródeł czerpiemy owe fakty, które układają się w obraz całkowicie odmienny od tego, jaki jest oficjalnie rozpowszechniany. Ciągi słów utrwały zdarzenia w pewien obraz, niemal opowieść: „I wtedy zdarzyło się to a to, i ten a ten powiedział...”, ale coraz częściej słowa te wypadały podczas rozmowy, a może nawet same z siebie. „Tak, oczywiście — myślało się. — Właśnie. Wiem to od pewnego czasu. Nie uświadomiłem sobie tego, bo nie słyszałem o tym w taki sposób jak teraz...” Postawy wobec władz, wobec „nich” i „onych” były coraz bardziej sprzeczne, a każdy miał przekonanie, że żyje w jakiejś szczególnie anarchistycznej grupie. Oczywiście niesłusznie. Wszędzie było tak samo. Ale może lepiej odłożyć ten temat na później, a tu zauważyć tylko, że użycie słowa „to” jest zawsze oznaką kryzysu, społecznego lęku. Cała prze-

9

paść dzieli stwierdzenia: „Dlaczego oni, u diabła, są tacy bez pojęcia!” i „Boże, jak strasznie!”, podobnie jak owo „Jak strasznie” różni się z kolei od „Tu też się to zaczyna” albo „Słyszałeś o tym coś więcej?”.

Rozpocznę to opowiadanie od czasu, gdy nie zaczęliśmy jeszcze mówić o „tym”. Byliśmy wtedy dopiero na etapie powszechnego zaniepokojenia. Działo się niezbyt dobrze, a nawet całkiem źle. Bardzo wiele spraw nie wychodziło, załamywało się, upadało lub było w stanie „alarmującym”, jak mógłby to ująć język komunikatów. Ale „to” w sensie czegoś odczuwanego jako bezpośrednie, nieodwracalne zagrożenie nie pojawiło się jeszcze.

Mieszkałam w jednym z bloków na osiedlu. Mieszkałam na parterze, na poziomie ziemi, a nie jak w jakiejś powietrznej wiosce pośród ptaków dążących swoimi drogami, gdzie ciekawskie lub badawcze oko wydeptuje niewidzialną ścieżkę od okna do okna, ruch uliczny zaś i ludzkie sprawy pozostają daleko w dole. Nie, należałam do tych spoglądających w górę i wyobrażających sobie, jak by to było tam, wyżej, gdzie okna otrzymują lepsze powietrze, a drzwi prowadzą do wind, a stamtąd w dół, w dół, pomiędzy odgłosy ruchu ulicznego, woń chemikaliów i roślin... na ulicę. Tych bloków nie budowała rada miejska, ściany miały pobazgra-ne, windy cuchnęły moczem, hole wejściowe pomazane były odchodami. Bloki nie tworzyły pio-

10

nowych ścian wzdłuż ulic dla ludzi ubogich, lecz były domami zbudowanymi z prywatnych funduszy: masywne, rozsiane szeroko po żyznych gruntach — dawniej żyznych. Ściany miały grube, przeznaczone dla rodzin, które stać było na opłacenie ochrony swej prywatności. Wejście rozszerzało się w obszerny hol wyłożony dywanami, stały tu nawet kwiaty, sztuczne, ale dość ładne. Mieszkał też dozorca. Bloki te stanowiły dla tego typu budynków wzór solidności i porządku.

W owym czasie jednak, gdy tak wielu opuściło miasto, rodziny zamieszkujące te budynki nie pochodziły już z warstwy, dla której je wzniesiono. Tak jak od wielu lat puste domy na rozpadających się ulicach dla ubogich zajmowały rodziny lub całe klany przybyłe do miasta i od dawna już nie można było powiedzieć: to jest dzielnica klasy robotników, jednolita dzielnica. Tak samo w tych wielkich budynkach, zamieszkiwanych kiedyś tylko przez zamożnych, przez ludzi interesu i popłatnych zawodów, gnieździły się teraz rodziny lub całe klany rodzin ubogich. Doszło do tego, że mieszkanie lub dom należały do tych, którzy zdecydowali się tam wprowadzić. Dlatego na korytarzach budynku, w którym mieszkałam, można było, niczym na ulicy lub targu, spotkać wszelkiego rodzaju ludzi.

W dalszej części korytarza mieszkanie takie samo jak moje zajmował profesor z żoną i córką; nade

11

mną mieszkała rodzina Hindusów wraz z licznymi krewnymi i przyjaciółmi. Wspominam o tych dwóch grupach lokatorów, ponieważ znajdowały się najbliżej mnie i ponieważ chciałabym

zauważyć, że świadomości, co dzieje się za ścianą lub nad sufitem, nie brakowało przed rozpoczęciem... czego? Tu mam prawdziwy kłopot, bo nie mogę tego uchwycić, określić, i nie mówię teraz o owej społecznej presji i wydarzeniach, co zamykamy w słowach typu „oni”, „ich”, „to” i tak dalej, lecz o własnych osobistych odkryciach, które w owym czasie stały się tak natarczywe i tak mną zawładnęły. Nie mogę powiedzieć: „Tego a tego dnia zauważyłam, że za ścianą toczy się pewnego rodzaju życie”. Ani nawet, że: „Wiosną owego roku zauważyłam...”. Nie, świadomość innego życia toczącego się tak blisko mnie i ukrytego przede mną rozwijała się powoli i można by ją zaliczyć do tej kategorii rozumienia, jaką wyrażamy określeniem „uświadamiać sobie”, co ma oznaczać stopniowe otwieranie się na rozumienie. Takie otwieranie się, taki rozwój może być sprawą tygodni, miesięcy, lat. I oczywiście można coś „wiedzieć” i nie „dowiedzieć” się o tym. (Można również coś wiedzieć i potem zapomnieć!) Spoglądając wstecz, mogę stanowczo stwierdzić, że rozwój tego innego życia czy też formy bytu za ową ścianą miałam gdzieś w tle swojego umysłu na długo przed uświadomieniem sobie, że nasłuchu-

12

ję i podsłuchuję. Nie potrafię jednak ustalić daty ani okresu. Na pewno wewnętrzne zainteresowanie poprzedzało tę inną, publiczną troskę, której nadałam, mam nadzieję nie nazbyt swobodne, określenie „to”.

Nawet w najbardziej niejasnych przeczuciach nie przypuszczałam, że to, czego świadomości powoli nabieram, co prawie sobie uświadamiam, różni się jakościowo od tego, co naprawdę działo się wokół mnie: nad moją głową w żywym, zajęтым i ciepłym życiu rodzinnym Hindusów, którzy przybyli, zdaje się, z Kenii — a także różniło się od tego, co dobiegało mnie z pomieszczeń zajmowanych przez profesora White'a i jego rodzinę — ich kuchnia i moja miały wspólną ścianę, przez którą pomimo grubego muru uzyskiwaliśmy wiadomości o sobie.

Nie uświadamiałam sobie, czy też nie chciałam przyjąć wszystkich konsekwencji tego, że za ścianą mojej bawialni coś się dzieje; wynikało to stąd, że za ścianą był korytarz. Ściśle mówiąc, nie powinnam słyszeć tego, co słyszałam. Odgłosy z korytarza, nawet dość ruchliwego, są ograniczone. Służy on przemieszczaniu się z miejsca na miejsce: ludzie przechodzą nim pojedynczo, parami, grupami, rozmawiając lub w milczeniu. Korytarz biegł od wejścia do budynku obok moich drzwi, dalej obok drzwi White'ów i skręcał ku mieszkaniom po

13

wschodniej stronie parteru. Przechodzili tędy profesor, członkowie jego rodziny i ich goście, ja i moi goście, dwie rodziny ze wschodniej części i ich goście. A więc był dość uczęszczany. Często, choć kroki i głosy tłumił gruby mur, mówiłam do siebie: „To musi być profesor, wcześniej dziś wraca”, albo: „To chyba Janet idzie ze szkoły”.

Aż przyszedł moment, kiedy musiałam uznać, że za tą ścianą znajduje się pokój, może nawet więcej niż jeden, cały kompleks pokoi, zajmujący tę samą przestrzeń co korytarz lub raczej przecinający się z nim. Uświadomienie sobie tego, przekonanie, że już od dawna miałam poczucie czegoś takiego, opanowało mnie z całą mocą, gdy stwierdziłam, że prawie na pewno będę musiała opuścić to miasto. Oczywiście poczucie tej konieczności miał wówczas każdy, świadomość, że będziemy musieli wyjechać, nie dotyczyła tylko mnie. To przykład czegoś, o czym już wspominałam: pomysłu przychodzącego do głowy wszystkim równocześnie i bez udziału władz. To znaczy bez ogłaszania przez głośniki lub z trybun, w gazetach, radiu, telewizji. Wiadomo, że obwieszczenia wszelkiego rodzaju były ogłaszane nieustannie, ale w przeciwieństwie do tej innej informacji nie były przyswajane przez społeczeństwo. Ogólnie biorąc, ludzie starali się nie zwracać uwagi na to, co władze mówią... to znaczy, niezupełnie tak. Informację publiczną dyskutowano, spie-

14

rano się z nią i utyskiwano na nią, ale miała ona wpływ o innym charakterze. Może traktowano ją jak rozrywkę? Nie, to też nietrafne. Rzecz w tym, że ludzie pod jej wpływem nie brali się do działania, chyba że zmuszeni. Ale te inne wieści, nadchodzące nie wiedzieć skąd, „wiszące w powietrzu”, mobilizowały wszystkich do czynu. Na przykład na parę tygodni przed oficjalnym ogłoszeniem, że pewne podstawowe produkty żywnościowe będą racjonowane, spotkałam w holu dziadków Meh-tów — parę starszków. Wlekli worek ziemniaków. Ja także niosłam zapasy.

Skinęliśmy sobie głowami i uśmiechnęli się z wzajemnym uznaniem dla własnej przezorności. Pamiętam też, jak wymieniałam z panią White poranne powitanie na chodniku przed głównym wejściem. Powiedziała jakby od niechcenia: „Nie pobędziemy tu chyba długo”. A ja na to: „Mamy jeszcze kilka miesięcy, ale istotnie, powinniśmy się już przygotować”. Mówiliśmy o tym, o czym mówili wszyscy, o potrzebie opuszczenia miasta. Nie było żadnych oficjalnych wzmianek, że należy wyjechać. Więcej nawet, władze nie zdawały sobie sprawy, że miasto się wyludnia. Może mimochodem wspomniano o tym, ale w sensie czegoś innego, zjawiska przejściowego, nie zaś istotnego procesu w naszym życiu.

Nie było żadnego konkretnego powodu do wyjazdu. Wiedzieliśmy, że na południu i na wscho-

15

dzie służby komunalne przestały funkcjonować i że rozszerza się to w naszym kierunku.

Wiedzieliśmy, że ową część kraju opuścili wszyscy z wyjątkiem band, głównie młodocianych, którzy żywili się tym, co udało im się znaleźć: niezebrany zbożem na polach, zwierzętami, które uniknęły zabicia, zanim wszystko się załamało. Bandy te, czy raczej gangi, nie były, trzeba przyznać, szczególnie brutalne czy szkodliwe dla ludzi, którzy nie opuścili tamtych stron. Nawet „współpracowały z siłami prawa i porządku”, jak to ujmowały komunikaty. Potem, gdy zaczęło ubywać żywności i zagrożenie, jakiegokolwiek ono było, które po raz pierwszy zmusiło ludzi do ucieczki przed nim, zbliżyło się, gangi stały się niebezpieczne i gdy przeciągały przez przedmieścia naszego miasta, ludzie schodzili im z drogi i kryli się w domach.

Tak się działo od wielu miesięcy. Częścią naszego codziennego życia stały się ostrzeżenia, najpierw przez pogłoski, potem przez oficjalne komunikaty, że gangi penetrują taki a taki rejon, którego mieszkańcy ukryli się w domach, by przeczekać niebezpieczeństwo, że nowe gangi zbliżają się do tego czy tamtego rejonu, którego mieszkańcom doradza się strzeżenie swego życia i mienia, że inna dzielnica, uprzednio zagrożona, jest znowu bezpieczna.

Tam, gdzie ja mieszkałam, w północnej części miasta, gangi nie przemierzały ulic jeszcze długo

16

po tym, jak południowe przedmieścia zdążyły do nich przywyknąć. Nawet gdy niektóre części naszego miasta oswoiły się z anarchią, my, na północy, myśleliśmy i mówili o sobie jako o specjalnie chronionych. Kłopoty znikną, rozpląną się, przeminą... Tak bardzo przywykliśmy do dotychczasowego życia, że dwa lub trzy pojawienia się gangów na naszych przedmieściach wydały się incydentami, które z pewnością się nie powtórzą. Powoli zaczęliśmy jednak rozumieć, że to właśnie okres spokoju i normalności, a nie grabieży i bójek, będzie dla nas teraz czymś niezwykłym.

I dlatego będziemy musieli się wyprowadzić. Tak, wyruszymy. Nie od razu wprawdzie. Ale wkrótce stanie się to konieczne, a my o tym wiedzieliśmy... i przez cały ten czas moje zwykłe życie było proscenium, oświetlonym polem — jeśli mogę tak to ująć — jakiejś tajemnicy, która była obecna (od dawna się istoczyła) „gdzieś indziej”. Coraz silniej odczuwałam, że moje zwykłe życie codzienne jest nieistotne. Nieważne. Ta ściana stała się dla mnie — jak to wyrazić... chciałam powiedzieć: obsesją. Czy słowo to ma oznaczać, że jestem gotowa zdradzić ścianę, to, co sobą przedstawiała, odesłać ją w sferę patologii? Albo że niepokoiło mnie własne nią zainteresowanie? Nie, czułam raczej, jakby środek ciężkości mojego życia przesunął się, zmianie uległa pozycja szalek wagi i zaczęłam wierzyć

17

— jeszcze z pewną przykrością — że to, co się dzieje za ścianą, może być równie ważne jak moje życie w tym schludnym i wygodnym, mimo że nędznym, mieszkaniu. Stawałam w salonie — gdzie przeważały barwy kremowa, żółta i biała, a przynajmniej było ich na tyle, by przy wejściu do pokoju wywoływać wrażenie, iż wchodzi się w pełny blask słońca

— czekałam i patrzyłam w milczeniu na ścianę. Solidną. Zwykłą. Bez okna ni drzwi: drzwi z przedpokoju były w sąsiedniej ścianie. Był też kominek, nie na środku, ale nieco z boku, tak że pokaźna przestrzeń ściany pozostawała całkowicie pusta: nie zawieszałam obrazów ani żadnych tkanin. „Biel” ścian pociemniała i nie dawała wiele światła, jeśli nie padało na nie słońce. Kiedyś ściany pokrywały tapety. Zostały zamalowane, ale spod farby przebijały jeszcze zarysy kwiatów,

liści, ptaków. Kiedy rankiem słońce padało na jakiś fragment ściany, na wpół zatarty wzór wyłaniał się tak wyraźnie, że przywodził na myśl zarysy drzew i ogrodu i zaczynało się wierzyć, że ta struga światła stwarza barwy

— zielenie, żółć, pewien odcień muszelkowego różu. Ściana nie była wysoka: sufit znajdował się na dogodnej wysokości.

Jak widać, nie mam do powiedzenia o tej ścianie nic, co pozbawiłoby ją banalności. Ale stanie tam i spoglądanie na nią albo myślenie o niej podczas innych zajęć w mieszkaniu, ze świadomością

18
jej istnienia stale obecną w umyśle, przypominało trzymanie przy uchu jaja, z którego właśnie ma się wykluc pisklę. Ciepły gładki kształt na dłoni drży. Wydaje się, jakby pod cieniutką skorupką, którą można zgnieść dwoma palcami, ale której nie można naruszyć przed porą wyklucia się pisklęcia, ściśle i dokładnie określoną porą wyjścia z ciemnego więzienia, ciężar sam się przemieszczał, jak wówczas, gdy płód zmienia pozycję w łonie. Rozlega się leciutki brzęk. Następny. Pisklę z głową pod skrzydełkiem wydziubuje sobie drogę na zewnątrz i oto już drobniutkie cząstki wapiennej skorupki gromadzą się na powierzchni w miejscu, w którym za moment ukaże się pierwszy czarny, gwiazdzisty otworek. Łapałam się na tym, że przykładam ucho do ściany jak do jaja z pisklęciem, nasłuchuję i czekam. Nie na odgłosy kroków pani White czy profesora. Mogli właśnie wychodzić albo właśnie wracać; mogły to być w gruncie rzeczy odgłosy z korytarza. Nie, to, czego nasłuchiwałam, pochodziło skądinąd. Ale były to same w sobie odgłosy znane: szuranie krzesel, głosy, choć z bardzo daleka, płacz dziecka. Nic wyraźnego. Ale były znane, słyszałam je przez całe swoje życie.

Pewnego ranka stałam z porannym papierosem — pozwalałam sobie na tego jednego papierosa dziennie — i przez wijący się błękitny dym patrzyłam, jak żółty blask słońca układa się w skróconą,

19

rozszerzającą się smugę, czyniąc ścianę na środku jakby wyższą niż po bokach. Patrzyłam na lśnienie i migotanie żółci, patrzyłam, jak gdybym słuchała, myśląc przy tym, jak wraz ze zmianą pór roku zmienia się kształt, rozmiar i pozycja tej smugi porannego światła... i nagle przedostałam się przez ścianę i poznałam, co tam się znajduje. W pierwszej chwili potrafiłam tylko stwierdzić, że jest to jakiś kompleks pokoi. Pokoje wyglądały na opuszczone. Może od lat. Nie było mebli. Farba łuszczyła się tu i ówdzie na ścianach i zalegała cienkimi płatkami podłogę, wraz ze strzępami papieru, martwymi muchami i kurzem. Nie weszłam tam, tylko stałam na krawędzi dwóch światów — mojego dobrze znanego mi mieszkania i tych pokoi, spokojnie czekających przez cały ten czas. Stałam i patrzyłam. Czułam niezwykle żywe nadzieje, jakąś tęsknotę: to miejsce miało to, czego potrzebowałam, wiedziało, że tu jestem, czekało... o tak, całe moje życie, całe moje życie. Znałam to miejsce, rozpoznawałam je, i to zanim jeszcze mój wzrok mógł stwierdzić, że ściany są dużo wyższe niż u mnie, że mają wiele okien i drzwi i że jest to wielkie, jasne, przestronne, przyjemne mieszkanie, a może dom. W jednym z dalszych pokoi dostrzegłam drabinę malarza, a potem, gdy światło słoneczne zniknęło z mojej ściany, bo słońce przesłoniła właśnie chmura, ujrzałam kogoś w białym kombinezonie malarskim podnoszącego

20

rolkę, by położyć białą farbę na wyblakłej i poplamionej powierzchni.

Zapomniałam o tym epizodzie. Wiodłam dalej swe codzienne życie, świadoma życia za ścianą, ale nie pamiętając o swoich tam odwiedzinach. Dopiero w parę dni później, gdy ponownie z papierosem w dłoni stałam tam rano, obserwując przez obłok dymu światło słoneczne na ścianie, pomyślałam: „Ejże! Przecież ja tam byłam, oczywiście, że byłam. Jak mogłam zapomnieć?”. I ściana ponownie rozmyła się, a ja znów byłam po drugiej stronie. Pokoi było więcej, niż wydawało mi się poprzednim razem. Byłam o tym przekonana, choć nie widziałam ich wszystkich. Ani też nie widziałam mężczyzny czy kobiety w kombinezonie. Pokoje były puste. Ileż pracy trzeba by włożyć, żeby dało się w nich zamieszkać! Tak, zajęłoby to na pewno tygodnie, miesiące... Stałam, obserwując odpadający tynk, zacieki w rogu sufitu, brudne i zniszczone ściany. Ale to właśnie tego ranka, gdy zaczynałam pojmować, ile pracy trzeba by w to włożyć, ujrzałam na ułamek sekundy...

właściwie co? Nie bardzo wiem, jak to nazwać. Może było to bardziej uczucie niż coś ujrzanego. Jakaś słodycz, na pewno... powitanie, ukojenie. Może ujrzałam jakąś twarz, może jej cień. Twarz, którą później zobaczyłam wyraźnie, była mi znana, ale być może ta twarz, widziana tak jak wszystko, co skończone, pojawia się w mej pamięci

21

w tym właśnie miejscu, w czasie tej wczesnej drugiej wizyty: przesłała swój obraz wstecz, nie pragnąc niczego więcej jako gospodarz lub zwierciadło prócz uczucia miłej tęsknoty; pragnienie jej było prawdziwą jej naturą. To była prawowita mieszkanka pokojów za ścianą. Ani wtedy, ani później nie miałam co do tego wątpliwości. Wygnana mieszkanka, bo przecież nie mogłaby żyć, nie mogła była żyć w tych zimnych pustych pomieszczeniach pełnych brudu i stęchłego powietrza. Kiedy stwierdziłam, że ponownie stoję w swoim salonie, z papierosem do połowy wypalonym, miałam silne poczucie obietnicy, które nie opuściło mnie już potem nawet w najtrudniejszych sytuacjach, zarówno mojego życia, jak i życia tych tajemniczych pokoi.

Dziecko dostało mi się tak oto. Byłam akurat w kuchni, a usłyszawszy jakieś odgłosy, weszłam do salonu; ujrzałam tam stojącego mężczyznę z dziewczynką. Nie znałam ich i zbliżyłam się z zamiarem wyjaśnienia pomyłki. Pomyślałam, że na pewno zostawiłam otwarte drzwi wejściowe. Odwrócili się do mnie. Pamiętam, że już wtedy uderzył mnie żywy, ale surowy i nerwowy uśmiech na twarzy dziewczynki. Mężczyzna — w średnim wieku, zwyczajnie ubrany, przeciętny w każdym calu — powiedział:

— To jest to dziecko.

22

I już zmierzał do wyjścia. Położył dłoń na jej ramieniu, uśmiechnął się do niej i skinął jej głową, po czym odwrócił się. Zaczęłam:

— Ale to na pewno...

— Nie, to nie pomyłka. Odpowiada pani za nią. Był już u drzwi.

— Ale chwileczkę...

— Nazywa się Emily Cartright. Proszę się nią opiekować.

I wyszedł.

Staliśmy tam, dziecko i ja, patrząc na siebie. Pamiętam, że pokój był pełen porannego słońca. Zastanawiałam się, jak tych dwoje się tu dostało, ale skoro mężczyzna już poszedł, nie wydawało się to istotne. Podbiegłam do okna: ulica z paroma drzewami wzdłuż chodnika, przystanek autobusowy, jak zwykle z kolejką ludzi czekających, czekających... a pod drzewami na szerokim trotuarze po drugiej stronie ulicy kilkoro dzieci z mieszkania Mehtów z góry gra w piłkę — ciemnoskórzy chłopcy i dziewczynki, wszyscy w olśniewająco białych koszulkach, sukienkach o żywych, różowych i niebieskich barwach, wszyscy o białych ząbkach, lśniących włosach. Ale ani śladu człowieka, którego szukam.

Odwróciłam się do dziewczynki, myślałam, co tu powiedzieć, jak się zaprezentować, jak ją potraktować — wszystkie te żalosne małe sposoby i chwytły naszych prób samookreślenia. Patrzyła na mnie

23

uważnie, bacznie: pomyślałam, że jest to fachowa ocena, na co można sobie pozwolić, dokonywana przez więźnia obserwującego nowego dozorcę. Zrobiło mi się ciężko na duszy: strach! Mój umysł nie chwycił jeszcze wiele z tego, co się działo.

— Emily? — zaczęłam pytająco, z nadzieją, że sama odpowie na pytania rodzące się w mojej głowie.

— Emily Mary Cartright — odrzekła w sposób, który dobrze pasował do jej żywego, ale obcego głosu i uśmiechu.

Wyzywająca? W każdym razie twardy, kamienny charakter. Staralam się go ominąć; uświadamiałam sobie, że rozpaczliwie daję sygnały — uśmiechem, gestami — które może dotrą do czegoś delikatniejszego i cieplejszego, co musi się kryć za tym jej zimnym pancerzem ochronnym.

— Może usiądziesz? Zrobić ci coś do jedzenia? Może herbaty? Mam trochę prawdziwej herbaty, ale oczywiście...

— Czy mogłabym zobaczyć swój pokój? — przerwała. Teraz jej oczy wyrażały bezwiednie prośbę. Musi, koniecznie musi się dowiedzieć, jakimi ścianami, jakim schronieniem będzie mogła się owinać dla pociechy niczym kocem.

— Właściwie — powiedziałam — to jeszcze nie pomyślałam, jeszcze zupełnie... muszę... Jej twarz jakby się skurczyła. Ale powstrzymała swą niewątpliwą rozpacz.

24

— Widzisz — ciągnęłam — nie spodziewałam się... zaraz pomyślimy.

Czekała. Czekała uparcie. Wiedziała, że ma mieszkać ze mną. Wiedziała, że jej schronienie, jej cztery ściany, jej jaskinia, mała przestrzeń, która jest wyłącznie jej i w którą będzie mogła wypełznąć, znajduje się gdzieś tu.

— Jest jeden zapasowy pokój — powiedziałam. — Tak go nazywam. Ale to niezbyt...

Ruszyłam jednak, pamiętam, bezradna i nieszczęśliwa, do małego przedpokoju, a stamtąd do zapasowego pokoju.

Mieszkanie znajdowało się we frontowej części budynku, po stronie południowej. Salon zajmował najwięcej przestrzeni: to ze względu na jego rozmiary wzięłam to mieszkanie. Na końcu, tak iż trzeba było przechodzić przez salon, znajdowała się kuchnia, w samym rogu budynku. Całkiem obszerna, miała kredensy i spiżarnię i była także jadalnią. Z przedpokoju wiodło dwoje drzwi, jedno do salonu, drugie do pokoju, który zwałam zapasowym. Ten pokój był obok łazienki. Moja sypialnia mieściła się z przodu budynku, wchodziło się przez salon. Łazienka, przedpokój i pokój zapasowy miały w sumie taki sam metraż jak sypialnia, która jednak nie była zbyt duża. Widać więc, że zapasowy pokój był maleńki. Miał małe, wysoko umieszczone okno. Było tam duszno. Nie dało się go w żaden sposób upiększyć.

25

Korzystałam z niego tylko w celu przechowywania różnych rzeczy lub w celu przenocowania z wielkimi przeprosinami kogoś z przyjaciół.

— Przepraszam, że taki mały i ciemny... może powinniśmy...

— Nie, nie, mnie to nie przeszkadza — powiedziała tym swoim zimnym, żwawym głosem, ale spoglądała na łóżko z utęsknieniem, a ja widziałam, że znalazła swoje schronienie, własne, już na dobre.

— Uroczy — stwierdziła. — Och, tak, nie uwierzy mi pani, nie wie pani, jak... — Ale nie skorzystała z okazji wyjaśnienia, czego doświadczyła, i czekała teraz, a całe jej ciało mówiło, jak bardzo chciałaby, żebym ją zostawiła samą.

— I będziemy musiały mieć wspólną łazienkę — odezwałam się.

— O, będę zawsze pilnować porządku — zapewniła mnie. — Jestem naprawdę porządna, nie robię bałaganu, naprawdę.

Byłam przekonana, że gdyby nie moja obecność i jej świadomość, że musi się grzecznie zachowywać, byłaby już pod kocem, byłaby już daleko od świata.

— Nie będę tu paskudzić — zapewniała. — Muszę pilnować czystości. Będę wszystko robić najszybciej, jak potrafię.

Zostawiłam ją i czekałam na nią w salonie, najpierw stojąc przy oknie, wyglądając i zastanawia-

26

jąc się, jakie nowe niespodzianki jeszcze mnie oczekują. Potem usiadłam, chyba w pozycji myśliciela albo w jakiejś podobnej, pełnej skupienia pozie.

Tak, to było niezwykle. Zupełnie niemożliwe. Ale przecież uznałam to „niemożliwe”. Żyłam z tym. Porzuciłam wszelkie nadzieje na zwyczajność swojego wewnętrznego świata, swojego realnego życia w tym miejscu. A co do publicznego, zewnętrznego świata, to dawno już przestał on oferować normalność. Czy można by określić te dni jako „zwyczajność niezwykłości”? Czytelnik nie powinien znajdować w tym trudności: słowa te opisują czasy, które przeżyliśmy. (Opis całego życia? — być może, ale takie myślenie niewiele pomaga).

Słowa te w każdym razie doskonale oddają atmosferę wydarzeń w momencie, gdy przyprowadzono

mi Emily. Podczas gdy wszystko się załamało, wszelkie formy społecznej organizacji, my żyliśmy nadal, porządkując swoje życie, jakby nic istotnego się nie działo. Zdumiewające, jak zdeteminowane, uparte, ciągle się odradzające były próby prowadzenia zwyczajnego życia. Kiedy nie pozostało nic albo prawie nic z tego, do czego przywykliśmy, co jeszcze dziesięć lat wcześniej uważaliśmy za trwałe, my nadal rozmawialiśmy i zachowywaliśmy się tak, jak gdyby te stare formy ciągle dla nas istniały. I rzeczywiście, stary porządek — żywność, przyjemności, nawet przedmioty luksusowe — ist-

27

niał wśród wyższych warstw, o czym wiedzieliśmy, ale oczywiście ci, którzy korzystali z tych rzeczy, niekoniecznie starali się zwracać na siebie uwagę. Porządek mógł również istnieć lokalnie w przestrzeni i czasie — przez parę tygodni czy miesięcy, lub w jakiejś dzielnicy. Wtedy dany krąg ludzi żył, rozmawiał, a nawet myślał, jak gdyby nic się nie zmieniło. Gdy zdarzało się coś naprawdę złego, na przykład dewastacja jakiegoś rejonu, ludzie wyprowadzali się na parę dni lub tygodni do krewnych i przyjaciół, po czym wracali do swoich, być może ograbionych, domów, by na nowo podejmować swą pracę, swoje gospodarstwo — swój porządek. Możemy przywyknąć do wszystkiego; to oczywiście banał, ale jeśli się przeżyło takie czasy, widać, jak straszliwie jest on prawdziwy. Nie ma nic, czego ludzie nie zaadaptowaliby do „zwyczajnego życia”. Ten właśnie fakt nadawał owemu okresowi jego szczególny posmak: połączenie tego, co osobliwe, gorączkowe, przerażające, groźne, atmosfera oblężenia lub wojny — z tym, co znajome, zwyczajne, nawet przyzwoite.

Na przykład rozgłosnie i gazety przez kilka dni podawały informację, że jakieś dziecko zostało porwane ze swojego wózka, zapewne przez jakąś ubogą, nieszczęśliwą kobietę. Setki policjantów miało przeczesać przedmieścia i okolice w poszukiwaniu dziecka, a także kobiety, by ją ukarać.

Następ-

28

na fala komunikatów donosiła jednakże o masowej śmierci setek, tysięcy, a może milionów ludzi. My zaś wierzyliśmy, chcieliśmy wierzyć, że prawdziwie dla nas reprezentatywne było to pierwsze, troska o jedno dziecko, konieczność ukarania jednego przestępcy, nawet jeśli miało to zająć wiele dni czy tygodni setkom naszych ciężko pracujących policjantów; to drugie, kataklizm, stanowiło (prezentowane zawsze ludziom z terenów nieobjętych zagrożeniem) nieszczęśliwy i mniej istotny — a przynajmniej nie decydujący — wypadek, który zakłócił równy bieg, rozwój cywilizacji. Taki stan rzeczy uważaliśmy za normalny. Na każdego z nas jednakże przychodziły chwile, gdy gra, w którą wszyscy godziliśmy się grać, najzwyczajniej nie mogła sprostać wydarzeniom: doznawaliśmy uczucia nierzeczywistości, czegoś na kształt mdłości. Może rzeczywistym wrogiem było właśnie to uczucie, że grunt usuwa nam się spod nóg... a może tak właśnie sądziliśmy. Może nasze ciche uznanie, że nie dzieje się nic wielkiego, a przynajmniej nic nieodwracalnego, brało się stąd, że prawdziwym naszym wrogiem była Rzeczywistość i że dopuszczaliśmy do siebie wiedzę o tym, co się naprawdę dzieje. Może nasze uzurpacje, uzurpacje każdego z nas, które — gdy czuliśmy się nadzy i bezbronni, wyglądały na absurdalną grę, powinniśmy uważać za godne podzi-

29

wu? A może były one konieczne, jak zabawy dzieci, które potrafią się bawić w taki sposób, by trzymać rzeczywistość z dala od swych słabości? Tak czy owak przez cały ten czas coraz bardziej trzeba było zwalczać prostą potrzebę śmiechu: nie, nie serdecznego śmiechu, co to, to nie. Raczej szyderczych pomruków i urągliwych okrzyków.

I znowu przykład: w tym samym tygodniu, gdy horda około dwustu chuliganów przeszła przez nasze osiedle, zostawiając zwłoki na chodniku po drugiej stronie ulicy, naprzeciw moich okien, zostawiając rozbite szyby, ograbione sklepy i tłące się ogniska, grupa kobiet w średnim wieku, samozwańczych strażniczek, składała na policji oficjalne protesty przeciw amatorskiej grupie teatralnej założonej przez jakichś młodych ludzi. Grupa ta napisała i wystawiła sztukę na temat napięć wewnątrz zwykłej rodziny z bloku takiego jak nasz, rodziny, która przyjęła kilku uciekinierów ze wschodnich hrabstw. (Dopóki wędrowali z gangiem, byli „chuliganami”, ale kiedy się odłączyli, by znaleźć schronienie w jakiejś rodzinie czy domu, stali się „uciekiniernami”).

Rodzina licząca pięć osób powiększyła się nagle do dwunastu, a nowy układ doprowadził do cudzołóstwa i przypadku uwiedzenia przez młodą dziewczynę mężczyzny, który, jak z oburzeniem podawały owe przyzwoite kobiety, mógłby być jej dziadkiem. Zorganizowały sesję, o nikłej frekwen-

30

cji, na temat „upadku życia rodzinnego”, „niemoralności” i „nadmiernej tolerancji seksualnej”. Oczywiście, było to śmieszne. Ale też i smutne. A także — jak sugerowałam wyżej — godne podziwu: objaw witalności owego „zwyčajnego życia”, które w końcu pokonuje chaos, nieporządek, przeciwności losu. A jeszcze wspomnijmy te niezliczone grupy obywatelskie, które powstawały aż do samego końca, i to dla wszelkich moralnych lub społecznych celów, jakie tylko można sobie wyobrazić: podwyższenia emerytur w czasie, gdy pieniądz ustępował handlowi wymiennemu, dostarczania dzieciom szkolnym witamin w tabletkach, organizowania odwiedzin u inwalidów przykutych do łóżka, załatwiania legalnej adopcji porzuconych dzieci, powstrzymania komunikatów o wszelkich drastycznych lub „nieprzyjemnych” wydarzeniach, „by nie deprawować młodych umysłów”, dyskusowania z gangami chuliganów okupujących ulice lub, alternatywnie, walki z nimi, przemierzania ulic w celu wzywania ludzi do „odbudowania przyzwoitości współżycia seksualnego”, porozumienia się co do niejedzenia mięsa psów i kotów, i tak dalej, i tak dalej — nie było temu końca. Farsa. Plucie pod wiatr; oglądanie swojej twarzy w lustrze lub zawiązywanie krawatu, gdy wokół dom się wali, wyciąganie życzliwej, beztroskiej dłoni gestem powitania do dzikusa, który z całą pewnością pochylił się i ugry-

31

zie ją... takie porównania przychodzą do głowy. Oczywiście analogie te formułowane były wówczas w rozmowach, naszym chlebie powszednim, a także przez zawodowych satyryków.

Gdy więc w takiej atmosferze, w czasie takich wydarzeń nieznany mężczyzna zjawił się w moim domu z dzieckiem, powiedział, że mam za nie odpowiadać, i wyszedł bez żadnych dalszych wyjaśnień, nie wzbudzało to jednak takiego zdumienia jak wszystkie tamte sprawy.

Kiedy Emily wyszła w końcu z łazienki, zmieniwszy sukienkę i zmywszy z twarzy to, co wyglądało na ślady łez, powiedziała:

— Dla Hugona i mnie pokój będzie trochę za mały, ale to nic a nic nie szkodzi.

Zobaczyłam u jej boku psa... nie, kota. Co to właściwie jest? W każdym razie zwierzę. Miało rozmiary buldoga i sylwetkę raczej psa niż kota, ale koci pysk.

Było żółte, miało szorstką i grubą sierść, kocie oczy i wąsy, długie, węzowy ogon. Paskudna bestia.

Hugon. Emily usiadła ostrożnie na mojej głębokiej starej sofie naprzeciw kominka, a bestia podeszła tam za nią i usiadła jak najbliżej dziewczynki, która otoczyła ją ramieniem. Spojrzała na mnie z twarzą przy kocim pysku zwierzęcia. Oboje na mnie spojrzeli, Hugon zielonymi, Emily jasnobrazowymi bystrymi i badawczymi oczami.

32

Była dużym dzieckiem, w wieku około dwunastu lat. W gruncie rzeczy nie dziecko, raczej okres przejściowy, nim wkrótce stanie się dziewczyną. Będzie ładna, a przynajmniej przystojna. Dobrze zbudowana: miała drobne dłonie i stopy, zgrabne, zdrowe i opalone nogi. Włosy ciemne i proste, zaczesane na bok i spięte klipssem.

Zacząłyśmy rozmawiać. A raczej wymieniliśmy parę uwag, czekając, aż coś się przełamie i ułatwi nam kontakt. Kiedy tak siedziała w milczeniu, zamyślenie w ciemnych oczach, usta o określonych możliwościach humoru, nastroj cierplivej, głębokiej uwagi czyniły z niej kogoś nader mi sympatycznego. Ale potem, gdy byłam pewna, że zamierza odpowiedzieć tym samym na moje wysiłki, moje zadowolenie z jej możliwości, obudziła się w niej żywa, rezolutna mała damulka — to staroświeckie słowo dobrze do niej pasowało: w jej obrazie samej siebie było coś staroświeckiego. A może był to cudzy obraz?

Zacząła trajkotać:

— Jestem strasznie głodna i Hugon też. Biedny Hugon. Nic dzisiaj nie jadł. A właściwie to ja też nie.

Zacząłam przeproszać, po czym popędziłam kupić dla Hugona jakieś psie lub kocie jedzenie,

cokolwiek uda mi się zdobyć. Znalezienie sklepu, który jeszcze miał takie rzecz'y, zajęło mi trochę
33

czasu. Sprzedawca, miłośnik zwierząt, bardzo się mną zainteresował, gorąco popierając moją wolę korzystania z prawa do hodowania „zwierzaczków”. Zwróciłam też uwagę ze dwóch klientów, ale kiedy jeden z nich mnie zapytał, przezornie nie ujawniłam, gdzie mieszkam, a do domu wróciłam okrężną drogą, upewniając się, czy ktoś mnie nie śledzi. Zajrzałam też do paru sklepów w poszukiwaniu rzeczy, którymi zwykle nie zwracałam sobie głowy, tak trudno było je wytropić i tak bardzo były drogie. W końcu jednak znalazłam trochę herbatników i słodczy całkiem przyzwoitej jakości, które mogłyby przypaść dziecku do gustu. Miałam mnóstwo suszonych jabłek i gruszek oraz zapas podstawowych produktów żywnościowych. Kiedy w końcu wróciłam do domu, dziewczynka spała na sofie, a Hugon obok niej. Swoją żółtą pysk złożył na jej barku, a ona obejmowała go ramieniem za kark. Na podłodze obok leżała jej walizeczka, licha jak mała dziecięca torba na weekendową wycieczkę. Wewnątrz mieściło się parę schludnie złożonych sukienek, sweter i dzinsy. To chyba było wszystko, co miała z odzieży. Nie zdziwiłby mnie widok misia albo lalki, ale zamiast nich była tam Biblia, książka z fotografiami zwierząt i trochę broszurowych wydań science fiction.

Zrobiłam dla obojga najlepszy powitalny posiłek, jaki tylko zdołałam. Z trudem ich obudziłam:
34

byli w stanie wyczerpania, jaki rodzi odprężenie po długotrwałym napięciu. Kiedy zjedli, zapragnęli pójść spać do łóżka, choć było jeszcze wczesne popołudnie.

I w taki sposób Emily została u mnie.

Przez pierwsze dni spała i spała. Z tego powodu i z powodu jej absolutnego posłuszeństwa podświadomie uważałam ją za młodszą, niż była. Siadywałam w salonie i czekałam w ciszy, wiedząc, że ona śpi, dokładnie tak jak w przypadku małego dziecka. Trochę poreperowałam jej rzeczy, wyprałam i wyprasowałam odzież. Zwykle jednak siedziałam, patrzyłam w ścianę i czekałam. Nie mogłam powstrzymać myśli, że mieszkanie z dzieckiem, właśnie teraz, gdy ściana zaczynała się otwierać, to duży kłopot; oni oboje bardzo mi przeszkadzali. Taka myśl wywoływała we mnie poczucie winy. Wszelkiego rodzaju uczucia, tak dawno przeze mnie zapomniane, ożyły na nowo, a ja pragnęłam po prostu przeniknąć przez ścianę i już nie wrócić. To jednak oznaczałoby zrzucenie z siebie odpowiedzialności.

Było to w dzień lub dwa po przybyciu Emily: znajdowałam się za ścianą, otwierałam drzwi, a może mijałam zakręty długich korytarzy w poszukiwaniu następnego pokoju lub ciągu pokoi. Puste. To znaczy nie dostrzegałam nikogo, choć poczucie czyjejs obecności było tak silne, że kazało mi szybko odwrócić głowę, jak gdyby ów ktoś miał

35

właśnie wyjść zza rogu, gdy byłam odwrócona plecami. Puste, ale zamieszkane. Puste, ale umeblowane... wędrując pośród tych wysokich białych ścian z pokoju do pokoju, widziałam, że pełno tam było mebli. Znałam te sofy, te krzesła. Ale skąd? Z jakiego okresu mojego życia pochodziły? Nie były w moim guście. A jednak miałam wrażenie, że należą do mnie lub do jakiegoś bliskiego przyjaciela.

Salon zdobiły blad różowe jedwabne zasłony, popielaty dywan w delikatne różowe i zielone kwiaty, dużo stolików i serwantek. Sofy i krzesła były obite materia, tu i ówdzie leżały pastelowe poduszki. Ten pokój, taki reprezentacyjny i doskonały, nie mógłby nigdy należeć do mnie. A jednak znałam tu każdą rzecz. Chodziłam tam i z powrotem, powoli popadając w irytację i rozpacz. Wszystko, na co spojrzałam, wymagało wymiany, naprawy lub czyszczenia, nic bowiem nie było tam całe ani świeże. Obicia krzesel należałoby zmienić, bo materiał się wystrzępił. Sofy były brudne. Zasłony miały drobne rozdarcia, a w miejscach zniszczonych przez mole pokryte były maleńkimi dziurkami. Z dywanu wylażyły nitki. I tak samo we wszystkich licznych pokojach, co wywoływało uczucie, jakby coś wyślizgiwało mi się spomiędzy niezgrabnych i sztywnych palców. Wszystko trzeba stąd powyrzucać, powtarzałam sobie. Opróżnić, a to, co tu jest, spalić albo wyrzucić. Lepsze puste pokoje niż

36

ta niezmiernie szacowna marnota, ta rupieciarnia. Pokój za pokojem... nie było im końca — ani pracy dla mnie. Teraz szukałam pustego pokoju z drabiną malarską i przelotnie dojrzaną postacią w kombinezonie: gdybym mogła ją znaleźć, oznaczałoby to, że początek został zrobiony. Ale pustych pokoi nie było, każdy przepełniały rzeczy wymagające naprawy.

To wszystko nie oznacza, że cała moja energia zwracała się ku temu skrytemu miejscu. Zdarzało się, że przez kilka dni o nim nie myślałam. Świadomość, że ono tam jest, w takiej lub innej postaci, rozbłyskiwała we mnie pośród codziennego życia coraz częściej. Mogłam jednak równie dobrze na wiele dni o nim zapomnieć. Gdy znajdowałam się właśnie za ścianą, nic innego nie wydawało się realne i nawet nowe i poważne obowiązki — Emily i jej nieodstępny towarzysz — wymykały się, oddalały, stawały częścią innego, odległego życia, które właściwie mnie nie dotyczyło. I dlatego tak trudno opisać mi ten okres: spoglądając wstecz, ma się teraz wrażenie, jakby istniały położone obok siebie, ściśle ze sobą związane dwa sposoby życia, dwa życia, dwa światy. Wtedy wszakże jedno życie wykluczało drugie, a ja nie oczekiwałam, żeby te dwa światy kiedykolwiek się połączyły. Nie przychodziło mi nawet do głowy, że jest to możliwe, sądziłam nawet, że nie. Zwłaszcza teraz, kiedy jest Emily,

37

zwłaszcza teraz, gdy mam tyle problemów związanych z jej zamieszkaniem u mnie.

Główny problem stanowiło wówczas — i jeszcze jakiś czas potem — to, że była tak nieskończenie grzeczna i posłuszna. Gdy wstawałam rano, ona była już na nogach, ubrana w jedną ze swych schludnych sukieneczek, odzież porządnego dziecka, którego matka pragnie, by jej dzieci były dobrze ubrane, a nawet by się wyróżniały ubiorem. Włosy miała już uczesane. Zęby umyte. Czekala na mnie w salonie, razem z Hugonem, i natychmiast zaczynała szczebiotać, opowiadając mi o tym lub owym, jak to cudownie spała, jakie miała sny albo jaka to przyszła jej do głowy zabawna, głupia lub cenna myśl — a wszystko to w gwałtownym, niemal szalonym tempie, mającym uprzedzać wszelkie moje życzenia i wszelką krytykę. A potem zaczynała na temat śniadania, jak to ona „uwielbia” je przygotowywać, „och, ona to bardzo lubi, proszę jej pozwolić”, bo ona naprawdę jest taka zręczna i pojętna. A więc szłyśmy do kuchni, bestia człapała za nami, po czym Hugon i ja zasiadaliśmy, aby obserwować jej przygotowania. Istotnie, znała się na rzeczy i robiła to sprawnie. Potem zjadaliśmy, co tam było do zjedzenia, Hugon z głową na wysokości stołu obserwował spokojnie ją, mnie, nasze ręce, twarze, a gdy dostawał kawałek jedzenia, brał je delikatnie, jak kot. Potem zgłaszała gotowość pozmywania. „Nie,

38

nie, ja uwielbiam zmywanie, może trudno uwierzyć, ale ja naprawdę to uwielbiam!” Zmywała więc naczynia i sprzątała kuchnię. Jej sypialnia była już uporządkowana, z wyjątkiem łóżka, które zawsze przypominało gniazdo z pozwijanych koców i spiętrzonych poduszek. Nigdy jej za to nie upominałam, przeciwnie, cieszyło mnie, że ma jedno takie miejsce, które uważa za swoje, w które może się schronić, uciec od tej naprawdę strasznej potrzeby bycia zawsze taką żywą i grzeczną. Niekiedy w ciągu dnia ni stąd, ni zowąd szła do swego pokoju — nagle, jakby czegoś było już za wiele. Zamykała drzwi i, byłam tego pewna, wpełzała w tę stertę bałaganu, kładła się tam i przychodziła do siebie... ale po czym? W salonie siadywała na mojej starej sofie z podwiniętymi nogami, w pozycji, która w równym stopniu była poddaniem się temu, czego można było od niej wymagać, jak i jej sposobem bycia, jej posłuszeństwem. Obserwowała mnie, jakby odgadując polecenia i życzenia, albo czytała. Upodobaniem do czytania przypominała dorosłego: widok Emily siedzącej z wybraną książką czynił jej dziecięcą żywość jeszcze bardziej nienaturalną, jakby było to rozmyślne obrażanie mnie. Albo siedziała, otaczając ramieniem żółtego zwierza, który lizał jej rękę, kładł swój koci pysk na jej ramieniu i mruczał, a pomruk wypełniał całe mieszkanie.

Czy czuła się pewnego rodzaju więźniem?

39

Nie pytałam. Nigdy, choćby raz, o nic nie zapytałam. A ona nie spieszyła z informacjami. W tym okresie, rozpoznając naturę jej zachowania, bolałam nad jej losem, ale wraz ze współczuciem, które czyniło mnie miękka i wręcz śmieszna, miotala mną irytacja, że nawet na chwilę nie potrafię przedostać się poza mur, jaki wokół siebie wzniosła. Taka więc była — poważne dziecko w

sukience grzecznej dziewczynki, najwyraźniej samotne, nieśmiałe i zdyscyplinowane, a potem nagle to szczebiotanie i paplanie, „zabawianie” mnie, małe talenciki i umiejętności ofiarowane mi w zamian za... właściwie za co? Nie uważałam się za aż taką straszną. Czułam wręcz, że nie istnieję we własnej postaci. Byłam dla niej przedłużeniem jej rodziców, a może rodzica, opiekunem, przybranymi rodzicami. Jeśli stąd wyjedziemy, to może przekaże ją komuś innemu? A może wróci po nią człowiek, który mi ją oddał pod opiekę? Przyjadą rodzice? W przeciwnym razie co ja z nią zrobię? Jeśli zacznę podróż na północ lub zachód, dołączając do powszechnej ucieczki ludności z południowej i wschodniej części kraju, to w co popadnę? W jakie życie? Nie wiedziałam. Ale nigdy nie brałam pod uwagę dziecka, odpowiedzialności tak absolutnej... A poza tym już w ciągu tych paru dni spędzonych u mnie zaczęła się zmieniać. Uwyraźniły się piersi, wypychając dziecięcy stanik. Kragła twarz o ładnych ciemnych oczach nie potrzebowała

40

wiele, by przerodzić się w twarz młodej dziewczyny. Dziewczynka” to jedna sprawa, już bardzo niedobra — „dziecko ze zwierzątkiem”... ale „dziewczyna” to coś całkiem innego, zwłaszcza w tych czasach.

Zabrzmiało to jak sprzeczność, ale druga rzecz, która mnie martwiła, to jej ospałość. Oczywiście w moim mieszkaniu nie było wiele do roboty. Całymi godzinami przesiadywała przy oknie i oglądała, wchłaniała wszystko, co się działo. Zabawiała mnie komentarzami: był to rozmyślny i planowy dar, słyszała przecież, to jasne, że swych „zabawnych” komentarzy. I znowu nie wiedziałam zupełnie, co o tym myśleć, bo na pewno nie były to obserwacje małej dziewczynki. A może byłam staroświecka, bo w owym czasie właśnie tego należało oczekiwać, skoro dzieci musiały przyjąć i przyswoić sobie wszelkie formy napięć i stresów?

Profesor White wyszedł z holu, zstąpił po schodach i zatrzymał się, spoglądając w jedną i drugą stronę ulicy niemal jak wojskowy: Kto się tam kręci? Potem, uspokojony, stał przez chwilę: można by pomyśleć, że naciąga rękawiczki i poprawia kapelusz. Był szczupły, młody jak na profesora, bo jeszcze przed czterdziatką, pedantyczny, szary mężczyzna, w którego życiu wszystko jest na swoim miejscu. Na twarzy obserwującej go Emily pojawił się uśmiech, kwaśny mały uśmieszek, jak gdy-by myślała: a mam cię, już mi się nie wymkniesz!

41

I znad nastawionych żółtych uszu swego towarzysza powiedziała:

— Wygląda, jakby naciągał rękawiczki! — Tak, tak właśnie powiedziała. A potem: — Musi mieć straszny charakter.

— Dlaczego? Czemu tak uważasz?

— Dlaczego? No bo całe to jego opanowanie, wszystko takie schludne i czyste, musi się gdzieś wyładowywać. — I dalej: — Jeśli ma jakąś panią — rozmyślnie użyła tego staroświeckiego słowa, to część roli — to musi to być ktoś o złej reputacji, ktoś okropny, a przynajmniej on musi tak o niej myśleć albo jeśli nawet nie on, to inni ludzie. Bo musi czuć się zepsuty, prawda?

No tak, oczywiście, prawda.

Stwierdziłam, że nie powinnam właściwie tam siedzieć i słuchać jej wywodów. Równocześnie jednak nie chciało mi się tracić widoku noża, który zagłębiał się tak gładko, tak precyzyjnie, raz za razem.

O Janet White, dziewczynce mniej więcej w jej wieku, powiedziała:

— Spędzi życie na poszukiwaniu kogoś takiego jak tatuś, ale gdzież ona go znajdzie. Myślę, że nie będzie już istniał.

Chodziło jej oczywiście o ogólny rozkład, o czasy, które nie sprzyjały kreowaniu profesorów w bardzo czystych białych koszulach i o skrytej namiętności do tego, co niegodne — jako że godność została

42

skazana na śmierć, a wraz z nią odróżnienia, którymi jego ukryte potrzeby muszą się żywić.

Profesora nazwała Białym Królikiem, a jego córkę Tatusiową Cór-runią, podkreślając, że ona sama tak o sobie mówi:

— No bo cóż jeszcze?

Kiedy zasugerowałam, że może sprawiłoby jej przyjemność zaprzyjaźnienie się z Janet, odparła: — Co, ja z nią?

I tak przez większość dnia siedziała rozparta w wielkim fotelu, który specjalnie tam przyciągnęła: dziecko przedstawiające się jako dziecko. Można było sobie nawet wyobrazić białe skarpetki na pulchnych, kształtnych nogach, kokardę we włosach. Ale to, co się w rzeczywistości widziało, było inne. Miała na sobie dzinsy i wyprasowaną przez siebie rano bluzkę, której dwa górne guziki były rozpięte. Włosy zaczesła z przedziałkiem na środku głowy i oto nagle przeobraziła się w młodą piękność: tak, istotnie.

I jakby dla potwierdzenia tego kroku naprzód w kruchość i wrażliwość, jej najgorsze, czy też najlepsze, komentarze dotyczyły przechodzących chłopców: ten chodził w sposób zdradzający niepewność, tamten się tandetnie ubierał, ten znów miał brzydką cerę lub nieuczesane włosy. Te nieatrakcyjne kocmołuchy przedstawiały sobą zniewalającą siłę, przed którą nie było ucieczki, a ona jak dziewczyna na zbyt rozbujanej huśtawce piszczała

43

ze strachu i przerażenia. W swej dokładności była naprawdę straszna. Przygnębiała mnie... och, z wielu powodów, między innymi z powodu mej własnej przeszłości. Ale ona tego nie podejrzewała, wierząc naprawdę — tak mi mówiły jej żywe reakcje, konfidenckie spoglądanie na mnie — że jak zwykle „splaca swój dług”, tym razem przenikliwością. Nie pozwoliła nikomu przejść bez połknięcia go i zwrócenia pokrytego jej śluzem: mądre dziecko, którego nie można zwieść, które nie da się nabrać — które chwalono za to, że takie jest, i tego nauczono.

Kiedyś jednak weszłam do pokoju i zobaczyłam, jak rozmawia przez okno z Janet White: była poważna, życzliwa, najwyraźniej szczerza. Jeśli nawet nie lubiła Janet White, to chciała, by Janet White ją polubiła. Dziewczynki złożyły sobie niezliczoną ilość obietnic na temat wspólnych wypraw na targ, spacer, wizytę. A kiedy Janet odeszła, uśmiechnięta z powodu ciepła, jakie wchłonęła od Emily, Emily powiedziała:

— Słyszała, jak jej rodzice rozmawiali o mnie, i teraz ona im opowie.

Oczywiście, na pewno.

Rzecz w tym, że każdego, kto znalazł się w jej pobliżu, na linii jej wzroku, odbierała jako zagrożenie. Tak właśnie jej doświadczenia, jakiegokolwiek były, „ukształtowały” ją. Przylapywałam się na tym, że usiłuję wejść w jej położenie, stać się nią, zrozu-

44

mieć, jak to się dzieje, że ludzie muszą przechodzić tak ostro obrysowani jej potrzebą krytyki — czy może obrony — i stwierdzałam, że tak robi każdy, ja też, ale ona wzmacnia tę tendencję, wzmaga ją, wyolbrzymia. Kiedy zbliża się do nas ktoś nowy, stajemy się oczywiście ostrożni, bierzemy miarę z tej osoby, wykonujemy tysiąc niewiarygodnie szybkich pomiarów i oszacowań, sytuując jego lub ją we właściwym im miejscu, by wreszcie zakończyć wydanym bez słów wyrokiem: tak, ten jest dla mnie, nie, nic nas nie łączy, nie, on, ona, zagraża nam... uwaga!

Niebezpieczeństwo! I tak dalej. Dopiero jednak, gdy Emily tak mi to uwyraźniła, uświadomiłam sobie, w jakim wszyscy żyjemy więzieniu, jak trudne dla każdego z nas jest dopuszczenie w swoje pobliże mężczyzny, kobiety czy dziecka bez obronnego odruchu badania go, bez owej szybkiej, ostrej, zimnej analizy. Reakcja ta jest tak szybka, tak do niej nawykliśmy — być może jej właśnie nauczyli nas rodzice jako pierwszej — że nie uświadamiamy sobie, jak bardzo jej ulegamy.

— Popatrz, jak ona chodzi — mówiła Emily — popatrz na tę tłustą staruchę. — W rzeczywistości kobieta miała około czterdziestu pięciu lub pięćdziesięciu lat, a mogła mieć i trzydzieści! — Kiedy była młoda, ludzie mówili, że chodzi seksownie. „Och, jak ty się seksownie wyginasz, och, ty seksowna bestyjko!”

45

Jej parodiowanie było okropne, gdyż trafne. Kobieta owa, żona byłego maklera giełdowego, który został handlarzem staroci i który mieszkał piętro wyżej, wykonywała sto drobnych zmysłowych ruchów ust, oczu i bioder. Tak właśnie Emily ją widziała — każdy musiał tak ją najpierw widzieć; większość ludzi oceniała ją prawdopodobnie po tych ruchach. Słuchając Emily, nie można było się oprzeć poczuciu, że całe istnienie, cały sens własnej osoby ulega deprecjacji, odpływa. Był to atak

na życie każdego: słuchając jej, trzeba było uznawać granice, w których wszyscy tkwimy. Zasugerowałam, że mogłaby pójść do szkoły — „tak sobie, żeby coś robić”, dodałam szybko, widząc jej kpiące spojrzenie. To spojrzenie nie było zaplanowane: to była jej naturalna reakcja. W ten sposób uzyskałam przelotny wgląd w to, czego potrzebowałam od pewnego czasu: wiedzy, co ona o mnie myśli, jak mnie widzi — była to tolerancja.

— Ale po co? — zapytała.

Po co? Większość szkół zaprzestała prób nauczania; stały się one, przynajmniej dla uboższych ludzi, przedłużeniem armii, aparatu utrzymywania społeczeństwa pod kontrolą. Istniały nadal szkoły dla dzieci z klasy uprzywilejowanej, administracji i kadry kierowniczej. Janet White chodziła do jednej z nich. Ale mnie za bardzo zależało na Emily, by ją tam wysłać, nawet gdyby udało mi się załatwić

46

dla niej miejsce. Nie żeby poziom nauczania był tam zły. Ale było to nieistotne. Zasługiwało na... kpiące spojrzenie.

— Zgoda, nie bardzo jest po co. A poza tym nie pozostaniemy tu długo.

— A dokąd masz zamiar pójść?

To mnie załamało; jej samotność i odosobnienie nigdy jeszcze nie ujawniły się z taką ostrością; mówiła ostrożnie, nawet nieśmiało, jakby nie miała prawa pytać, jakby nie miała prawa do mojej troski, mojej opieki — ani udziału w mojej przyszłości.

Z powodu tego doznania rozważałam swoje plany bardziej konkretnie, niż skłaniała mnie do tego własna potrzeba. Często zastanawiałam się wcześniej, czy pewna znajoma rodzina w północnej Walii zechce mnie przygarnąć. Byli to poczciwi rolnicy — tak, taką właśnie miarę do nich przykładałam. „Poczciwi rolnicy” — taką formę w licznych umysłach przybierały wówczas bezpieczeństwo, schronienie, spokój — cała ta utopia. Ja jednak znałam osobiście Mary i George'a Dolgelly, znałam ich farmę, mieszkałam w ich domu gościnnym, otwartym w ciągu lata. Skoro tam byłam, to może mogłabym tam pomieszkać przez pewien czas? Byłam zręczna, lubiłam proste życie, poza miastem czułam się równie u siebie jak w mieście... Oczywiście w owym czasie myślało tak bardzo wielu, zwłaszcza ludzie młodzi, którzy mogli jąć się każdej pracy, jaka była do zro-

47

bienia. Nie uważałam, że państwa Dolgelly zachwyci mój przyjazd. Wierzyłam jednak, że przynajmniej nie będę im ciężarem. Ale dziecko? A raczej młoda dziewczyna? Atrakcyjna, zwracająca uwagę dziewczyna? Przecież mieli własne dzieci... moje myślenie było jak widać dość konwencjonalne, niezbyt odkrywcze. W ten sposób mówiłam o tym do Emily, ona zaś słuchała, a jej kwaśny uśmiezek ustępował powoli wyrazowi rozbawienia. Rozbawienia jednakże ukrytego pod maską uprzejmości: nie sposób było uwierzyć, że jest poruszona. Wiedziała, że to mrzonki, ale cieszyła się nimi razem ze mną. Prosiła, żeby jej opisać farmę; spędziłam tam kiedyś tydzień, obozując na wrzosowisku pośród srebrnych strumyczków na liliowym zboczu wzgórza. Co rano chodziłam do Mary i George'a z blaszaną ką po świeże mleko i kupowałam u nich bochenek pieczonego w domu chleba. Idylla. Rozwinęłam ją, dodawałam szczegóły. Zamieszkamy w domku dla gości, a Emily będzie „pomagać przy kurach” — jak w książce. Będziemy jadały przy stole, przy owym długim drewnianym stole. We wnęce stoi staroświecki piec. Będą się tam warzyć duszone mięsa i zupy, porządne jedzenie, a my będziemy jeść do woli... nie, to nie było realistyczne, może jeść tyle, ile będzie potrzeba — prawdziwy chleb, prawdziwy ser, świeże jarzyny, może nawet czasem trochę dobrego mięsa. Suszące się wiązki ziół rozsiewać będą

48

zapachy. Dziewczynka słuchała tego wszystkiego, a ja nie mogłam oderwać oczu od jej twarzy, na której ironiczny ostry uśmiezek ustępował raz po raz potrzebie ochrony mnie przed moim brakiem doświadczenia, moim życiem w naiwności! Silniejsze niż wszystko inne było w niej coś, czego w ogóle sobie nie uświadamiała i co na pewno by ukryła, gdyby wiedziała, że zdradza swą słabość. Silniejsze niż jej sztuczki, chęć podobania się i kupowania, bolesne posłuszeństwo — było właśnie to: głód, potrzeba, czysta materialność, która pozbawiała jej twarz owej twardej żywości,

oczy czujnego spojrzenia. Cała była namiętym pragnieniem. Czego? Cóż, niełatwo odpowiedzieć, nigdy nie jest łatwo. Ale ja to rozpoznawałam, znałam to, a rozmowa o farmie na walijskich wzgórzach była okazją równie dobrą jak wszelkie inne do wydobywania tego, do sprawienia, by rozbrzękło: dobry chleb, nieskażona woda z głębokiej studni, świeże jarzyny, miłość, życzliwość, solidny mur obronny rodziny. Rozmawiałyśmy o farmie, naszej przyszłości, Emily i mojej, w której jak w bajce będziemy spacerować razem, trzymając się za ręce. I zaczniesz się „żyć”, życie jak należy, takie, jakie zostało obiecanie — przez kogo? kiedy? gdzie? — każdemu na tej ziemi. Ten sielankowy okres — w istocie nie dłuższy niż parę dni — skończył się w sposób gwałtowny. Pewnego gorącego popołudnia wyjrzałam przez

49

okno i pod platanami na chodniku naprzeciw zobaczyłam około sześćdziesięciu młodych ludzi; rozpoznałam w nich grupę podróżujących przez nasze miasto. Rozpoznać ich nie zawsze było łatwo, chyba że tworzyli tak liczną grupę jak ta; kiedy się bowiem widziało osobno dwie, trzy, cztery osoby, można było wziąć je za studentów, których ciągle — choć w niewielkiej liczbie — spotykało się w naszym mieście. Albo mogli być dziećmi najzwyczajniejszych ludzi. Widziani jednak razem, dawali się natychmiast rozpoznać. Dlaczego? Rzecz nie tylko w tym, że tłum młodych nie mógł oznaczać niczego innego. Chodzi natomiast o to, że porzucali indywidualność, indywidualną ocenę i odpowiedzialność, co objawiało się na sto sposobów, z których niepoślednim była instynktowna reakcja przy spotkaniu z nimi, a mianowicie zawsze silny lęk, gdyż wiedziało się, że w razie konfrontacji wyrok wyda tłum. Nie mogli długo pozostawać sami, tłum był ich domem, ich miejscem samoidentyfikacji. Byli jak stado psów wpadające do parku albo na wysypisko śmieci. Słodki pieseczek pewnej matrony (jej szykowna ogromna koafiura to obrona przed lękiem widocznym u jej zwierzątka, którego sierść przypomina rzadkie owłosienie staruszki ukazujące starą różową czaszkę, ale osłonięte zrobionym własnoręcznie na drutach szkarłatnym wełnianym szalem), wielki chart afgański, który może przebiec

50

bez wysiłku czterdzieści mil na dzień, zamknięty w swym małym domu, małym ogródku, kundel dokarmiany przez tych, co pozostali, spaniel, z natury pies myśliwski — wszyscy ci ulubieńcy rodzin, Togo, Bonzo, Fluff i Wolf, obwąchawszy sobie zadki i ustaliwszy hierarchię, ruszają zjednoczeni w stadzie... ten opis pasuje, rzecz jasna, do każdej grupy ludzi w dowolnym wieku, jeśli ich rolę nie wyznaczyła im już jakaś instytucja. Gangi „dzieciaków” pokazywały drogę starszym, którzy wkrótce szli w ich ślady, bandy „małolatów” prawie zawsze, i to w coraz większym stopniu, wchłaniały starszych, nawet całe rodziny, choć nazwa pozostawała. Tak właśnie ludzie mówili o tych wędrownych hordach — przynajmniej to ostatnie słowo było trafne w owym czasie przed końcem, kiedy wydawało się, że cała ludność migruje.

Tamtego popołudnia, kiedy to korony drzew nad całą tą grupą były ciężkie i pełne, a słońce dawało prawdziwy popis — był wrzesień, ale ciągle jeszcze ciepło — rozbili obóz na trotuarze, rozpalili ognisko, zrzucili na kupę swój dobytek i postawili obok straż: dwóch młodych chłopców uzbrojonych w grube kije. Teren wokół, jak zwykle w takich wypadkach, opustoszał. Policja nie zamierzała się pokazać, władze ani nie mogły, ani nie chciały zmagać się z tym problemem, zadowolone, gdy pozbywały się gangów, a one niosły gdzie indziej wywoływane przez

51

siebie problemy. W całej okolicy wszystkie okna na parterze były zamknięte, a zasłony zaciągnięte, ale okna wyższych pięter bloków wokół nas wypełnione były twarzami. Młodzi ludzie stali grupkami wokół ogniska, niektóre pary obejmowały się. Jakaś dziewczyna grała na gitarze. Dobiegała silna woń pieczonego mięsa; nikt nie miał ochoty zbyt w to wnikać. Zastanawiałam się, czy Hugon jest bezpieczny. Nie żebym specjalnie polubiła to zwierzę, ale martwiłam się ze względu na Emily. Potem uświadomiłam sobie, że nie ma jej w salonie ani w kuchni. Zapukałam do drzwi jej sypialni i otworzyłam je: spiętrzone gniazdo z prześcieradeł, w które wpełzała, poszukując schronienia przed światem, było na swoim miejscu, ale jej nie było — ani Hugona. Przypomniałam sobie, że w tłumie młodych ludzi znajdowała się dziewczyna w obcisłych džinsach i różowej bluzce podobna do Emily. I to istotnie była Emily; obserwowałam ją teraz z okna. Stała w pobliżu ognia z

butelką w dłoni, roześmiana, członek gangu, tłumu, grupy, paczki. Przy jej nogach stało wyleknione żółte zwierzę, skrywał je panujący tłok. Widziałam ją, jak coś krzyczy, spiera się. Cofnęła się z dłonią na łbie Hugona. Wycofywała się powoli, potem odwróciła się i pobiegła, a zwierzę sadziło skokami obok: nawet tak krótki jego widok ukazywał bolesną resztkę jego siły, umiejętności, możliwości, osłabionych przez małe pokoje, które ograniczały

52

jego ruchy i życie. Wielki wybuch głośnego śmiechu dobiegł od strony młodych; wynikało z tego, że drażnili się z nią na temat Hugona. Nie zamierzali go zabić, udawali tylko, ale ona uwierzyła. Oznaczało to w każdym razie, że nie uważali jej za swoją, nawet potencjalnie. A przecież były wśród nich dzieci w jej wieku. Nie uznali jej za dziecko, uznali w niej raczej młodą dziewczynę, rówieśnika — na pewno tak było — i nie zaakceptowali jej. Wszystko to przyszło mi do głowy, zostało przeze mnie przemyślane, zanim weszła do salonu — blada, drżąca, przerażona. Usiadła na podłodze i otoczyła rękami Hugona, przytuliła go i kołysała lekko, mówiąc przy tym, a może podśpiewując lub szlochając:

— Och, nie, nie, nie, kochany Hugon, nie pozwoliłabym im, nigdy, nigdy, nie bój się już tak. On bowiem drżał równie mocno jak ona. Trzymał łeb na jej ramieniu, był to zwykły układ wzajemnej pociechy w takich sytuacjach.

Zaraz jednak, widząc mnie obok i uświadamiając sobie, że domyśliłam się odrzucenia jej przez grupę dorosłych, do której chciała się dostać, zarumieniła się i rozżłościła. Odepchnęła Hugona i wstała, usiłując zapanować nad wyrazem twarzy. Przywołała swój twardy uśmiech, roześmiała się i powiedziała:

— Oni są zabawni, naprawdę. Nie rozumiem, dlaczego ludzie mówią o nich takie okropne rzeczy.

53

podeszła do okna i oglądała ich, jak podnoszą butelki do ust, przekazują sobie porcje dzielonego jedzenia. Emily czuła się pokonana, może nawet przestraszona i może zastanawiała się, jak w ogóle mogła do nich wyjść. Każdy z nas jednak, każdy spośród setek ludzi przy oknach, wiedział, że obserwując ich, poddaje próbie własne możliwości, własną przeszłość.

Po chwili, nie patrząc na mnie, Emily wepchnęła Hugona do swej sypialni, zamknęła drzwi i zaraz znów była poza mieszkaniem, po drugiej stronie ulicy. Teraz blask ogniska oświetlał jasno niewielką przestrzeń pod osmalonymi drzewami. Wszystkie okna na parterze były ciemne i odbijały tylko światło albo raczej zimny połysk księżyca w drugiej kwadrze, który stał pomiędzy dwiema wieżami mieszkań. Wyższe okna pełne były głów rysujących się w świetle rozmaitego typu i natężenia. Ale niektórzy z normalnych obywateli znaleźli się już pośród młodych, ciekawi, skąd oni przybywają, dokąd zierają; Emily nie była jedyna. Muszę wyznać, że niejedną raz odwiedzałam wieczorem obozowiska. Nie w tej części miasta, tu obawiałam się sąsiadów, ich potępienia, ale i tak widziałam twarze znane mi z otoczenia: wszyscy robiliśmy to samo, te same kalkulacje.

Nie obawiałam się, że coś się Emily stanie; musi tylko zachowywać się rozsądnie. Jeśli nie będzie,

54

to zamierzałam przejść przez jezdnię i uratować ją. Czuwałam przez całą noc. Niekiedy widziałam ją, niekiedy nie. Większość czasu spędziła z grupą chłopców młodszych niż reszta. Była jedyną dziewczyną i zachowywała się dość głupio, wywyższała się i odnosiła do nich wyzywająco. Oni jednak byli wszyscy pijani, a ona tylko jednym ze składników ich zamroczenia.

Niektórzy ludzie spali na trotuarze ze zwiniętymi swetrami lub ramionami pod głową. Spali beztrosko, podczas gdy inni kręcili się wokół. Ten beztroski sen w ufności, że inni ich nie podepczą, że są bezpieczni, mówił więcej niż cokolwiek innego o mocy więzi, jaka złączyła tych młodych ludzi, o zaufaniu, jakie do siebie nawzajem mieli. Ale powszechny sen nie był w planie. Ognisko wygasło. Wkrótce nadejdzie świt. Widziałam, że zbierają się do drogi. Przez pół godziny żywiłam bolesną niepewność, czy Emily nie odejdzie przypadkiem z nimi. Ale oto po kilku uściskach, głośnych i wulgarnych jak uściski i żarty dziwek i żołnierzy przed wymarszem oddziału, i po przebiegnięciu kilku metrów po trotuarze obok bandy szła powoli z powrotem — nie, nie do mnie, wiedziałam to doskonale, do Hugona. Gdy wchodziła, jej twarz oświetliło na moment światło z

korytarza, samotną, smutną twarz, i wcale nie twarz dziecka. Ale gdy dotarła do salonu, maska była już nałożona.

55

— Mów, co chcesz, ale to był miły wieczór — stwierdziła.

Niczego nie mówiłam i teraz też milczałam.

— Poza tym, że jedzą ludzi, są bardzo mili, tak przynajmniej sędzę — powiedziała z przesadnym ziewnięciem.

— A jedzą ludzi?

— No, właściwie to nie pytałam, ale tak mi się wydaje, a tobie nie?

Otworzyła drzwi do swojego małego pokoju i Hugon wyłonił się, zielonymi oczyma spoglądając czujnie w jej twarz. Emily odezwała się do niego:

— Już wszystko dobrze, nie zrobiłam nic, czego ty byś nie zrobił, naprawdę. — I z tą nieszczęśliwą uwagą i lekkim twardym śmieszkiem wyszła, rzucając przez ramię: — Nie byłoby najgorzej, gdybym kiedyś się z nimi zabrała. Oni przynajmniej się dobrze bawią.

Cóż, wołałam to „dobranoc” od innych, jakie wymieniałyśmy, gdy o dziesiątej wołała: „O, moja pora, idę już do łóżka”, i posłuszny pocałunek zawisł między nami jak duch, jak niewidzialne białe rękawiczki profesora White'a.

W tym wczesnojesiennym okresie dzień w dzień przeciągały coraz to nowe gangi. I dzień w dzień Emily była z nimi. Nie pytała o pozwolenie. Ja zaś nie zamierzałam jej zabraniać, bo wiedziałam, że mnie nie posłucha. Nie miałam autorytetu. Nie była

56

moim dzieckiem. Unikałyśmy konfliktu. Wychodziła, kiedy tylko zapelniał się trotuar naprzeciw i zaczynało płonąć ognisko. Dwa razy bardzo się upiła, a raz miała rozerwaną bluzkę i ślady ugryzienia na szyi.

— Pewnie myślisz — powiedziała — że straciłam dziewictwo? Nie straciłam, ale niewiele brakowało, naprawdę. — A potem dorzuciła chłodną drobną uwagę, swój podpis: — Ale wątpię, czy to istotne.

— Sędzę, że istotne — powiedziałam.

— O, naprawdę. No to jesteś optymistką. Kimś w tym rodzaju. Jak myślisz, Hugon?

Przemarsz gangów zakończył się wreszcie. Chodniki wzdłuż całej ulicy były poczerniałe i spękane od ognisk, które płonęły tu przez tyle nocy, liście platanów przywiedle i obwisłe, wszędzie wały się kości, kawałki zwierzęcej skóry i potłuczonego szkła, pusta parcela w głębi była zdeptana i zaśmiecona. Teraz dopiero zjawili się policjanci, pilnie notowali i przepytывali ludzi. Pojawiły się sprzątaczkі. Trotuar powrócił do normalnego stanu. Wszystko na pewien czas powróciło do normalnego stanu, a okna na parterze były wieczorami znów jasne.

Wtedy właśnie zrozumiałam, że wydarzenia na trotuarze i to, co się działo między mną a Emily, mogą mieć związek z tym, co widziałam podczas swoich wędrówek przez ścianę.

57

Idąc pośród wysokich cichych białych ścian, wątlých jak dekoracje teatralne, z poczuciem, że lokator tam jest, zawsze za tą oto następną ścianą, widoczny po otwarciu tych oto następnych drzwi albo jeszcze następnych, dotarłam do pokoju, długiego, o wysokim stropie, kiedyś pięknego, który rozpoznałam od razu, który znałam (ale skąd?); był tam taki bałagan, że poczułam strach i obrzydzenie. Wydawało się, że przebywały tu jakieś dzikie plemiona albo biwakowali żołnierze. Krzesła i sofy z rozmysłem pocięto i pokłuto bagnetami lub nożami, wylaziła z nich trawa, brokatowe zasłony zerwane z miedzianych karniszy leżały w bezładnych stertach. Pokój mógł służyć za masarnię: pełno było piór, krwi i odpadków. Zaczęłam sprzątać. Zużyłam wiele wiader gorącej wody, szorowałam, reperowałam. Otworłam wysokie okna wychodzące na osiemnastowieczny ogród, w którym rośliny posadzono na planie kwadratów wewnątrz niskiego żywopłotu. Słońce i wiatr znalazły drogę do pokoju i oczyszczały go. Cały czas byłam u siebie, ale nie czułam się sobą. Aż wreszcie koniec. Stare sofy i krzesła były naprawione i czyste, zasłony poskładane i przygotowane do pralni. Długo chodziłam po pokoju, był wystarczająco wielki, by po

nim spacerować; stałam przy oknach, oglądałam malwy i róże damasceńskie, wdychając woń lawendy, róż, rozmarynu, werbeny, pełna wspomnień, które mnie

58

onadały, ogarniały, wdzierały się we mnie. Jedno dotyczyło mojego „rzeczywistego” życia, mówiło mi bowiem natarczywie i uparcie, że trotuar, na którym płonęły ogniska osmalające drzewa, był częścią materii i substancji tego pokoju. Ale uobecniała się tam też nuta tęsknoty za tym pokojem, myśl, że życie, które się tu wcześniej toczyło, powróci, gdy ja go opuszczę. I za ogrodem, którego każdy najmniejszy zakątek znałam całą sobą. A przede wszystkim za lokatorem, który był gdzieś w pobliżu i zapewne mnie obserwował, a kiedy wyjdę, wkroczy tutaj, pokiwa głową z uznaniem dla mojej pracy i być może pójdzie spacerować po ogrodzie.

To, na co zaraz potem natrafiłam, miało całkowicie odmienny wystrój, a przede wszystkim odmienną atmosferę. Było to pierwsze z „osobowych” doświadczeń. Takim słowem określałam je od samego początku. A atmosfera dawała się zawsze nieomylnie rozpoznać, gdy tylko wkraczałam w odpowiednią scenę. To znaczy między odczuciem, strukturą czy aurą scen „nieosobowych”, jak na przykład ów długi cichy pokój tak straszliwie zrujnowany albo każde wydarzenie, obojętne jak męczące, trudne i obezwładniające, które oglądałam w tych czy innych dekoracjach — otóż między nimi a scenami „osobowymi” rozciągała się przepaść; te dwa typy: „osobowe” (choć niekoniecznie dla mnie) i reszta, egzystowały w sferach całkowicie

59

odmiennych i osobnych. Jeden, „osobowy”, dawał się natychmiast rozpoznać poprzez aurę, która była jego więzieniem, poprzez uczucia, które były jego mieszkańcami. Sceny nieosobowe mogły przynosić zniechęcenie lub problemy do rozwiązania, jak na przykład odnowienie ścian lub mebli, sprzątanie, porządkowanie bałaganu — ale w tym obszarze królowała jasność, wolność, poczucie możliwości. Tak, właśnie tak, przestrzeń i świadomość możliwości podjęcia alternatywnego działania. Można było zrezygnować ze sprzątanego pokoju czy oczyszczania kawałka gruntu, można było przejść do innego pokoju, wybrać inną scenę. Ale wejść w to, co „osobowe”, to wejść do więzienia, w którym nie może się zdarzyć nic prócz tego, czego wydarzenie się właśnie obserwujemy, i w którym przestrzeń jest szczupła i ograniczona, a przede wszystkim czas stanowi ściśle niezmienną prawo i płynie powoli, o mój Boże, płynie i płynie, minuta za minutą, ściśle wyznaczone, i nie ma innego wyjścia, tylko trzeba każdą z nich po kolei przetrwać.

Był to znów wysoki pokój, ale tym razem kwadratowy i bez uroku, okna długie, ale ciężkie, o ciemnoczerwonych aksamitnych zasłonach. Ogień płonął w kominku, przed którym stała solidna przesłona, niczym metalowy pancerz na ciele. Suszyło się na niej mnóstwo grubych i cienkich serwetek, dziecięcych staroświeckich chusteczek i wiele białych

60

kamizelek i wiązadeł, długich i krótkich sukienek, sukni, żakietów, małych skarpet. Edwardiańska wyprawka, wydająca ową woń, która bardzo przypomina woń spalenizny: nagrzany, niewietrzony materiał. Był tam koń na biegunach. Elementarze. Kołyska z muślinowymi falbankami w maleńkie błękitne i zielone kwiatki na białym tle... Uświadomiłam sobie, jaką ulgę przynosi ten kolor, bowiem wszystko było tu białe, biała odzież, białe łóżeczko, kołyska, narzuty, koce, prześcieradła i koszyki. Białe ściany. Mały biały zegar, który w katalogu nosiłby nazwę zegara dziecięcego. Biel. Tykanie zegara ciche, drobne, nieprzerwane.

Na dywaniku przed kominkiem siedziała mniej więcej czteroletnia dziewczynka, między nią a ogniem suszyła się odzież. Miała na sobie ciemnoniebieską aksamitną sukienkę. Ciemne włosy były zaczesane na bok i przewiązane ogromną białą kokardą. Głęboko poważne jasnobrzowe oczy już w tym wieku miały obronny wyraz.

W łóżeczku leżało niemowlę zawinięte na noc w becik. Wydawało odgłosy zadowolenia. Pochylała się nad nim niania albo służąca, widać było tylko szerokie białe plecy. Spojrzenie dziewczynki obserwującej, jak ukochana niania kołysze jej braciszka, było wystarczająco wymowne, mówiło wszystko. Ale oto jeszcze ktoś: jakaś postać, niezmiernie wysoka, ogromna i potężna weszła do pokoju; była to

61

bezlitosna, pełna energii osoba, która także pochyliła się nad niemowlęciem; obie kobiety rozpoczęły wspólną ceremonię zachwytów, a dziecko w odpowiedzi gaworzyło. Mała dziewczynka patrzyła. Wszystko wokół niej było ogromne: ten pokój, taki wielki, nagrany i wysoki, te dwie kobiety, takie wysokie, silne i antypatyczne, te meble, niezrozumiałe i budzące lęk, ten zegar, który pędził cicho i mówił wszystkim, co mają robić, i którego każdy słuchał i radził się, stale nań spoglądając.

Udział w tej scenie oznaczał wejście w przestrzeń dzieciństwa; oglądałam ją jak małe dziecko, to znaczy jako ogromną i bezlitosną, ale równocześnie zachowywałam świadomość, że jest mała i bezlitosna — bo nieistotna, nieważna. Była to tyrania tego, co nieważne, bezmyślne. Klaustrofobia, stęchlizna, duszność umysłu, aspiracji. Wszystko bezkresne, bo jest to dzieciństwo i koniec własnego dnia sterowanego przez surowy biały zegar z trudem można dostrzec u jego początku. Każdy dzień był jak coś, na co trzeba się wspiąć, jak wielkie, niedostępne krzesła, łóżko sięgające ponad głowę, przeszkody i bariery pokonywane dzięki pomocy wielu rąk, które przytrzymują, ciągną i przepychają — rąk, które oglądane przy pracy nad niemowlęciem wydają się czułe i uważne. Niemowlę przebywało wysoko w powietrzu, trzymane w ramionach niani. Śmiało się. Matka chcia-

62

ła wziąć dziecko od niani, ale ta przytrzymała je, mówiąc:

— O nie, to mój niemowlaczek, mój.

— Och, nianiu — odezwała się potężna wieża matki, wyższa niż cokolwiek w tym pokoju, wyższa niż wielka niania i wysoka prawie pod sufit: — O, nie — uśmiechała się, ale z zaciśniętymi wargami — to moje dzieciątko.

— Nie, moje — twierdziła niania, kołysząc teraz dziecko i zawodząc cicho — to mój drogi dzieciaczek, ale ten drugi, Emily, jest pani. — I tuląc i kołysząc dziecko, odwróciła się plecami do matki, by okazać emocjonalną niezależność. Na to matka uśmiechnęła się, ale inaczej niż poprzednio, dla dziewczynki niezrozumiałe, tyle tylko, że teraz matka wzięła ją szorstkim ruchem i powiedziała:

— Czemu nie jesteś rozebrana? Mówiłam ci, że masz się rozebrać.

I zaczęło się gwałtowne niemile szarpanie i popychanie; dziewczynka usiłowała utrzymać się na nogach, gdy zdejmowano z niej warstwy odzieży. Najpierw błękitną aksamitną sukienkę, przedmiot jej dumy, bo było jej w niej do twarzy — tak twierdziły rozmaite głosy rozmawiające wysoko nad jej głową; było tam jednak wiele małych guziczków po wewnętrznej stronie ramienia i na plecach, a rozpięcie każdego z nich trwało tak długo, podczas gdy wielkie palce raniły i drapały. Potem halkę, całkiem

63

szybko, ale z zadrażnieniem podbródka, potem długie białe trykotowe za duże rajstopy, które wydały ciepłą miłą woń: matka poczuła i skrzywiła się.

— A teraz do łóżka — powiedziała, naciągając szybko przez głowę dziecka białą koszulkę nocną. Emily wczołgała się na swoje łóżko przy oknie, podciągając się za poręcz u wezglowia, bo było to wielkie łóżko; odchyliła róg ciężkiej czerwonej zasłony z aksamitu, by spojrzeć na gwiazdy.

Równocześnie obserwowała dwie wielkie osoby, matkę i nianię, zajmujące się niemowlęciem. Jej twarz była stara i znużona. Wydawało się, że rozumie to wszystko, że przewidziała, przeżyła z konieczności, odczuwając jak jakiś gęsty ciężar wszędzie wokół siebie — czas, przez który musi sama się przebić, aż się z niego wyzwoli. Bo nikt nie mógł sobie dać rady, ani matka, budząca lęk potężna kobieta, ani niania, którą życie uczyniło złą, ani niemowlę, do którego ona, mała dziewczynka, żywiła już namiętne uczucie, które ją obezwładniało, czyniło bezradną. A ona sama, dziecko, też nie mogła sobie dać rady, zupełnie nie mogła; kiedy więc matka powiedziała swym zniecierpliwionym, szorstkim tonem, który brzmiał jakby wesoło, dzielnie, ale który nawet dziecko rozpoznawało jako prośbę o współczucie: „Emily, powinnaś już leżeć; spać mi zaraz”, położyła się i obserwowała dwie kobiety, jak wynoszą niemowlę do drugiego pokoju, skąd dobiegł głos

64

mężczyzny, głos ojca. Rytuał, z którego została wyłączona: zapomniały, że nie zabrały jej do ojca, by mu powiedziała dobranoc. Odwróciła się na bok, plecami do gorącego białego pokoju, skąd czerwone płomienie promieniowały ciepło, napelniały ciężką białą odzież na drążkach rozgrzaną wonią, rzuciły czerwone cienie w kątach za krawędziami czerwonych zasłon, wywoływały ciarki z gorąca na jej ciele pod ciężką pościelą. Uchwyciła kołyszące się czerwone frędzle zasłony, przybliżyła je do siebie i leżała, ciągnąc je, ciągnąc...

To dziecko to oczywiście oddana mi pod opiekę Emily, ale przez kilka dni nie rozumiałam, że oglądałam epizod z jej dzieciństwa (to przecież niemożliwe, dziś nie ma już takiego życia, to wszystko przeszłość), epizod zatem z jej wspomnień, jej historii, która ją ukształtowała... Siedziałam z nią pewnego ranka i nagle jakiś jej ruch powiedział mi coś, co winno było być przecież oczywiste. Patrzyłam potem na tę młodziutką twarz, takie kłopotliwe pomieszczenie dziecka i dziewczyny, i widziałam w niej tę samotną czterolatkę. Emily. Zastanawiałam się, czy pamięta coś z tych przeżyć, które „szły” jak film za ścianą mojego salonu, będącą w tej chwili — jako że słońce oświetlało ukośny wycinek przestrzeni i białą farbę, pod którą kwiatowy ornament tapety podtrzymywał swój kruchy, ale uparty żywot — jakby przezroczystym ekranem: to była jedna

65

z tych chwil, kiedy dwa światy znajdowały się blisko siebie i kiedy łatwo było o poczucie, że można ot tak, po prostu przejść na drugą stronę. Siedziałam, patrzyłam na ścianę i wyobrażałam sobie, że słyszę odgłosy, które na pewno nie należą do „mojego” świata: pogrzebacz energicznie przesuwający się po kracie paleniska, tupot drobnych stóp, głos dziecka. Zastanawiałam się, czy powiedzieć o tym Emily, zapytać ją? Ale nie odważyłam się. Bałam się o nią. Bałam się swojej bezradności wobec niej.

Miała na sobie stare dzinsy, o wiele już na nią za ciasne, i opiętą różową bluzkę.

— Przydałoby ci się jakieś nowe ubranie — powiedziałam.

— Po co? Czy nie wyglądam w tym ładnie? — Ta straszna „żywość” jej głosu; ale zarazem przestrach... zmobilizowała się, gotowa odpierać krytykę.

— Wyglądasz bardzo ładnie. Ale wyrosłaś już z tego stroju.

— Ojej, nie myślałam, że jest aż tak źle.

Oddaliła się o kilka kroków i położyła na długiej brązowej sofie z Hugonem przy boku. Nie ssała kciuka, ale z powodzeniem mogłaby to teraz robić.

Powinam może opisać jej stosunek do mnie, ale to trudna sprawa. Nie sądzę, żeby specjalnie mnie dostrzegała. Przyprawiona przez owego nieznanego mężczyznę, ujrzała starszą osobę, ujrzała mnie

66

bardzo wyraźnie, ostro, dokładnie, w szczegółach. Potem jednak ani przez chwilę, jak sądzę, w ciągu tych spędzonych u mnie tygodni nie dostrzegała nikogo więcej prócz starszej osoby o cechach, jakich można się po niej spodziewać. Nie miała oczywiście pojęcia o lęku, jaki o nią czułam, trwodze, potrzebie chronienia jej. Nie wiedziała, że troska o nią wypełniła moje życie jak woda zwilżająca gąbkę... ale czy mam prawo się skarżyć? Czyż nie mówiłam jak wszyscy inni dorośli o „młodzieży”, „młodych”, „dzieciakach” i tak dalej? Czyż nadal tak nie mówię, choć staram się tego unikać? A czegoż się jeszcze spodziewa ktoś stary, kto chce młodych odepchnąć od siebie w przegródki swego umysłu: „tego nie rozumiem”, „tego nigdy nie pojmem” — skoro także był młody... czy mam się wstydzić wypisywania takiego banału, jeśli tak niewielu ludzi w średnim wieku i starszych potrafi go ożywić praktyką? I tak niewielu potrafi uznać swe wspomnienia? Starzy byli kiedyś młodzi, młodzi nigdy nie byli starzy... takie uwagi zapisano w tysiącach pamiętników, książek zawierających recepty moralne, książek banałów, w przysłowiach i tak dalej, ale co z tego wynikło? Powiedziałabym, że niewiele... Emily widziała oschłą, opanowaną, obcą staruszkę. Przyprawiałam ją o lęk, bo przedstawiałam sobą tę niewyobrażalną rzecz, starość. Mnie jednak Emily, jej los, były równie bliskie jak własne wspomnienia.

67

Odeszła i nadąsana położyła się na sofie plecami do mnie. Wykorzystywała mnie do wypróbowania

swej gotowości wydobycia się z dzieciństwa w wiek dziewczęcy, wiek młodej dziewczyny o strojach, zachowaniu i mowie dostosowanych ściśle do tego etapu.

To napięcie w niej było wielkie, i dlatego wykorzystywała mnie w sposób przesadny i męczący; trwało to przez parę tygodni, gdy skarżyła się, że krytykuje jej wygląd, że to z mojej winy będzie musiała wydać pieniądze na odzież, że podoba jej się lub nie podoba jej wygląd, że chce przez całe życie nosić tylko spodnie, koszule i swetry i że chciałaby „wreszcie mieć coś przyzwoitego do ubrania”, ale ponieważ moje pokolenie narobiło wszędzie takiego bałaganu, jej pokolenie nie ma się w co ubrać, ludziom w jej wieku zostały tylko stare żurnale i marzenia o uroczej i minionej przeszłości... i tak dalej, i tak dalej. A teraz nie chodziło już tylko o to, że rosła i że jej ciało dawało o tym znać: teraz zaczynała tyć. Całymi dniami leżała na sofie ze swym żółtym psiakowa-tym kotem, czy też kocim psiakiem, leżała, obejmując go, tuląc i głaszcząc, ssała cukierki, jadła chleb z dżemem i pieściła zwierzę i swoje marzenia. Albo też siadała przy oknie, wypowiadając swe kąśliwe uwagi, i też jadła. Albo układała stosik chleba z dżemem, ciastek i jabłek, otaczała się na środku podłogi starymi książkami i czasopismami i kładła się tam

68

na brzuchu, a Hugon leżał rozciągnięty w poprzek jej ud: w ten sposób spędzała całe rano, cały dzień, całe dni, czytając, marząc i jedząc.

Doprowadzało mnie to do dzikiej irytacji, ale pamiętałam, że ja też tak robiłam.

Zrywała się czasem nagle, podchodziła do lustra i wołała:

— Ojej, niedługo stanę się taka gruba, że będziesz jeszcze bardziej niż teraz uważać mnie za brzydką. — Albo: — Niedługo nie zmieszczę się w żadne ubranie, nawet jeśli pozwolisz mi kupić sobie coś nowego, ale ja wiem, że tak naprawdę to nie chcesz, żebym miała nowe ubranie, tak tylko mówisz, uważasz, że jestem lekkomyślna i bez serca, skoro tylu ludzi nie ma nawet na jedzenie. Mogłam tylko powtarzać, że będę uradowana, jeśli kupi sobie coś do ubrania. Może pójść na bazar lub do sklepu z rzeczami używanymi, tak jak to czyni większość ludzi. A jeśli nie, to może pójść do prawdziwego sklepu — przynajmniej ten jeden raz. Kupowanie odzieży lub materiału w sklepach było bowiem w tym czasie oznaką pozycji społecznej. Do sklepów przychodzili w istocie tylko ludzie z klasy administracji, czyli, jak ich większość nazywała, gadacze. Wiedziałam, że pociąga ją myśl o udaniu się do prawdziwego sklepu. Nie brała jednak pieniędzy, które jej zostawiłam w szufladzie, i nadal jadła i marzyła.

69

Często nie było mnie w domu, to zaś z powodu owego pracochłonnego a powszechnego zajęcia, jakim było zbieranie nowin. Kiedy bowiem, jak każdy, słuchałam radia lub uczestniczyłam w kółku gazetowym — braki w poligrafii rodziły konieczność wspólnego kupowania gazet i periodyków przez całe grupy i puszczania w obieg wśród ich członków — odczuwałam, tak jak każdy, od razu potrzebę wiadomości, rzeczywistych wiadomości ze źródeł, którymi byli ludzie na ulicach, w barach, pubach i herbaciarniach. Byli oni wszędzie, w całym mieście, przemieszczali się z miejsca na miejsce, z pubu do herbaciarni, do baru, pod sklepy, które jeszcze sprzedawały telewizory. Ludzie ci byli jak dodatkowy organ wyrastający na oficjalnych organach informacyjnych: coraz to nowe grupy, pary lub jednostki nieustannie się włączały, stały słuchając, uczestnicząc, przekazując, co same usłyszały — wiadomości były czymś w rodzaju waluty — i w zamian za pogłoski i plotki dając pogłoski i plotki. Potem ruszaliśmy dalej i przystawaliśmy, szliśmy i znowu przystawaliśmy, tak jakby sam ruch mógł uśmierzyć trwały niepokój, który wszyscy odczuwaliśmy. Wieści w ten sposób zebrane były powszechnym udziałem na parę dni lub tygodni, zanim zaczęły oficjalne życie w środkach przekazu. Oczywiście, często były nieścisle. W owym czasie jednak wszędzie doniesienia były nieścisle. Celem

70

ludzi, którzy krążyli nieustannie, węsząc za nowościami, zbierając informacje, było wydobycie z pogłosek ziarna prawdy, które prawie zawsze w nich tkwiło. Czuliśmy, że musimy posiadać to cenne ziarno: to była nasza powinność, nasze prawo. Uzyskanie go zwiększało nasze poczucie bezpieczeństwa i tożsamości. Nieuzyskanie go lub niewystarczające uzyskanie sprawiało, że czuliśmy się odsunięci na bok, i napełniało nas to lękiem.

Tak to wówczas widzieliśmy. Teraz jednak pojmuję to inaczej: istotą naszych poczynań było mówienie. Mówiliśmy. Mówiliśmy tak samo jak owi ludzie nad nami, którzy spędzali życie na wiecznych i niekończących się naradach, mówiąc o tym, co się dzieje, co się powinno dziać, co mieli lubą nadzieję spowodować — ale oczywiście nie powodowali. Nazywaliśmy ich gadaczami... a sami spędzaliśmy wiele godzin dziennie na gadaniu i słuchaniu gadania.

Zwykle chcieliśmy wiedzieć, co się dzieje na terenach wschodnich i południowych — określanych jako „tam” i „tamten region” — bo wiedzieliśmy, że to, co się tam dzieje, prędzej czy później dotknie i nas. Musieliśmy wiedzieć, jakie gangi nadchodzą lub o jakich się mówi, że nadchodzą — gangi, które, jak już mówiłam, nie składały się już tylko z „dzieciaków” czy „małolatów”, ale z ludzi w najrozmaitszym wieku, stawały się jakby plemionami, nowy-

71

mi jednostkami społecznymi. Musieliśmy wiedzieć, jakie niedobory mogą nadejść, a jakie mogą ustąpić, czy sąsiednie przedmieście zdecydowało się dać sobie spokój z gazem, elektrycznością i ropą i postawić na świeczkę oraz własną pomysłowość, czy odkryto jakieś nowe wysypisko śmieci, a jeśli tak, to czy zwykli ludzie mogą się dostać do jego skarbów, gdzie są sklepy sprzedające skórę, stare koce, owoce róży na syropy witaminowe, nadające się do ponownego użycia plastikowe przedmioty, rzeczy z metalu, jak sita czy rondle, lub cokolwiek innego, co mógłby podrzucić miniony czas obfitości.

Oczywiście, takie kombinacje, łatanie dziur i robienie czegoś z niczego zaczęło towarzyszyć naszemu codziennemu życiu, obfitości, marnotrawstwu i obżarstwu już bardzo wcześniej, na długo przed okresem, o którym teraz piszę. Wszyscy byliśmy fachowcami w robieniu czegoś wielkiego z bardzo małego już wtedy, gdy jeszcze mieliśmy wszystkiego w bród, a ogłoszenia ciągle jeszcze pobudzały nas do wydawania, używania i wyrzucania.

Czasami zostawiałam Emily — pełna trwogi, że coś mogłoby się stać pod moją nieobecność, ale przekonana, że rzecz jest warta zachodu — by odbyć podróż na sporą odległość od miasta, do wsi, farm, innych miast. Mogło to zająć ze dwa albo trzy dni, bo pociągi i autobusy kursowały rzadko i dowolnie, a samochody, używane prawie wyłącznie przez ka-

72

dry urzędnicze, niechętnie podwoziły podróżnych, bo klasa urzędnicza obawiała się zwykłych ludzi. Tak większość, wędrowałam pieszo, odkrywając na nowo użyteczność własnych nóg.

Pewnego dnia wróciłam do domu i do Emily, przywożąc kilka skór owczych. Inne rzeczy także

__poukładałam je w szafach i różnych schowkach z artykułami wszelkiego rodzaju do wykorzystania w przyszłości i w trudnych na razie do przewidzenia okolicznościach — ale ważne były właśnie skóry, gdyż przenosiły Emily na nowy etap jej rozwoju. Początkowo udawała, że ich nie dostrzega. Potem zobaczyłam, jak stoi przed wysokim lustrem w holu, czy też przedpokoju, i upina je na sobie. Chciała chyba uczynić się księżniczką dzikusów, ale kiedy stwierdziła, że ja zauważyłam i zainteresowałam się, powróciła na swoje miejsce na sofie obok Hugona, powróciła do swoich marzeń przekreślających czas, w którym właśnie żyliśmy. A jednak sądzę, że zaintrygowała ją sprawa przetrwania, jego podstaw, sposobów i drobnych wynalazków. Pamiętam, że to właśnie wtedy odkryła przyjemność w przygotowywaniu kluseczek z sosem przy użyciu wyłącznie paru główek starej cebuli, zwiędłych ziemniaków i odrobiny ziół, a podała to po królewsku przybrane, jak w najlepszej restauracji. Polubiła targ, na którym umiała wytropić rzeczy, jakie mnie nigdy nie przy-szłyby do głowy. Cieszyło ją — choć mnie zawsze

73

irytowało i nieuchronnie przywoływało na myśl prostotę i wygodę przeszłości — rozpalanie ogniska do zagotowania wody na mycie i gotowanie. Wyrzucała mi, że używam drewna opałowego ze swoich zapasów,* i uparła się, że pobiegnie do jakiegoś opuszczonego budynku i przyniesie trochę desek ze starych boazerii i innych takich rzeczy, które potem zręcznie porąbała siekierą na dywanie, chroniąc go za pomocą starych szmat od jeszcze większego zniszczenia niż to, jakiego dotychczas doznał. Tak, była bardzo zręczna i to wyjaśnia wszystko, jeśli chodzi o jej doświadczenia z okresu przed przybyciem do mnie. Wiedziała, że obserwuję i wyciągam wnioski, i

to odsyłało ją z powrotem na sofę, bo jej potrzeba bycia tajemniczą, niezrozumianą i niezdemaskowaną była, nawet teraz, silniejsza niż cokolwiek. Mnie jednak obserwacja jej talentów i możliwości przynosiła pociechę, a noszony przeze mnie ciężar przeczuć na temat jej przyszłości zmalał: jak to ociążałe, rozmarzone, niepewne siebie dziecko, tak zamknięte w sobie, w wyobraźni, w przeszłości, przetrwa to, co wszyscy musimy przetrwać? I zaczęłam sobie uświadamiać, jak mroczne były te przeczucia, jak czuwałam nad nią i martwiłam się o nią, jak silny był mój lęk, kiedy wychodziła do pustych budynków i na opuszczone parcele. — Dlaczego uważasz, że nie dam sobie rady? — wołała w szale złości, choć oczywiście jako

74

Emiby, a więc osoba, która ma się podobać i uspokajać, uśmiechała się i usiłowała ukryć złość: prawdziwą irytację, prawdziwe uczucia musi ukrywać i zasłaniać, podczas gdy udawaną złość i dąsy, niezbędne gry nastolatki, są na pokaz nieustannie.

Byłam obecnie wdzięczna zwierzęciu, że tu mieszka. Hugon nie był istotą (już miałam rzec „osobą“!) kłopotliwą i z powodzeniem mógł u mnie przebywać. Nie sypiał chyba zbyt wiele: czuwał. Myślę, że tak właśnie pojmował swoją rolę: miał czuwać nad nią. Wolał, żeby Emily go karmiła, ale jadł i wtedy, gdy to ja stawiałam przed nim miskę. Chciał być jej jedynym przyjacielem i jedyną miłością, ale był dla mnie grzeczny — obawiam się, że tylko tym słowem można to określić. Wyczekiwał chwili wieczornego spaceru, na który wyprowadzało się go na ciężkim łańcuchu, i był rozczarowany, kiedy Emily nie mogła z nim pójść, ale posłusznie wychodził ze mną. Żywił się paskudztwami, które sprzedawano jako jedzenie dla psów, ale wolał resztki z naszych talerzy i wyraźnie to okazywał.

Wiele nie zostawało: Emily jadła i jadła, a swoje małe koszule nosiła teraz wyłożone na pękające w szwach spodnie. Stała, gapiąc się na siebie przed lustrem, a jej szczęki poruszały się wypełnione słodyczami lub chlebem. Nie mówiłam nic, byłam zdecydowana nic nie mówić, nawet kiedy mnie prowokowała słowami: „Dobrze mi z taką tuszą,

75

prawda?“, albo: „Lepiej bym wyglądała, jadając na przyjęciach“. Cokolwiek jednak mówiła, jakkolwiek żartowała, to nadal jadła. Leżała na podłodze, dłoń mechanicznie kierowała do ust chleb, ciastko, sałatkę ziemniaczaną, ciasteczka owocowe, podczas gdy wzrok przebiegał linijki druku jakiejś starej książki, którą sobie przyniosła, ale którą zaraz odłoży i będzie patrzeć przed siebie rozjarzonym wzrokiem. Całymi godzinami. Dzień za dniem. Czasami zrywała się, żeby sobie zrobić coś do picia, podawała też i mnie, po czym o mnie zapominała. Jej usta były zawsze w ruchu, żując, kosztując, zajęte stale sobą, i wydawało się, że cała jest ustami, a wszystko inne w niej jest im podporządkowane; wydawało się nawet, że jej postrzeganie wyrazów oczami było pewną formą posiłku, a marzenia zjadaniem materiałów na odzież, które rozdymały ją tak samo jak żywność.

A potem to wszystko nagle przeszło. Oczywiście, wtedy nie wydawało się to czymś nagłym. Dopiero teraz, kiedy się spogląda wstecz, wszystko jest takie oczywiste, a nawet, obawiam się, banalne i naturalne, tak bowiem wszystko, co nieuniknione, jawi się — w retrospekcji. Część młodzieży z naszych bloków zaczęła spędzać czas na przeciwległym trotuarze i opuszczonej parceli, pod nadpalonymi drzewami. Wspólny tej grupie był udział w minionej chwale i przygodac

76

wSpomnieniach czasu, gdy wędrujące plemiona naIIIy tu ogniska i ucztowały. Młodzi pokazywali sobie poczerńiałe miejsca na trotuarze, opowiadali po wielokroć wydarzenia z tego eposu. Najpierw było ich dwóch lub trzech, potem sześciu, potem... Emily porzuciła swoje marzenia i obserwowała ich. 2 jej twarzy można było jednak wyczytać wyłącznie lekceważenie. Było mi żal tych hałaśliwych młodych chłopców, którzy tak rozpaczliwie pragnęli, by ich zauważono i oglądano, a którzy byli tak bezradni i nieapetyczni w swych niezgrabnych ciałach; było mi żal Emily, grubej dziewczynki wyglądającej przez okno, przebranej królowny. Dziwowałam się, że tak niewiele czasu, parę lat, przemieni te poczwary w piękności. Ale myliłam się: czas wtedy tak pędził, że nie trzeba już było lat... pewnego wieczoru Emily wyszła leniwym krokiem z domu i stanęła przed budynkiem, wyglądała jak ironia losu, a jej ciało prosiło i żądało. Chłopcy zignorowali ją. Potem

zrobili parę uwag na temat jej figury. Emily cofnęła się do środka, przesiedziała zamysłona parę godzin w rogu swojej sofy — i przestała jeść.

Szybko traciła na wadze. Żywiła się herbatkami ziołowymi i wywarem z drożdży. Obserwowałam teraz proces odwrotny, kształt wyłaniał się wyraźny i pełny, gdy topniała wokół niego okładzina tłuszczu.

Zaczęłam protestować:

71

— Musisz coś jeść, powinnaś zastosować odpowiednią dietę.

Ale ona mnie nie słyszała- Byłam daleko od jej potrzeby przypodobania się bohaterom z chodnika... niewielu ich zresztą było w tym czasie, kiedy dni stawały się dłuższe, a wiosna uzdrawiała okaleczone drzewa.

Obserwowałyśmy, choć ja nadal tego sobie nie uświadamiałam, narodziny gangu, bandy, plemienia. Dobrze byłoby dziś powiedzieć, że zdawałam sobie sprawę z rzeczy, które się wokół mnie działy. Uważam jednak, że byłam ślepa. Czyż wszystko nie bierze się z pędu do naśladownictwa, który żywi się pragnieniem upodobnienia do innych? Wszystkie procesy społeczne na tym się opierają, rozwój każdej jednostki. Z pewnych powodów jakbyśmy się umówili co do ignorowania tego faktu, nawet gdy najbardziej naiwny mieliśmy w nim udział. Panowało swego rodzaju ciche porozumienie co do wiary, że ludzie — dzieci, dorośli, wszyscy — rozwijają się przez nabywanie własnych zwyczajów i uzyskiwanie własnych porcji wiedzy, tak jak przy wybieraniu rzeczy z za lady: „Tak, wezmę tę”, albo: „Nie, tej nie chcę”. W rzeczywistości jednak ludzie rozwijają się na dobre lub na złe przez połykanie w całości innych ludzi, atmosfery, wydarzeń, miejsc — rozwijają się przez podziw. Często oczywiście nieświadomie. Jesteśmy tym, z kim trzymamy.

78

Tuż przed sobą, na owym trotuarze, mogłam tygodniami i miesiącami obserwować jak w laboratorium lub jak wedle podręcznikowego opisu powstanie, rozwój i rozkwit nowej jednostki społecznej. Ale nie robiłam tego, bo zajmowała mnie Emily, moja troska o nią. Tamte procesy toczyły się, ja je obserwowałam, ale szczegóły mi umykały; zajmowały mnie skutki, kwestia, jak to czy owo zdarzenie odbije się na Emily. Dopiero dziś, spoglądając wstecz, widzę, jaką okazję przepuściłam.

Emily nie była jedyną młodą dziewczyną, która przygotowywała się do zajęcia swego miejsca pośród kobiet. Na przykład Janet White: zanim rodzice jej zabronili, Janet zwykła przechodzić z kilkanaście razy przed naszymi oknami koło szydzących z niej chłopców. Był taki okres, kiedy chłopcy i dziewczęta stali po przeciwnych stronach ulicy jak wrogie oddziały, docinając sobie i obrażając się nawzajem.

Potem dało się zauważyć, że intensywność szyderstw osłabła, częściej stali w milczeniu lub cicho rozmawiali między sobą, zawsze obserwując przeciwną grupę, ale udając zarazem, że tego nie robią.

Emily przypomniła sobie o owczych skórkach. Znów zaczęła się w nie przystrajać, upinała je na sobie, obnosiła się w nich z rozpuszczonymi włosami.

W końcu powiedziała do mnie:

79

— Znalazłam tu maszynę do szycia. Mogę z niej skorzystać?

— Oczywiście. Ale czy nie wolałabyś raczej kupić sobie ubrania? Ta maszyna jest taka stara. Ma chyba ze trzydzieści pięć lat.

— Działa.

Pieniądze, które jej dałam, leżały nadal w szufladzie. Wyjęła je teraz i szybko, niemal w tajemnicy, poszła pięć czy sześć mil do centrum miasta, gdzie znajdowały się wielkie sklepy z artykułami dla klasy urzędniczej i dla tych, którzy mogli sobie na nie pozwolić. W zasadzie jedna i ta sama grupa ludzi. Wróciła z porządnym sukniem sprzed kryzysu. Przyniosła też nici, metr krawiecki i nożyczki. Odwiedziła kilka sklepów i targów rzeczy używanych i teraz podłogę jej pokoju zalegały łupy, zdobycze z wyprawy. Zawołała przez okno Janet White, która stała na chodniku (wcześniej, rzecz jasna, zapytała mnie grzecznie o pozwolenie), i oto dwie nimfy wcisnęły się do maleńkiego

pokoiku, gdzie zaczęły trąkotać, spierać się i przystrajać tak i owak przed wysokim lustrem — a rytuał ten powtórzył się, gdy Janet White też ruszyła zdobywać materiał i starą odzież... powtórzył się w pokoju Janet w głębi korytarza. I to spowodowało, że zabroniono jej włóczenia się po ulicy, zażywania przyjemności plemienia, a także ostrzeżono ją przed przyjaźnią z Emily. Bo Janet przeznaczony był inny los. Prawdę mówiąc,

80

nje wiedziałam, jak wysoką pozycję w kręgach administracji zajmują państwo White, ale w owym czasie nie byli oni jedyną na wpół ukrytą rodziną oficjeli, żyjącą cicho, a/v zwykłym mieszkaniu, na pozór tak jak wszyscy, ale z dostępem do żywności, rozmaitych towarów, odzieży, środków transportu dla większości nieosiągalnych.

Emily najwyraźniej nie przejmowała się tym, że Janet się jej wyrzekła. Przez następnych kilka tygodni była tak zajęta sobą, jak wówczas, gdy jadła, marzyła i żyła gnuśnie; teraz jednak tryskała energią i była dla siebie surowa, przynajmniej co do jedzenia. A ja obserwowałam. Obserwowałam nieustannie, bo nigdy jeszcze nie widziałam czegoś takiego w takim natężeniu.

Chociaż bowiem Emily przy tych nowych zajęciach zanurzyła się w sobie tak samo jak wtedy, gdy leniła się i marzyła, jednak teraz to, za co się uważała, dawało się przynajmniej dostrzec, przedstawiało mi się w postaci jej fantastycznych strojów.

Jej pierwszy autoportret... wygrzebała jakąś starą sukienkę, białą, we wzór z gałązek różowych kwiatów. Niektóre części były poplamione i poprzeciera-ne. Wycięła je. Dodawała i usuwała kawałki koronki i tiulu, koraliki, szarfy, tak że powstawał kalejdoskopowy strój, zmieniający się wedle jej potrzeb. Najczęściej była to suknia ślubna. Potem sukienka młodej dziewczyny ■— owa dwuznaczna deklaracja

81

cja naiwności, częściej tworzona przez kogoś dojrzałego niż właścicielka sukni, przez oko, które uważa, że wiotkość pewnych typów dziewczęcych strojów daje wyraz przejściowej postaci tego ciała. Była to też koszula nocna, gdy nakładała ten przezroczysty strój na nagie ciało. Była to suknia wieczorowa, czasami nawet bez świadomego zamiaru, bowiem ta twardość Emily, czujność jej wzroku odbierała niewinność wszystkiemu, co nosiła, tak iż mogła mieć kwiaty w dłoni i we włosach, niczym jakaś nowa Primavera, a mimo to otaczała ją aura kobiety, która określiła sobie dokładnie, ile jej ciała ukaże strój na wieczorne party. Ta suknia była dla mnie dużym przeżyciem. Przeraziła mnie. To znowu kwestia mojej bezradności wobec Emily. Uważałam, że gotowa jest wyjść w tym stroju na dwór. Teraz sędzę, że się myliłam: starsi mają skłonność do niedostrzegania — zapomnieli już! — tej skrytej w młodym stworzeniu osoby, najsilniejszej spośród postaci zamieszkujących dorastające ciało, tego ja, które poucza, wybiera przeżycia — i chroni.

A poza tym widok tego dzieła wówczas, w okresie takiego zdziczenia i anarchii, widok tego archetypu dziewczęcej sukni — a raczej tego zbioru archetypów — świadomość, że to dziecko, to dziewczątka wyszperało materiały swoich marzeń w stertach śmieci naszej starej cywilizacji, znalazło je, popracowało nad nimi i wbrew wszystkiemu

82

irzeczywistniło swój obraz siebie... tak stary, tak niezniszczalny i tak nieistotny — wszystko to przekraczało moje siły i wycofałam się ze sceny, zdecydowana nic nie mówić, niczego nie okazywać, niczego nie zdradzać. I całe szczęście, że tak postanowiłam. Nosiła ten strój po mieszkaniu, naga dziewczyna ledwo tylko osłonięta; nosiła go ostentacyjnie, wstydliwie, odważnie, lękliwie; „wypró-bowywała" nie tyle sukienkę, co swój autoportret, a mnie mogło z powodzeniem przy tym nie być, nie zauważała mnie. Cóż, potrzeba prywatności nauczyła nas kryć się we wnętrzu swej samotni, wszyscy umieliśmy być z innymi, nie będąc z nimi zarazem. Nie wiedziałam naprawdę, czy śmiać się, czy płakać; próbowałam po trosze jednego i drugiego, oczywiście, kiedy mnie nie widziała. Była taka zabawna, a zarazem taka dzielna i pomysłowa. To jej proste, uczciwe, jasnobrazowe spojrzenie — oczy dobrego angielskiego towarzysza, twarde, osadzające, czujne! Te jej próby nakładania makijażu na świeżą, małą twarz, tęskniącą gdzieś za zasłonami haremu, ciało zastygające w „uwodzicielskich" pozach. Sukienka opętała ją na parę tygodni. Potem pewnego dnia wzięła nożyczki i niecierpliwym gestem złośliwej satysfakcji odcięła dół: coś się nie sprawdziło, a

może sprawdziło się dla niej i teraz koniec, niepotrzebne. Wrzuciła zużyty tłumok do szuflady i zaczęła nowe obmyślanie siebie.

83

Panowały spóźnione i przedłużające się chłody. Spadło nawet trochę śniegu. W moim mieszkaniu ciepło było wielce pożądanym gościem i jak wszyscy chodziliśmy po mieszkaniu ubrane prawie tak samo jak do wyjścia na miasto. Emily wzięła owcze skóry i uszyła z nich długą tunikę aktora dramatycznego. Przepasała ją kawałkiem szkarłatnego szyfonu i nosiła na starą koszulę, którą wzięła z szafy. Bez pytania. Nie potrafię wyrazić, jak mnie to ucieszyło. Najwyraźniej poczuła wreszcie, że ma u mnie jakieś prawa. Przede wszystkim prawo dziecka do psot, ale jeszcze i coś więcej: starsza lub dojrzała osoba stwierdza, że młoda osoba po prostu bierze coś, jakąś rzecz osobistą, zwłaszcza silnie symbolizującą pewien etap życia (jak biała sukienka w różowe gałązki dla młodej dziewczyny), i oto co za ulga, wstrząs, zimny prysznic na pomarszczone ciało, jeśli kto woli, ale w każdym razie wyzwolenie. „To jest bardziej moje niż twoje — mówi czyn złodzieja bardziej moje, bo ja bardziej tego potrzebuję, bardziej to odpowiada mojej fazie życia niż twojej, ty już z tego wyrosłaś...”, a rozweselenie, jakie to wyzwala, wskazuje może na ów moment, jak na razie jeszcze nieobecny, gdy oczy innych ludzi — być może jeszcze nieświadomie — powiedzą: „No, możesz już przekazać swoje życie, niepotrzebne ci już, my je będziemy przeżywać za ciebie, zechciej już odejść”.

84

Koszula przeleżała wśród moich ubrań ze trzydzieści lat, kiedyś była czymś niebyle jakim, zrobiona z delikatnego zielonego jedwabiu. Teraz znalazła się pod owczą skórą, w której paradowała Emily, i gdy zmagalam się ze sobą, by nie powiedzieć: „Na Boga, nie możesz chodzić po ulicy w stroju rozbójnika, to zaproszenie do napaści!”, ona pozwoliła opaść tej improwizacji, bo strój był tylko sfastrygowany i upięty szpilkami, nie bardziej trwały niż marzenie. I tak nam się żyło. Ona nie opuszczała mieszkania, chyba że w marzeniach. Te zaś, jak stwierdziłam, stały się bardziej praktyczne.

Poczwarła przepoczwarzała się; kiedyś, może zawstydzona, że tyle wydała, poprosiła mnie nagle i ostro, ale swym ugrzecznionym i okropnym tonem, o jeszcze trochę pieniędzy i poszła na zakupy. Wróciła z używaną odzieżą, która jednym ogromnym krokiem wyniosła ją z dziecka o fantastycznych wizjach w dziewczynę — a raczej w kobietę. Miała wtedy trzynaście lat, jeszcze nie skończone, ale z powodzeniem mogła mieć siedemnaście lub osiemnaście; stało się to dosłownie w ciągu paru dni. Pomyślałam, że może teraz będzie ponad bohaterami z trotuaru, że ona, młoda kobieta, zażąda tego, co natura w istocie dla niej wybrała, młodego mężczyzny w wieku siedemnastu lub osiemnastu lat, a może i starszego.

85

Ale tłum, klan, gang — jeszcze nie plemię, ale już prawie — przeżywał tak samo jak ona okres gwałtownego rozwoju. Wystarczyło kilka tygodni. Kiedy śnieg pobieliał chodniki i uwydatnił czern gałęzi drzew okrytych już falbankami kołyszącej się świeżej zieleni — stopniał i spadł ponownie, kiedy Emily łączyła się w wyobraźni z romantycznymi bohaterami, z kierownikami i z władcami haremów, kilkunastu młodych mężczyzn wyłoniło się ze swych kokonów niedołęg i głuptasów i stawało wieczorem pod drzewami, pyszniąc się kolorową odzieżą, a okoliczne dziewczęta wyszły, by się do nich przyłączyć. Teraz już trzydziestkę lub więcej młodych osób obserwowały setki okien w coraz dłuższe wczesnowiosenne popołudnia. Okolicznym ludziom świtała już myśl, że zjawisko, które wedle naszego przekonania mogło dotyczyć tylko „tamtych” regionów, rodziło się na naszych oczach, przed naszym domem, gdzie, jak się dotąd wydawało, jedyne, co może się wydarzyć, to w najgorszym razie przemarsz jakichś obcych grup.

Docierało do nas, że to samo można zauważyć w innych częściach miasta. Nie tylko na naszym trotuarze młodzi ludzie zbierali się, by podziwiać wędrujące plemiona, potem iść z nimi o lepsze, stawać się nimi. Wszyscy wiedzieliśmy, pojmwaliśmy, i mówiło się o tym w herbaciarniach, pubach i we wszystkich typowych miejscach zgromadzeń;

86

. kwestię omawiano, ona była tematem wiadomości źródłem poczynań. Wiedzieliśmy, że wkrótce

nasi młodzi ludzie wyruszają; podnosiliśmy zwyczajowy krzyk zdziwienia i zaniepokojenia, ale teraz to już się działo, każdy wiedział, że musiało się zdarzyć, i dziwił nas tylko nasz brak umiejętności przewidywania... i krótkowzroczność innych, których otoczenie wolne było jeszcze od tego zjawiska i którzy wierzyli, że ich to ominie.

Emily zaczęła się pokazywać. Najpierw w oknie, upewniając się, że została dostrzeżona, a potem na zewnątrz, na chodniku, przechadzając się tam jakby nieświadoma młodych ludzi po drugiej stronie ulicy. Ten etap trwał dłużej, niż myślałam, i dłużej, niż potrzeba było czasu, by została zaakceptowana. Myślę, że nadchodził wówczas ów zasadniczy moment, a ona bała się odważyć na ten wielki krok ze schronienia, z dzieciństwa, ze swobody wyobraźni: teraz bowiem wyglądała jak inne dziewczęta i musi się zachowywać i myśleć jak one. A jak one wyglądały? Cóż, zasadą strojów ludzi wędrujących była oczywiście praktyczność, musiała być. A więc stylizowana użyteczność: spodnie, kurtki, swetry, szaliki, wszystko grube, mocne i ciepłe. Z bazarów jednak, wysypisk śmieci, starych magazynów płynął niewyczerpany, zdawałoby się, strumień starej „wytwornej” odzieży, którą można było do tych celów przystosować, a w każdym razie przekształcić.

87

Dlatego wyglądali jak dawni Cyganie, i to z tego samego co tamci powodu. Musiało im być ciepło i musieli mieć swobodę ruchu; ich nogi będą musiały znieść długi marsz. Pełnia fantazji zapewniała im jednak barwność, a ciepłe dni sprawiały, że rozwijali się jak motyle.

Nadszedł dzień, kiedy Emily przekroczyła jezdnię i dołączyła do grupy, jakby nie sprawiało jej to żadnej trudności. Niemal natychmiast przyjęła papierosa od chłopca, który wyglądał tam na najsilniejszą osobowość; podano jej ogień, a ona zaczęła jakby nigdy nie palić. Nigdy nie widziałam jej palącej. Tkwiła tam jeszcze, gdy niebo wokół wysokich budynków o migoczących małych oknach zaczęło ciemnieć. Tkwiła tam jeszcze długo potem. Młodzi ludzie stanowili ledwo widoczną masę pod gałęziami drzew. Stali, rozmawiając cicho, paląc, popijając z butelek, które trzymali w kieszeniach kurtek; siedzieli też na niewielkim występie biegnącym wzdłuż chodnika wokół pobliskich bloków. Ta przestrzeń chodnika i opuszczonej parceli, zarośnięta drzewami i chwastami, ograniczona z jednej strony przez ów niski występ, z drugiej przez stary mur, nabrała charakteru czegoś określonego, jak arena lub scena teatru. Gromadzący się tam tłumek zawłaszczył ją, ukształtował: nie będziemy już widzieć tej przestrzeni inaczej niż tylko jako miejsce, w którym formowało się plemię.

Hugon jednak nie wychodził. Obejmowała go, całowała, przemawiała do niego, szeptała mu coś do tyłu jego brzydkich żółtych uszu. Ale zostawiała go.

Siadał na krześle przy oknie i obserwował ją, upewniwszy się, że zasłony go kryją.

Ktoś obcy, wchodząc nagle do pokoju, mógłby powiedzieć: „Jaki strasznie żółty pies!”. A potem: „Ale czy to w ogóle pies?”. Ja, choć nigdy nie Emily, bo on odwracał się, aby ją witać, już wtedy gdy w drodze do domu przekraczała jezdnię, widziałam żółtego jak słoma psa, który siedział tyłem do pokoju, całkowicie bez ruchu, godzina za godziną, a jego węzowy ogon sterczał przez pręty krzesła; całym sobą wyrażał smutek, czujność i cierpliwość. Pies. Psie uczucia — wierność, pokora, wytrwałość. Widziany w ten sposób z tyłu, Hugon wzbudzał emocje, jakie psy zwykle wzbudzają: współczucie, poczucie własnej niewygodności psychicznej, jak w przypadku więźnia lub niewolnika. Ale potem odwracał głowę i oczekiwanie, że ujrzymy gorącą, nieszczęśliwą miłość zawartą w psich oczach, uczucie wspólnoty zniknęło: to nie był pies, stwór na wpół uczłowieczony. Jego mocno zielone oczy lśniły. Nieludzko. Oczy kota, gatunku człowiekowi obcego, spojrzenie wcale nie smutne, nieszczęśliwe czy błagalne. Kocie oczy w ciele psa — kocie oczy i koci pysk. Ta bestia, której brzydota przyciągała wzrok tak jak zwykle uroda, a ja raz po raz przyłapywałam się na wpatry-

89

waniu w to zwierzę, usiłując się z nim uporać i zrozumieć, jakim prawem weszło w moje życie — to zboczenie, ten kaprys przyrody, pilnowało Emily i to z takim samym poświęceniem jak ja. To Hugo był obejmowany, pieszczony, tulony, gdy wracał wieczorem, rozsiewając woń dymu i alkoholu, pełn niebezpiecznej witalności, której nabyła od dzikiej kompanii, w jakiej przebywała przez tyle godzin

Była teraz z nimi codziennie od wczesnego po południa do północy, a nawet dłużej, podczas gdy nas dwoje, ja i zwierzę, siedziało za zasłoną, wpa trując się w mrok, bo na ulicy świeciła tylko jedna lampa i nie bardzo dawało się oglądać snujących się tam ludzi, z wyjątkiem bladych plam twarzy i drobnych błysków, gdy ktoś zapalał papierosa, nie było słyhać ich rozmów, chyba że wybuchali śmiechem, śpiewali przez chwilę albo podnosili dziko głos podczas sprzeczki — w takich momentach czułam, jak Hugon drży i kurczy się w sobie. Ale sprzeczki szybko ulegały stłumieniu przez gło ogółu, wspólne weto.

A kiedy stwierdzaliśmy, że Emily wraca, oboje, Hugon i ja, opuszczaliśmy szybko nasz posterunek i rozchodziliśmy się, aby udawać, że śpimy, a przynajmniej że jej nie szpiegowaliśmy.

W ciągu tego okresu, ilekroć byłam wciągana na drugą stronę poprzez kwiaty i liście na wpół widoczne spod białej farby, zawsze znajdowałam po-

90

koje w stanie nieporządku lub zniszczenia. Nigdy nie mogłam dojrzeć, jak ktoś lub coś t^go dokonuje, ani nawet zobaczyć choć z daleka s praWcy. Miałam coraz silniejsze poczucie, że udostępnienie mi tego poszerzenia mojej codzienność^ oznacza, iż, ponownie, otrzymałam jakieś zadania. Przez które nie potrafię przebrnąć. Bo choćbym nje wiedzieć jak zamiatała, podnosiła i ustawiała przewrócone krzesła, stoły, przedmioty, szorowała podłogi i czyściła ściany, ilekroć wracałam do t^ch pokoi po pewnym okresie swojego realnego >życia> wszystko trzeba było robić od nowa. Przypominało to opowiadania o sztucznych poltergei^ta. Już samo moje wkraczanie w to miejsce dokonywało się ze zmniejszoną witalnością i złymi prz^czuciami zamiast żywych i pełnych nadziei przewidywań, jakie miałam, wchodząc tam po raz pierwszy. Muszę tu teraz mocno podkreślić, że owo pocz:|Cje zniechęcenia nie przypominało w żadnym ra^ie cierpienia, jakie towarzyszyło scenom „osobowym”; więcej nawet, bałagan i chaos w pokojach byj czymś nieporównanie mniej złym niż zamknięta duszność rodziny, sceny „osobowej”; wyjście z mojego „realnego” życia w to inne miejsce tak pełne możliwości, ewentualności stanowiło zawsze wyzwolenie. Jeśli mówię tu o „przygnębieniu”, to tylko w stosunku do ogólnie bardziej swobodnej aury tej strefy; nie mogłabym jej porównywać z ograniczeniami

91

i zamkniętością miejsca lub czasu, w którym tamt rodzina odgrywała swój mały teatrzyk kukielko. Ale jakim prawom czy potrzebom podporządko wywał się nieznany destruktor? Znalazłam się kiedyś w długim, nieregularnym przejściu podobnym do szerokiego korytarza, rozciągającego się w nie skończoność i pełnego drzwi i małych wnęk, w któ rych stał czasem stół ozdobiony kwiatami lub posą wisiały obrazy, stały rozmaite przedmioty, każdy na swoim ściśle określonym miejscu — otwarta drzwi do następnego pokoju, a tam wszystko był na opak. Gwałtowny wiatr wpychał zasłony do wnęk trza, przewracając stoliki, zrzucając książki na krze sła, zaśmiecając dywan popiołem i niedopałkami z toczącej się popielniczki. Za następnymi drzwiami wszystko było jak należy: panował porządek; ten pokój nie tylko czekał na swoich użytkowników, schludny jak hotelowa sypialnia; on, ona, oni właśnie co wyszli, bo czułam osoby, czy też obecność' w pokoju widocznym przez półotwarte drzwi. Gdy tam jednak weszłam, może tylko w chwilę po nich zastałam chaos, jak gdyby to był pokój w domku" dla lalek, do którego dłoń dziewczynki wsunęła si z góry i pod wpływem kaprysu lub złęgo charakteru wszystko zburzyła.

Zdecydowałam, że muszę zrobić w tych pokojach malowanie... mówię tak, jakby tworzyły one trwały, rozpoznawalny, ustalony kompleks pokoi,

92

• κ w domu lub mieszkaniu, a nie miejsce, które za każdą moją wizytą było inne. A więc najpierw farba- jaki sens w sprzątaniu lub czyszczeniu mebli, якого stoją one pośród takich zniszczonych i zmarniałych ścian? Znalazłam farbę. Puszki rozmaitych rozmiarów z różnymi kolorami stały i czekały na rozłożonych na podłodze gazetach w jednym z pokoi chwilowo pustym — jeszcze parę minut temu widziałam, że był umeblowany. Leżały tam pędzle, stały butelki z terpentyną i drabina, którą widziałam podczas jednej z pierwszych wizyt. Zaczęłam od pokoju, który dobrze znałam, od salonu z brokatowymi zasłonami i starymi meblami z różowym i zielonym jedwabiem. Co tylko nadawało się do użytku, zgromadziłam na środku i okryłam prześcieradłami. Wyszorowałam sufit i

ściany mydłem malarskim i gorącą wodą z proszkiem. Nakładałam warstwy białej farby, najpierw mętne i bez wyrazu, potem coraz bardziej wyraziste, aż wreszcie ostatnia pokryła wszystko jasną, lekko lśniąca emalią, białą jak świeży śnieg lub delikatna porcelana. Czułam się jak wewnątrz wyczyszczonej skorupki jajka; czułam, że warstwy brudu, które przeszkadzały istocie żywej oddychać, zostały usunięte. Zostałam meble na środku pokoju pod przykryciem, bo Wydawały mi się teraz zbyt marne na taki wspinały pokój i uważałam, że nie ma wiele sensu w ustawianiu ich: kiedy wrócę, poltefgeist wszystko poroz-

93

rzuca albo pochłapie gnojem ściany. Ale nie, tak się nie stało, a przynajmniej sędzę, że nie — bo nigdy więcej nie ujrzałam już tego pokoju. I nie było także szukałam go i nie mogłam znaleźć... nie wiem czy wyrażę to ściśle, kiedy powiem, że o nim zapomniałam. Byłoby to mówienie o tym miejscu za pomocą pojęć z naszego zwykłego życia. Kiedy przebywałam w tym pokoju, zadanie miało sens, był pewna ciągłość obejmująca moją pracę, przyszłość a ja pozostawałam w ciągłej relacji z niewidzialną niszczycielską istotą, a może siłą, tak samo jak z inną dobroczynną obecnością. To poczucie powiązania, związku, kontekstu cechowało tamto konkretno przebywanie w pokoju, ale podczas następnych odwiedzin nie był to już ten sam pokój, a moje zainteresowanie nim miało już inny charakter — i podobnie w przypadku innych pokoi, innych scen, których smak i zapach był całkowicie autentyczny przez czas, w jakim trwały, i ani chwili dłużej.

Opisuję bez szczególnych oporów czy niechęci ten obszar chaosu, zmiany, nietrwałości; teraz muszę wrócić do scen „osobowych”, a to już czynię z lękiem, wbrew swej woli...

Zbliżyłam się do drzwi z obawą, ale i ciekawością, czy po otwarciu ich natrafię na dzieło poltergeista, ale tym razem była to scena czysta i schludna, a pokój przygnębiał i zniechęcał, gdyż jego zasadą było, iż wszystko tu ma swoje miejsce i czas

94

i nic nie może ulec zmianie lub wyłamać się z nożką, w którym tkwi.

Ściany były bezlitosne, meble ciężkie, polituro-wane, lśniące, sofy i krzesła przypominały zwałiste postaci w trakcie rozmowy, nogi wielkiego stołu odcisnęły ślady w dywanie.

Byli tam ludzie. Prawdziwi ludzie, nie S1jy C2 poczucie obecności. Dominowała kobieta, którą m? widziałam i dobrze znałam. Była wysoka, wielka zdrowa jak dąb, o błękitnych oczach, różowych policzkach i wesołych ustach rozsądnej uczennicy Włosy miała ciemne, bardzo gęste i ciasno upięte na czubku głowy. Ubrana była w strój wizytowy nosiła porządne stroje, drogie, wytworne, a z ich wnętrza, zdawało się, jej ciało usiłuje żądać dla siebie uznania — lekliwie, ale jednak z pewną dozą odwagi, nawet dzielności. Wyglądało na to, że jej ramionom i nogom jest niewygodnie; nie chciała nakładać tego stroju, ale uznała, że musi: zrzuci bo z lekkim śmieszkiem, westchnieniem i słowami: „Dzięki ci, Panie Boże, co za ulga!”

Mówiła do gościa, kobiety, która siedziała tyłem do mnie. Mogłam obserwować twarz i oczy tej pierwszej. Te oczy, niepociemniałe od samokrytycznych myśli, jak niebo, które jest błękitne od wielu tygodni i pozostanie błękitne i czyste jeszcze długo bo nie nadchodzi czas zmiany pory roku — te jej oczy były martwe, nie widziała kobiety, rozmów-

95

czyni, ani małego dziecka na swoich kolanach, która w rym potrzasała w górę i w dół, używając obcasa jako sprężyny. Nie widziała też dziewczynki, która stała w pobliżu matki, obserwując i nasłuchując, ze zmysłami napiętymi, jakby wszystkimi porami wchłaniała informacje w postaci ostrzeżeń, pogroźek, oznak niechęci. To dziecko promieniowało silnymi falami bolesnego uczucia. Poczucia winy. Było potępione. Kiedy rozpoznałam to uczucie i tę grupę w ciężkim, wygodnym pokoju, scena sformalizowała się jako obraz kwestii wiktoriańskiej lub fotografia ze starodawnej sztuki. U góry widniał emfaticzny napis: WINA.

Z tyłu znajdował się mężczyzna; czuł się jakby nieswojo. Żołnierz, a może był nim dawniej.

Wysoki, dobrze zbudowany, sprawiał jednak wrażenie, jakby trudno mu było przeprowadzać swe zamiary i zachować szacunek dla siebie. Jego w typowy sposób przystojną twarz, wrażliwą i łatwą do zranienia, zakrywały niemal do połowy ogromne wąsy.

Kobieta, żona i matka, mówiła; mówiła i mówiła, bez przerwy, jak gdyby w tym pokoju i w

pozostałych nie istniał nikt prócz niej, jak gdyby była sama, a jej mąż i dzieci — zwłaszcza dziewczynka, która wiedziała, że jest głównym winowajcą, przedmiotem skarg — nie mogli jej słyszeć.

— Ale ja się tego po prostu nie spodziewałam, nigdy się nie słyszy ostrzeżeń, jak to będzie. To za
96

wiele. Pod koniec dnia nie jestem zdolna do niczego prócz snu, w głowie mam mgłę, zamęt... a żeby poczytać albo zająć się czym poważnym, no to już wykluczone. Emily budzi się o szóstej, nauczyłam ją, żeby była cicho do siódmej, ale potem jestem już na nogach i latam, latam, latam, cały dzień, jedna sprawa za drugą, i kiedy pomyślę, że dawniej uważano mnie za inteligentną, nie, brzmi to teraz jak żart, obawiam się.

Mężczyzna siedział spokojnie na krześle z papierosem w dłoni. Stożek popiołu na papierosie wydłużał się, aż wreszcie odpadł. Mężczyzna zmarszczył brwi, rzucił żonie zirytowane spojrzenie, szybko przyciągnął popielniczkę do siebie w sposób, który mówił, że powinien był pomyśleć o niej wcześniej, ale jeśli lubi upuszczać popiół, to jego prawo to robić. Palił dalej. Dziewczynka, pięcioletnia, trzymała kciuk w ustach. Buzię miała pociemniałą i przygnębioną od presji krytyki jej osoby, jej istnienia.

Miała ciemne włosy, ciemne oczy podobne do oczu ojca, pełne cierpienia — poczucia winy.

— Nigdy się nie wie z góry, co to znaczy mieć dzieci. Mogę tylko jako tako nadażyć ze wszystkim, z jedzeniem, przygotowywaniem posiłków jeden po drugim, ale nie ma mowy, żeby poświęcać dzieciom tyle uwagi, ile potrzebują. Wiem, że Emily oczekuje więcej, niż mogę jej dać, ale ona jest taka wy-

97

magająca, taka trudna, zawsze chce tyle ode mnie, chce, żeby jej czytać i bawić się z nią cały czas, ale ja przecież gotuję, zamawiam jedzenie, zajmuje mi to cały CZas, wiesz przecież, jak to jest, nie ma czasu na to, co trzeba by zrobić, ja po prostu nie mam czasu dla dziecka. Udało mi się w zeszłym roku znaleźć dziewczynę na pewien czas, ale było z tego więcej kłopotu niż pożytku, naprawdę, te jej problemy, jej kryzysy, trzeba było się nimi zajmować, zabierała mi tyle samo czasu co Emily, ale po obiedzie miałam godzinę dla siebie i mogłam dać trochę odpocząć nogom, choć nie mogłam znaleźć w sobie energii na czytanie, nie mówiąc już o nauce, nikt nie wie z góry, jak to jest, co to znaczy, co dzieci robią z człowieka, wykańczają go, nie jestem już tym, kim byłam, wiem to dobrze, niestety.

Dziecko na jej kolanach, dwu- lub trzyletnie, ciężkie, ubrane w białą wełenkę, wydającą woń wilgoci, podrzucane było teraz jeszcze szybciej; oczy mu lśniły, gdy świat skakał wokół niego w górę i w dół, ciężko oddychające usta były otwarte i obwisłe, pełne policzki trzęsły się.

Mąż, milczący, ale stężały od irytacji — poczucia winy — palił dalej, słuchał, marszczył brwi.

— No ale co możesz dać, jeśli nic nie dostajesz? Jestem pusta, wydrążona. Około obiadu jestem już tak wyczerpana, że pragnę tylko spać. I pomyśleć, kim ja byłam dawniej, do czego byłam zdolna!

Myśl

98

zmęczeniu nigdy nie przychodziła mi do głowy,
jady nie przypuszczałam, że mogę się stać kimś,
Ilo nie ma czasu, żeby otworzyć książkę. Ale teraz
tak jest.

Westchnęła zupełnie bezwiednie. Ta wysoka, mocna, budząca zaufanie kobieta była jak dziecko; jak ono potrzebowała zrozumienia. Siedziała, spoglądając w głąb tego, czego żądają od niej jej dni i noce. Nie było tam dla niej nikogo więcej, czuła bowiem, że mówi do siebie: tamci jej nie słyszeli lub nie mogli słyszeć. Była w potrzasku, ale nie wiedziała, dlaczego ma takie odczucie, skoro przecież chciała owego małżeństwa i swych dzieci, zmierzała do nich — do tego, co społeczeństwo jej przeznaczyło. Jej wykształcenie i doświadczenia nie przygotowały jej na te doznania i teraz czuła się samotna w swym nieszczęściu i pomieszeniu, niekiedy wierząc wręcz, że może jest w jakiś sposób chora.

Dziewczynka, Emily, odeszła od krzesła, przy którym stała, trzymając się mocno jego poręczy dla

ochrony przed burzą obelg i krytyki. Podeszła teraz do ojca i stanęła u jego kolan, obserwując tę wielką, potężną kobietę, swą matkę, o rękach, które tak ranią. Przysuwała się coraz bliżej do ojca, który, jak się wydawało, nie uświadamiał sobie jej obecności. Zrobił jakiś niezgrabny ruch, strącając popielniczkę, a instynktowna próba uratowania jej spowodowała potrącenie łokciem Emily. Upadła do tyłu, odpadła

99

jak coś pozostawionego za sobą przez pędzący strumień wody lub prąd powietrza. Opadła na podłogę i leżała tam twarzą w dół, z kciukiem w ustach.

Surowy, oskarżycielski głos prowadził swój wywód, zawsze będzie to robił, zawsze to robił, nic go nie powstrzyma, nic nie powstrzyma tych uczuć, tego cierpienia, tego poczucia winy, że się w ogóle przyszło na ten świat, przyszło po to, by powodować takie cierpienie, rozdrażnienie i kłopot. Ten głos będzie tam wibrował na zawsze, nigdy nie da się wyłączyć, a nawet jeśli sam dźwięk przycichnie w pamięci, pozostanie trwała presja niechęci, urazy. Często w swym codziennym życiu słyszałam brzmienie tego głosu, gorzką, cichą skargę gdzieś po tamtej stronie zmysłów: oto jest, w którymś z pokoi za ścianą, jeszcze jest, ciągle jest... stojąc przy oknie, obserwowałam Emily, żywą, atrakcyjną dziewczynę, wokół której zawsze gromadzili się ludzie, by posłuchać jej szczebiotu, jej śmiechu, jej małych mądrostek. Zawsze była świadoma wszystkiego, co się działo, nic spośród wydarzeń i działań w obrębie grupy nie mogło ująć jej uwagi; odnosiło się wrażenie, że podczas rozmowy z jedną grupką jej kark i plecy wchłaniają wieści od innej. A mimo to była osamotniona, sama; „atrakcyjność” przypominała barwną powłoczkę, z wnętrza której Emily patrzyła i słuchała. Właśnie ta intensywność samoświadomości czyniła ją samotną, nie opuszczała jej

100

nawet w najbardziej gorączkowych chwilach oszołomienia czy zamroczenia alkoholem lub wspólnych śpiewów. Wyglądało to tak, jakby była w jakiś niewidzialny sposób zniekształcona, miała garb na plecach, widoczny tylko dla niej... i dla mnie, gdy tak stałam, oglądając ją w sposób, w jaki nie mogłabym tego robić, gdy była w domu, blisko mnie.

Emily zapewne w ogóle mnie nie widziała. Tak bardzo świadoma wszystkiego, co działo się pośród jej kompanów, niewiele dostrzegała z bardziej odległego otoczenia. Raz czy dwa jednakże mnie zauważyła, i wtedy dziwne było to, jak na mnie spojrzała, zupełnie jakbym nie mogła widzieć, że ona patrzy. Tak, jakby patrzenie zza ochronnej bariery owej grupy zapewniało jej nietykalność i było czymś innym niż spoglądanie na kogoś z grupy, wymagające innego kodu. Długie, jednostajne, zamyślane spojrzenie, nie nieprzyjazne, po prostu oderwane, ukazujące jej rzeczywiste ja, a potem pojawiał się żywy, twardy uśmiech, kiwnięcie dłonią — gest przyjaźni w postaci dozwolonej przez kompanów. Gdy tylko straciła mnie z oczu, przestałam dla niej istnieć; już była z powrotem tam, otoczona przez kolegów, uwięziona w swej sytuacji.

Kiedy tak stałam przy oknie, a obok czujny, obserwujący ją Hugon, zauważyłam, jak bardzo wzrosła liczba ludzi na trotuarze: było ich teraz około pięćdziesięciu albo więcej; spoglądając wzwyż na

101

niezliczone okna pełne głów zwieszających się nad tą sceną, wiedziałam, że łączy nas wszystkich jedno: zastanawiamy się, jak szybko ten tłum, lub jego część, wyruszy i odejdzie, kiedy „młodzi” znikną... Na pewno niebawem. A Emily? Czy pójdzie z nimi? Stałam obok czuwającej żółtej bestii, która nie pozwalała mi się głaskać, ale wydawała się lubić moją obecność, mnie, przyjaciela jego pani, jego miłości — stałam tam i myślałam sobie, że lada dzień może się zdarzyć, iż podejdem do tego okna i zobaczę pusty trotuar, sprzątaczkę leżącą wodę i płyn odkażający, zmywające wszelkie wspomnienia po plemieniu. Hugon i ja zostaniemy sami, a moje zaufanie będzie zdradzone.

Rano siadywała ze swym żółtym zwierzęciem, karmiła je substytutami mięsa i jarzynami, pieściła i przemawiała do niego, brała je wieczorem do swego małego pokoiku, w którym podczas jej snu leżało obok łóżka. Kochała je, nie ma co do tego wątpliwości, nie mniej niż dawniej. Nie mogła jednak wprowadzić go do swego chodnikowego życia.

Pewnego wczesnego wieczoru weszła do mieszkania w porze, gdy życie na zewnątrz było w swoim apogeum żywości i hałasu — to znaczy, gdy wśród ciemniejącego nieba zaczynały się na różnych

wysokościach pojawiać światła. Weszła i nieco drżąc z niepokoju, co starała się przede mną ukryć, powiedziała do Hugona:

102

— No chodź, chodź ze mną, to cię przedstawię.

Czyżby zapomniała o wcześniejszym doświadczeniu? Nie, oczywiście że nie, ale uznała, iż sytuacja się zmieniła. Była teraz dobrze znana w tym środowisku — więcej nawet, musiała się uważać za członka-założyciela tego plemienia: pomogła je ukształtować.

Nie chciał iść. O tak, bardzo nie chciał z nią iść. Sposób, w jaki wstał dla okazania ochoty, a przynajmniej zgody, miał oznaczać, że składa na nią odpowiedzialność za to, co się może zdarzyć. Prowadziła, a on szedł za nią. Nie nałożyła mu jego ciężkiego łańcucha. Pozostawiając zwierzę bez ochrony, czyniła grupę odpowiedzialną za zachowanie wobec niego.

Obserwowałam młodą dziewczynę, szczupłą i bezbronną nawet w swych grubych spodniach, wysokich butach, kurtce, szalach, jak przekracza ulicę ze swym zwierzęciem rozumnie krocącym za nią. Była w oczywisty sposób przestraszona, gdy stanęła na skraju jednej z żywo gawędzących hałaśliwych grup, które zawsze wydawały się rozświetlane wewnętrzną przemożną potrzebą podniecenia lub gotowości do niego. Dla dodania sobie otuchy trzymała dłoń na głowie zwierzęcia. Młodzi odwrócili się i zobaczyli ją, zobaczyli Hugona. Dziewczyna i zwierzę stali tyłem do mnie, dlatego oglądałam twarze grupy tak, jak je widzieli Emily

103

i Hugon. Nie podobało mi się to, co widziałam... gdybym tam była, miałabym ochotę odejść, uciec... Ale ona tkwiła tam. Z dłonią stale na głowie Hugona, pieszcząc jego uszy, głaszcząc go, uspokajając, chodziła spokojnie pośród klanu, zdecydowana przeprowadzić swój sprawdzian, zbadać swoją pozycję. Była z nim tam jeszcze po zapadnięciu zmroku, gdy żywy tłum wchłonęła mieszanina światła i ciemności, w której dźwięki — śmiech, podniesiony głos, brzęk butelki — rozlegały się wyraźniej i biegły we wszystkie strony do niewidocznych teraz obserwatorów u okien, rozsiewając podniecenie i niepokój.

Kiedy przyprowadziła go z powrotem, wydawała się zmęczona. Posmutniała. Była znacznie bliżej tego banalnego poziomu, na którym ja, starsze pokolenie, żyłam. Jej oczy dostrzegały mnie, gdy siedziała, jedząc sałatkę fasolową i mały kawałek chleba, wydawało się, że wręcz dostrzega pokój, w którym siedzieliśmy. Mnie wypełniał lęk: sądziłam, że jej smutek bierze się z uznania, iż Hugon nie może bezpiecznie podróżować z plemieniem — uważałam za szaleństwo w ogóle o czymś takim pomyśleć — i z decyzji, że wyruszy z nimi, a jego rzuci na pastwę losu.

Po posiłku siedziała długo przy oknie. Patrzyła na scenę, w której zwykle brała udział. Zwierzę tkwiło, ale nie obok niej, tylko przyczajone w kącie

104

nokoju. Można by pomyśleć, że płakało albo że zapłakałoby, gdyby potrafiło. Hugon przeżywał smutek wewnętrznie. Powieki mu opadały, gdy chwycił so skurcz bólu, i przez ciało przebiegało ogromne drżenie.

Kiedy Emily szła do łóżka, musiała kilkakrotnie go zawołać, nim wreszcie przyszedł, powoli, człapiąc cicho i z godnością. Wewnętrznie jednak separował się od niej: pilnował swojego bezpieczeństwa.

Następnego ranka zaoferowała się z pójściem na zakupy. Nie robiła tego już od pewnego czasu, a ja znowu poczułam, że w ten sposób chce złożyć przeprosiny, bo zamierza odejść.

Siedziałam w ciszy z Hugonem w długim pokoju opuszczonym już przez słońce, bo było około południa. Ja znajdowałam się po jednej stronie pomieszczenia, a Hugon leżał wyciągnięty, z głową na łapach, pod zewnętrzną ścianą, gdzie był niewidoczny z wyższych pięter przeciwległych domów. Usłyszeliśmy kroki na zewnątrz, które zatrzymały się, a potem zaczęły się skradać. Dobięły nas głosy, które, uprzednio donośne, nagle przycichły.

Głos dziewczęcy? — nie, chłopięcy... trudno właściwie powiedzieć. W oknie pojawiły się dwie głowy usiłujące dojrzeć coś we względny półmroku pokoju: na zewnątrz było bardzo jasno.

— To tu — powiedział jeden z chłopców rodziny Mehtów z pierwszego piętra.

105

— Widziałem go w oknie — powiedział młody czarnoskóry. Widywałam go często z innymi nał chodniku: smukły, zwinny, sympatyczny chłopiec. Pomiędzy dwiema głowami ukazała się trzecia: biała dziewczyna z jednego z bloków.

— Duszony pies — oświadczyła wyniośle — nie, ja tego nie będę jadła.

— Dobra, dobra — powiedział czarnoskóry chłopiec. — Widziałem, co jadasz.

Usłyszałam grzechoczący odgłos; był to Hugon. Drżał, a jego pazury grzechotały o podłogę.

Potem dziewczyna dojrzała mnie siedzącą pod ścianą, poznała i przywołała żywy niedbały uśmiech, jaki grupa przeznaczała dla osób z zewnątrz.

— O — odezwała się — myśleliśmy...

— Nie — powiedziałam — ja tu mieszkam. Nie wyjechałam..

Trzy twarze zwróciły się na krótko ku sobie, brązowa, biała i czarna, gdy każda z nich przybierała na użytek innej grymas ale się porobiło. Zniknęły, pozostawiając przestrzeń okna pustą.

Hugon wydawał ciche jęki.

— Już po wszystkim — powiedziałam. — Poszli sobie.

Grzechotanie wzmogło się. Potem zwierzę uniosło się ciężko i powlokło, usiłując zachować pozory godności, w stronę otwartych drzwi kuchni, która była najdalszym od niebezpiecznego okna, osiągał-

106

nyrn dlań miejscem. Nie chciał, żebym oglądała jeso utratę panowania nad sobą. Zawstydziała go.

Usłyszałam jęk, który był w równym stopniu wyrazem strachu, jak wstydu.

Kiedy Emily wróciła, porządna dziewczyna, dbająca o dom, zapadł już wieczór. Zmęczona, musiała odwiedzić wiele miejsc, by znaleźć trochę produktów. Była jednak zadowolona z siebie. Racje w owym czasie były znikome, a z powodu zimy właśnie się skończyły: buraki, ziemniaki, kapusta, cebula. Tyle. Jej jednak udało się zdobyć parę jaj, małą rybę, a nawet — premia — mocno pachnącą, niewyschniętą cytrynę. Kiedy skończyła wykladać zdobycz, opowiedziałam jej, co zaszło. Dobry nastrój natychmiast ją opuścił. Usiadła w milczeniu, z opuszczoną głową, oczami zasłoniętymi przede mną przez grube, białe, o gęstych rzęsach powieki. Potem, nie patrząc na mnie, unikając mojego wzroku, poszła szukać Hugona, żeby go pocieszyć.

A za chwilę wyszła z domu na trotuar i pozostała tam do bardzo późnej pory.

Pamiętam, jak siedziałam i siedziałam w mroku. Odkładałam moment zapalenia świec w obawie, by błady kwadrat światła, bo tak wyglądało moje okno z przeciwnej strony ulicy, nie przypominał tamtym kanibalom o Hugonie. On zaś znów leżał przy ścianie, pod którą nie był widoczny z zewnątrz. Leżał tak cicho, jakby spał, ale oczy miał otwarte. Kiedy

107

zapaliłam świece, nie poruszył się ani nawet nie zamrugął oczami-

Kiedy wracam teraz myślą do tamtego czasu, widzę siebie siedzącą w długim pokoju o wygodnych starych meblach, obok rzeczy Emily na niewielkiej przestrzeni, jaką im wyznaczyła, i żółtego zwierzęcia, które leży cicho i cierpi. A tam, w głębi stoi owa zagadkowa ściana, która tak łatwo się rozmywa, rozmywając także całe to zewnętrzne życie, lęki i presję owego czasu — tworząc oczywiście własne. Stoi, obecna na kształt cienia, wzorek z owoców, liści i kwiatów na wpół widoczny w słabym świetle. Tak to widzę, tak widzę nas, tamten okres: długi pokój, słabo oświetlony, a w nim Hugon i ja, myśląca o Emily po drugiej stronie ulicy wśród tłumu, który przemieszczał się, odpływał, malał i znikał — a za nami ta druga nieokreślona sfera, przesuująca się, topniejąca i zmienna, w której ściany, drzwi, pokoje, ogrody i ludzie nieustannie, niczym chmury, odtwarzali siebie na nowo.

Tamtej nocy świecił księżyc. Wydawało się, że na zewnątrz jest jaśniej niż w pokoju. Trotuar był zatłoczony. Dobiegał stamtąd duży hałas.

Było jasne, że tłum podzielił się na dwie części: jedna z nich zbierała się do drogi.

Szukałam Emily wśród tych ludzi, ale nie mogłam jej dojrzeć. Potem ją zobaczyłam: była z tymi, którzy zostawali. My wszyscy — ja, Hugon, część

108

tłumu niegotowa jeszcze do podróży i setki osób «r oknach wokoło — obserwowaliśmy, jak

wyruszający formują się w oddział czwórkami lub piątkami- Nie wydawało się, żeby brali wiele ze sobą, ale zbliżało się lato, a strony, w które zmierzali, nie były jeszcze, tak przynajmniej sądziliśmy, zbyt splądrowane. W większości grupę tworzyli młodzi kilkunastoletni ludzie, ale była tam też rodzina złożona z matki, ojca i trojga małych dzieci. Jeden z przyjaciół trzymał na rękach niemowlę, matka miała na plecach drugie dziecko w nosidle, a trzecie, największe, siedziało ojcu na ramionach. Trzej przywódcy to nie mężczyźni w średnim wieku lub starsi, ale starsi spośród młodych. Dwu z nich szło na przedzie ze swymi kobietami, a jeden na końcu ze swoimi: szły obok niego dwie dziewczyny. W sumie grupę tworzyło około czterdziestu osób.

Mieli ze sobą wóz, czy też wózek, podobny do tych, jakich się używa na lotniskach i dworcach kolejowych. Mieściły się na nim paczki z jarzynami i ziarnem oraz małe zawiniątka. W ostatniej chwili para młodych, śmiejąc się, ale nadal z zawstydzonymi, a przynajmniej niepewnymi twarzami, wepchnęła na wózek wielką wilgotną paczkę, z której sączyła się krew.

Na wózku leżały cienkie wiązki trzciny — dotychczas sprzedawane po domach; teraz trzy dziewczyny niosły je jako płonące pochodnie, jedną na

109

przedzie, jedną z tyłu, jedną w środku, o wiele jaśniejsze niż blade, jeśli w ogóle obecne, światło latarni ulicznych. No i ruszyli, ulicą na północny zachód, oświetlani pochodniami, które ronily niebezpieczne płonące kawałki tuż nad ich głowami. Śpiewali. Śpiewali Pokaż mi drogę do domu — nie zdając sobie najwyraźniej sprawy ze śmiesznego patosu tej pieśni. Śpiewali Mc nas nie poruszy oraz Tam nad brzegiem rzeki.

Przeszli, a ci, co pozostali na trotuarze, tworzyli nadal wcale liczną grupę. Wyglądali na upokorzonych i wkrótce się rozproszyli. Wróciła Emiły, w milczeniu. Rozejrzała się za Hugonem, który wrócił na swoje miejsce pod ścianą, usiadła koło niego i wciągnęła przednią połowę jego ciała na swoje kolana. Siedziała, obejmując go, pochylona nad nim. Widziałam duży żółty łeb leżący na jej ręce, słyszałam, nareszcie, jak mruczy i zawodzi cicho.

Wiedziałam teraz, że choć bardzo, bardzo pragnęła wyruszyć z wędrowcami w tę dziką, ryzykancką przyszłość, nie była gotowa poświęcić swojego Hugona. A przynajmniej trwała w rozterce. Ja zaś odważyłam się mieć nadzieję. Nawet jednak i wtedy zastanawiałam się, dlaczego ma dla mnie znaczenie to, że została. Została z kim? Ze mną? Czy wierzyłam, że powinna zostać tu, gdzie zostawił ją tamten człowiek? Cóż, moja wiara w to zaczynała słabnąć — przypuszczalnie ma znaczenie jej przetrwanie,

110

ale kto wie, gdzie mogłaby być najbezpieczniejsza? Czy uważałam, że powinna zostać ze zwierzęciem? Tak. Absurd oczywiście, bo przecież to tylko zwierzę- Ale było jej, kochała je, musiała o nie dbać; nie mogła go opuścić bez szkody dla siebie. Tak sobie mówiłam, spierałam się ze sobą, pocieszałam się __ spierałam się także z tym niewidzialnym mentorem, człowiekiem, który zostawił mi Emily i poszedł; skąd miałam wiedzieć, co robić? Co myśleć? Jeśli robiłam błędy, to czyja to wina? Nie powiedział mi nic, nie zostawił żadnych wskazówek; nie miałam żadnej możliwości dowiedzenia się, jakiego życia się po mnie oczekuje, jak ma żyć Emily.

Za ścianą znalazłam pokój, który był wysoki, niezbyt duży i chyba sześcioramienny. Nie miał mebli, tylko bardzo prosty kontuar wzdłuż dwu ścian. Na podłodze leżał dywan, ale był to dywan bez życia: widniał na nim skomplikowany wzór, choć barwy miały tylko możliwe, potencjalne istnienie, nic więcej. Musiał się tu mieścić bazar lub targ, po którym została obfitość szmat, tkanin, strzępów wielkanocnych ozdób, które miały wszyte drobniotkie lusterka, starej odzieży — wszystkiego, czego dusza zapragnie. Stali tu jacyś ludzie. Początkowo wydawało się, że w ogóle nic nie robią; wyglądali na beczynnych i niepewnych. Potem jeden z kłębówiska na stole wydobył kawałek materiału i pochylił się, by zestawić go z dywanem — spostrzegł, że wzór

111

odpowiada wzorowi dywanu. Ten kawałek został nałożony dokładnie na wzór dywanu i tchnął weń życie.

Przypominało to dziecięcą grę, tylko że to nie była gra, lecz poważna sprawa, istotna nie tylko dla ludzi zajętych tą pracą, ale i dla wszystkich. Potem inna osoba pochyliła się z kawałkiem wybranym

z wielobarwnej sterty na kontuarze, pochyliła się, porównała i wyprostowała się ponownie, by spojrzeć w dół. I tak stali, ponad dziesięć osób, w całkowitym milczeniu, przenosząc wzrok z dywanu na płataninę kawałków i z powrotem. Odnalezienie, szybki ruch, uśmiech zadowolenia lub ulgi, pełne uznania spojrzenie kogoś z pozostałych... nie było tu rywalizacji, jedynie najbardziej trzeźwa i życzliwa współpraca. Weszłam do pokoju, stanęłam na dywanie, tak jak oni spoglądałam w dół na jego niepełność, na wzór bez koloru, z wyjątkiem miejsc, na których ułożono dopasowane kawałki, tak że jedne części dywanu lśniły ponuro, jak po odbarwieniu, a inne płonęły wypełnione, doskonale. Ja także poszukiwałam kawałków materiału, które mogłyby ożywić dywan, i istotnie znalazłam jakiś, pochyliłam się, żeby go porównać i dopasować, gdy siła jakiejś presji kazała mi ponownie powstać. Uświadomiłam sobie, że wszędzie wokół, we wszystkich innych pokojach znajdują się ludzie, którzy po kolei wnikają tutaj, oglądają to centrum prac i zaczynają wyszukiwać

112

pasujące kawałki — przykładają je i odpływają do innych zajęć. Opuściłam ten wysoki pokój, którego sufit niknął gdzieś wysoko w ciemności, gdzie, jak mi się wydawało, dostrzegłam blask jakiejś gwiazdy, pokój, którego niższą część zalewało jasne światło jak oświetlenie sceny ogarniające milczące skupione postaci. Opuściłam je i poszłam przed siebie. Pokój znikł. Kiedy odwróciłam głowę, by nań jeszcze raz spojrzeć, nie mogłam go dostrzec, nie mogłam też stwierdzić, gdzie jest. Wiedziałam jednak, że jest i że czeka, wiedziałam, że nie zniknął, a praca w nim trwa, musi trwać, będzie trwać zawsze.

Dziś wydaje się, że było to długo, ale w istocie okres ów był dość krótki, paromiesięczny. Działo się tak wiele, każda godzina wydawała się wypełniona nowym doświadczeniem. Na pozór żyłam sobie spokojnie tu, w tym pokoju, z Hugonem, z Emily. Wewnątrz jednak panował chaos... uczucie, które człowieka ogarnia, kiedy wszystko zaznaje zmian, jest w ruchu, ulega destrukcji — lub rekonstrukcji, ale to nie zawsze w danym momencie widać — uczucie bezradności, jakby wirowało się w centryfudze lub diabelskim młynie.

Nie miałam jednakże innego wyboru, jak tylko robić nadal dokładnie to, co robiłam. Obserwować i czekać. Obserwować głównie Emily... która, tak się wydawało, jest od lat ohcym przybyszem. Tak

113

oczywiście nie było, ale lęk o nią wydłużał godziny. Żółte zwierzę, melancholijne, ukryło swój smutek — przysięgłabym, że tak było, choć to tylko zwierzę — zdecydowane na stoicyzm, niepokazywa-nie swych ran, siadało cicho w oknie za zasłoną, w miejscu, skąd mogło łatwo odskoczyć w tył, albo leżało wyciągnięte wzdłuż ściany w pozycji żałobnika, z łbem na przednich łapach, a jego zielone oczy były otwarte i nieruchome. Leżał tam godzinami, kontemplując swoje... myśli. Czemu nie? Myślał, osądzał, jak to widuje się u zwierząt, jeśli obserwować je bez uprzedzeń. Muszę tu powiedzieć o Hugonie, bo w którymś miejscu trzeba to powiedzieć, że moim zdaniem nie mają sensu komentarze automatycznie wywołane przez takie stwierdzenie, epitety w rodzaju „antropomorfizm”. Życie uczuciowe dzielimy ze zwierzętami; pochlebiamy sobie, że ludzkie uczucia tak bardzo przewyższają tamte stopniem złożoności. Być może jedynym uczuciem nie znanym kotu czy psu jest — romantyczna miłość. Ale i tu trzeba być ostrożnym. Czym bowiem jest uczuciowe oddanie psa dla pana lub pani, jeśli nie czymś w rodzaju takiej miłości, usychaniem z tęsknoty i owym „daj, daj”. Czym była miłość Hugona do Emily, jeśli nie tym właśnie? Co zaś do naszych myśli, aparatu intelektualnego, naszych racjonalizmów, logik, dedukcji i tak dalej, to z pewnością trzeba przyznać, że psy, koty czy małpy nie

114

potrafią zbudować rakiety latającej na Księżyc ani utkać sztucznych materiałów z przetworzonej ropy naftowej, tylko że kiedy tak tkwimy tu wśród ruin tego bogactwa inteligencji, trudno przyznawać jej wielką wartość; przypuszczam, że dziś tak samo nie doceniamy jej, jak kiedyś ją przecenialiśmy. Będzie musiała znaleźć swoje miejsce: sądzę, że niezbyt wysokie.

Moim zdaniem przez cały ten czas istoty ludzkie były obserwowane przez stworzenia, których postrzeganie i pojmowanie tak dalece wyprzedza wszystko, co z racji swej próżności byliśmy zdolni uznać, że gdybyśmy o tym wiedzieli, bylibyśmy przerażeni, upokorzeni. Żyliśmy z nimi w błędzie, ślepi, nieczuli, okrutni mordercy i oprawcy, a one obserwowały i poznawały nas. I to jest

powód, dla którego nie chcieliśmy uznać inteligencji otaczających nas stworzeń: wstrząs naszej amour-propre byłby zbyt wielki, sąd, jaki musielibyśmy wydać o sobie, zbyt straszny; jest to dokładnie ten sam proces, który każe komuś nie ustawać w popełnianiu zbrodni, bo zaprzestanie ich i przyjrzenie się własnemu dziełu byłoby zbyt bolesne i człowiek nie mógłby z nim stanąć twarzą w twarz.

Ludzie potrzebują niewolników, ofiar i istot uzależnionych, a wiele z naszych „zwierzątek” było nimi, bo naszym zdaniem powinny być, tak jak

m

i ludzie mogą ukształtować się według cudzych

115

oczekiwań. Ale nie ze wszystkimi stworzeniami tak jest. Przez całe życie, dokądkolwiek idziemy, nieustannie towarzyszą nam istoty, które nas osądzają i które zachowują się czasami z godnością... zwaną przez nas ludzką.

Hugon, ten uieudaczny stwór, w związku z Emily był delikatny jak wierny kochanek, któremu wystarcza bardzo niewiele, pod warunkiem że może pozostawać w pobliżu ukochanej. To właśnie Hugon sobie wyznaczył: nie stawiał żądań, nie prosił, nie marudził. Czekał. Tak jak ja. Obserwował tak jak ja. Spędzałam długie godziny z Hugonem. Albo siedziałam w pokoju, gdy słońce padało na ścianę, i czekałam, aż ściana się otworzy, rozchyli. Albo wychodziłam z domu jak wszyscy zbierać nowości, pogłoski i informacje, rozważać, co byłoby najlepiej zrobić, i decydować, żeby na razie nic nie robić. Zastanawiałam się, jak długo to miasto jeszcze postoi, pod każdym względem toczone erozją; gdy zamierały jego funkcje, ludzie uciekali, topniały zapasy żywności, prawo i porządek w coraz większym stopniu zależały od własnej inicjatywy mieszkańców, instynktownego samoograniczenia, a nawet troski o innych, będących w tym samym ciężkim położeniu.

Napięcie czekania nabrało jakby nowej ostrości. Po pierwsze, pogoda — nadeszło gorące i suche lato, słońce wyglądało jak pokryte kurzem. Chodnik

116

naprzeciw mojego okna znów się wypełnił. Teraz jednak zainteresowanie wydarzeniami na nim było mniejsze: w oknach tkwiło mniej głów, ludzie przywykli. Każdy wiedział, że raz po raz róg ulicy będzie częściowo pustoszał, gdy nowe plemię wyruszy, i z mieszanymi uczuciami docenialiśmy fakt, że los wybrał naszą ulicę na miejsce zborne grup opuszczających tę część miasta: przynajmniej rodzice wiedzieli, co robią ich dzieci, nawet jeśli im się to nie podobało.

Przywykliśmy do oglądania zbiórki tłumu z żalonym, skromnym bagażem, a potem wymarszu ze śpiewem starych pieśni wojennych lub rewolucyjnych, które wydawały się równie niestosowne, jak nieprzyzwoite piosenki w ustach starych ludzi. A Emily nie odchodziła. Biegła za grupą kawalek w towarzystwie paru innych dziewcząt, a potem wracała do domu, pognębiona, obejmowała Hugona, składając swą ciemnowłosą głowę na jego żółtej sierści. Wydawało się, że oboje płaczą. Garnęli się do siebie, smutne, pocieszające się nawzajem stworzenia.

Po drugie, Emily się zakochała... Zdaję sobie sprawę, że słowo to nie wydaje się odpowiednie jak na czasy, które opisuję. Chodziło o młodego mężczyznę, który miał chyba wyprowadzać następną grupę z miasta. Pomimo swego wyzywającego stroju był to młodzieniec zamyślony, a przynajmniej nieskory do decyzji, być może z temperamentu

117

obserwator, przez warunki owego czasu zmuszony do działania. W każdym razie był naturalnym strażnikiem młodszych, nieszczęśliwych, bezradnych. Znanego z tego i czyniono przedmiotem docinków, a niekiedy krytyki: miękkość tego rodzaju była zbędna r perspektywy wymogów przetrwania. Być może tym właśnie zdobył sobie Emily.

Jej zaufanie do niego było tak wielkie, że zdaje się rozważał} możliwość zabrania Hugona na ponowną próbę, ale Hugon musiał jakoś to wyczuć, bo zaczął dreeć i kurczyć się w sobie, tak iż musiała objąć go i posiedzieć:

— Nie, Hugon, nie pójdziemy, przyrzekam. Słyszałeś? Przecież przyrzekłam, prawda?

A więc tai to wyglądało, straciła rozsądek. Stara tradycyjna „pierwsza miłość”. To znaczy wcześniej było trochę szczeniących miłości, każda niosąca takie same mejii [tak samo silna i poważna jak

późniejsze „dorosłe” miłości; ta miłość była „pierwsza” i „poważna”, ponieważ została odwzajemniona, a przynajmniej uznana.

Pamiętam, że zastanawiałam się- czy ci młodzi ludzie żyjący czym się dało, którzy nigdy nie zamykali się parami pośród ścian, chyba że na kilka dni lub godzin w jakimś opuszczonym domu lub szałasie na polu, mówią sobie kiedykolwiek: Kocham cię. Czy ty mnie kochasz?Chcesz, żeby nasza miłość trwała? — i tak dalej. Wszyst-

118

te zdania coraz bardziej i bardziej przypominały Huczę lub dokumenty własności stanów i warunków już dziś przestarzałych.

Emily jednak cierpiała, doznawała bólu typo-wego dla jej wieku, gdy jest się świeżą jak młody liść i zakochaną w dwudziestodwuletnim bohaterze. Który ją wybrał z niewytłumaczalnych, wręcz tajemniczych powodów. Była jego dziewczyną, wybraną spośród wielu i znaną w tej właśnie roli. Towarzyszyła mu na trotuarze, chodziła z nim na wyprawy, a ludzie odczuwali przyjemność, a nawet czuli się ważniejsi, gdy zwracali się do niej: „Gerald mówi...”, „Gerald chce, żebyś...”. Z cierpienia wzbila się od razu w uniesienie i stała teraz u boku Geralda, zarumieniona i piękna, z omdłym spojrzeniem. Albo wciskała się w róg sofy, aby przez chwilę pobyć sama, a przynajmniej z dala od niego, bo wszystko to dla niej za wiele, zbyt silne, ona potrzebuje chwili oddechu. Promieniowało z niej zdumienie, nie dostrzegała ani mnie, ani niczego wokół siebie i na pewno powtarzała w duchu: Ależ on wybrał mnie, mnie..., choć nie znaczyło to: A ja mam dopiero trzynaście lat! Tak myśleliby ludzie w moim wieku. Dziewczyna jest gotowa do współżycia, gdy gotowe jest jej ciało.

Życie tych młodych ludzi było jednak życiem komuny i gdy dwoje się dobierało, seks nie stano-

119

wił celu czy centrum związku. Nie, wszelkie indy- I widualne przeżycia były niczym wobec owego aktu nieustannego mieszania się z tłumem innych, jak gdyby odbywał się jakiś rytuał wielkiego jedzenia, podczas którego każdy próbował, lizał i zwracał każdego, dając poznać siebie innym i poznając innych w tym smakowaniu i próbowaniu — oglądaniu siebie nawzajem, ocieraniu się plecami i ciałami o siebie, rozmowie, wymianie promieniowania.

Emily brała udział w tym wspólnym akcie, wspólnej uczcie, czuła jednak równocześnie jak tradycyjna dziewczyna. Wiedziała, że chciałaby być sam na sam z Geraldem: podobałoby jej się to stare doświadczenie.

Ale nigdy nie była z nim sam na sam.

Jej pragnienie było czymś niestosownym. Czuła, że czyni źle, że to wręcz przestępstwo, a przynajmniej coś godnego potępienia. Była anachroniczna.

Nie mówiłam nic, bo charakter naszych stosunków nie pozwalał mi pytać, a jej spieszyć z wyznaniem.

Wszystko, co wiedziałam, pochodziło z własnych obserwacji: że coraz bardziej i bardziej wypełnia ją gwałtowne pożądanie, które wybucha w niej, przesłania mgłą oczy i wstrząsa ciałem, zdumiewając nawet ją samą — pożądanie, którego nie ugasi uścisk na podłodze jakiegoś pustego pokoju lub pod miedzą na polu. Życie toczyło się wszędzie wokoło niej, ale

120

Gerald był zawsze w samym jej sercu: dokądkolwiek zwróciła się w celu wykonania jakiegoś zadania lub obowiązku, tam był i on, efektywny, praktyczny i zajęty ważnymi rzeczami, ale ją, Emily, opętał dziki wróg i szalała z radości i żalu. A jeśli jakimś nieostrożnym spojrzeniem lub słowem zdradzi, co czuje, to co wówczas? Straci swój dom pośród tych ludzi, pośród swego plemienia... Dlatego właśnie tak często wymykała się z powrotem do mieszkania, by przypełznąć do swego znajomego Hugona i otoczyć go ramionami. Na co on wydawał stłumiony jęk, bo dobrze wiedział, do czego jej służy.

Było tak: z jednej strony, Emily leży z policzkiem na szorstkiej żółtej sierści, jedna, ciągle jeszcze dziecięca dłoń trzyma strzępiaste ucho, napięte ciało wyraża pustkę i tęsknotę. Z drugiej strony, ściana obok mnie otwiera się, przypominając mi ponownie, jak łatwo i nieoczekiwanie potrafi to czynić, a ja idę ku drzwiom, zza których dobiegają jakieś głosy. Frenetyczny śmiech, piski, protesty.

Otwarłam drzwi na świat, którego aurą była irytacja, ograniczoność, małość. Świat o jasnych barwach: kolory płaskie i krzykliwe jak w starych kalendarzach. Gorące, zamknięte miejsce, wszystko bardzo duże, nadmierne, trudne: to znów dziecięcy punkt widzenia, w którym byłam uwięziona. Wielkość i małość, gwałtowność uczuć i ich nieistotność — sprzeczności, niemożliwości stanowiły tu integralną część

121

substancji tego, co się widziało po wejściu w ten szczególny klimat. Była to sypialnia. Znow na kominku płonął ogień osłonięty wysoką metalową przegrodą. Znow był to gęsty, ciężki, absorbujący pokój, jego aurą był czas, tykanie zegara odbierało się jako warunek wyznaczający każdą chwilę i myśl. Pokój pełen gorącego blasku: czerwona pościła zlewała się i mieszała z cieniem okrywającym ściany, sufit i niezmiernie długie białe miękkie zasłony, które wypełniały ścianę naprzeciw dwu łóżek: łóżek ojca i matki, męża i żony.

Zasłony, ten ich delikatny ciężar, z jakiegoś powodu przejęły mnie lękiem. Zrobiono je z białego batystu lub muślinu zdobionego wypukłym falistym ornamentem i były wielokrotnie podszyte, warstwa na warstwie. Biel, która miała być lekka i przejrzysta, by wpuszczać słońce i nocne powietrze, została schwytna, pogrubiona i uczyniona ciężką; zwieszała się teraz całunem odcinającym powietrze i światło i odbijała gorący blask płomienia z osłoniętego metalową przegrodą kominka.

Po jednej stronie pokoju siedziała matka ze swym małym chłopczykiem w wilgotnej welfence. Obejmowała go, była nim pochłonięta. W wielkim krześle pod zasłonami siedział mężczyzna o żołnierskim wyglądzie, między rozchylonymi kolanami ściskając dziewczynkę, która stała i coś krzyczała. Na jego twarzy rysował się pod wąsami skąpy uśmiezek.

122

Łaskotał" dziecko. Była to „zabawa”, „zabawa” na dobranoc, rytuał. Ze starszym dzieckiem przed jego pójściem do łóżka bawiono się, męczono je, dawano mu jego przydział uwagi, i była to przysługa ojca wobec matki, która nie mogła sprostać wymogom dnia, wymaganiom Emily. Dziecko miało na sobie długą koszulkę nocną z falbankami u nadgarstków i szyi, włosy wyczesane i przewiązane wstążką. Kilka minut wcześniej stała się czystą, miłą, schludną dziewczynką w białej koszulce nocnej i z białą wstążką we włosach, ale teraz było jej gorąco, pocila się, jej ciało wiło się i skręcało, usiłując uciec od wielkich rąk mężczyzny, które ściskały i ugniatały jej żebra, uciec od tej wielkiej okrutnej twarzy, która pochylała się nisko nad nią z wyrazem zadowolenia z siebie. Pokój wydawał się wypełniony gorącą trwożą, lękiem przed przetrzymywaniem w nim, potrzebą bycia tu trzymaną i dręczoną, bo w taki właśnie sposób zadowalała tych, którzy ją więzili.

Krzyczała: „Nie, nie, nie, nie...”, bezradna, wydana temu obnażającemu ją mężczyźnie.

Matka zachowywała się obojętnie. Nie wiedziała, co się dzieje ani jak dziewczynka cierpi. To przecież „zabawa”, a piski i protesty znała jeszcze z własnego dzieciństwa, a więc są czymś normalnym, zdrowym, dozwolonym. To od tej kobiety płynęła owa pustka, obojętność ignorancji. Gruchała i przemawiała do swego flegmatycznego synka

123

o otwartych ustach, podczas gdy ojciec wykonywał dalej swe zadanie, od czasu do czasu spoglądając na żonę, wspaniale wyrażając tym cały kompleks uczuć — poczucie winy, ale tego sobie nie uświadamiał, próbę przekonania jej, bo czuł, że nie robi dobrze i powinien przestać, zdziwienie, że ona mu pozwala, nie tylko nie protestuje, ale aktywnie zachęca do „zabawy”, oraz zmieszane z tym wszystkim spojrzenie, które nigdy nie zniknęło z jego twarzy, spojrzenie wyrażające całkowitą niewiarę w niemożliwość czegokolwiek. Rozluźnił kolana i udawał, że wypuszcza dziecko, które omal nie upadło, przytrzymało się jego kolana, aby ustać na nogach, ale zanim zdążyło uciec, zostało ponownie schwytnane, gdy kolana zatrzasnęły się na jego boku.

Wyborna tortura zaczęła się na nowo.

— No co, Emily, no, no — mrucał wielki mężczyzna, zatapiając ją w woni tytoniu i nieświeżej bielizny. — No i co, i co, a mam cię — mrucał, gdy palce grubsze od każdego z jej żeber wbijały się w jej boki, a ona krzyczała i prosiła o litość.

Scena wygasła jak iskra, znikła jak koszmar, ale ten sam mężczyzna siedział teraz w tym samym

pokoju, tylko że na krześle obok łóżka. Miał na sobie ciężką brązową szatę z jakiejś bardzo grubej szorstkiej wełny, żołnierski strój, siedział, palił i patrzył na żonę. Duża, zdrowa kobieta w gwałtownym tempie sprawnie zrzucała swe stroje, siedząc na skraju

124

łóżka po stronie kominka; teraz było jednak lato, a w kominku stały czerwone kwiaty. Zasłony wisiały wiotkie i nieruchome, bardzo białe, i odsunięte na bok ukazywały przestrzeń czarnych szyb, w których odbijał się mężczyzna, pokój, odbijały się szybkie ruchy kobiety. Nie pamiętała o mężu, który siedział, patrząc, jak wyłania się jej nagość. Kobieta mówiła, roztaczała przed nim, przed sobą obraz swego dnia:

— A o czwartej byłam już zupełnie wykończona, Emily spała po południu, a Dzieciaczek przez całe rano nie zasnął, nie spał, a Emily była dziś bardzo absorbująca i wymagała tyle uwagi... i... i...

Skarga płynęła dalej, a ona wstała, naga, rozglądając się za piżamą. Była wspaniała, mocną kobietą o białym ciele i małych, krągłych piersiach. Brodawki wyglądały dziewiczo jak na matkę dwojga dzieci: małe, o wąskich różowych otoczkach. Obfite kasztanowe włosy spływały wzdłuż pleców; podrapała się najpierw po głowie, potem pod pachą, podnosząc ramię i odsłaniając kosmyki długich brązowych włosów. Na twarzy pojawił się wyraz głębokiego zadowolenia, który przeraziłby ją, gdyby go widziała. Podrapała się pod drugą pachą, potem zaczęła się namiętnie drapać, obiema rękami, po żebrach, biodrach, brzuchu. Niżej jej dłonie nie wędrowały. Stała tak, drapiąc się gwałtownie przez dłuższy czas, parę minut, ene*rgiczne palce zоста-

125

wiały na mocnym białym ciele czerwone ślady, a od czasu do czasu wstrząsał nią dreszcz przyjemności, rzekomo dreszcz z powodu zimna. Mąż siedział w milczeniu i patrzył. Na jego twarzy rysował się lekki uśmieszek. Podniósł papierosa do ust, zaciągnął się głęboko i powoli wypuszczał dym, pozwalając mu uchodzić przez nos i półotwarte usta.

Żona skończyła się drapać i zawijała się teraz w bawełnianą piżamę w różowe kropki, w której wyglądała jak wesoła uczennica. Jej twarz przybrała mimowolnie chciwy wyraz — pragnienia snu. W wyobraźni tonęła już w zapomnieniu. Sprawnie wsunęła się do łóżka, jakby jej mąż w ogóle nie istniał, jednym ruchem położyła się i odwróciła plecami do niego. Ziewnęła. Potem przypomniała sobie o nim: jest jeszcze coś, co powinna zrobić, zanim pozwoli sobie na najwyższą przyjemność. Odwróciła się, powiedziała:

— Dobranoc, staruszku — i natychmiast zapadła w otchłań i zasnęła twarzą do niego.

On siedział dalej, palił, teraz otwarcie oglądając ją podczas swego leniwego siedzenia. Było tam rozbawienie i niedowierzanie, a równocześnie surowość, która zaczęła się jako odmiana moralnego wyczerpania, nawet braku żywości, i dawno temu stała się wyrokiem na niego samego i innych.

Zgasił teraz papierosa i wstał z krzesła, ostrożnie, jakby obawiał się obudzić dziecko. Wyszedł

126

do sąsiedniego pokoju, który był pokojem dzieciennym o owych czerwonych aksamitnych zasłonach i z białą, białą, białą wszędzie. Dwa łóżeczka, jedno małe, drugie duże. Szedł cicho, wielki mężczyzna pośród tysiąca drobnych dzieciennych rzeczy, minął małe łóżeczko i podszedł do dużego. Stał w jego nogach i patrzył na uśpioną teraz dziewczynkę. Policzki miała szkarłatne. Na czole perliły się kropelki potu. Spała lekkim snem. Gdy patrzył, ona zrzuciła kopnięciem kołdrę z siebie, obróciła się i leżała z koszulką podwiniętą do pasa, ukazując małe pośladki i tylną stronę ładnych nóg. Mężczyzna pochylał się i patrzył, patrzył... odgłos z sypialni, żona odwracała się na drugi bok i mówiła coś przez sen, kazał mu się wyprostować i spojrzeć — z wyrazem winy, ale wyzywająco, a przede wszystkim ze złością. Ze złością na co? Na wszystko, brzmiała odpowiedź. Znowu było cicho. Gdzieś na dole tego wysokiego domu zadzwonił zegar: dopiero jedenasta. Dziewczynka znowu odwróciła się gwałtownie i leżała teraz na plecach, obnażona, z wystawionym brzuszkiem. Twarz mężczyzny ujawniła nowe emocje. Nagle, ale nie szorstko, podciągnął kołdrę i szczelnie okrył dziecko. Natychmiast zaczęła się wiercić i łkać. W pokoju było zbyt gorąco. Okna były zamknięte. Zamierzał je otworzyć, ale przypomniał sobie o zakazie. Odwrócił się i opuścił pokój dziecienny, nie patrząc już na łóżka. Chłopczyk spał cicho z otwartymi ustami,

127

ale dziewczynka wierciła się i walczyła, żeby Cię wydostać, wydostać, wydostać.

W pokoju, którego okna wychodziły na wypie_ lęgowany ogród, pokoju, który pozwalał „wyczuć” aurę jakiegoś innego kraju i był odmienny od pozostałych pokoi tego domu, znajdowało się małe łóżko z leżącą w nim dziewczynką. Była starsza, a przy tym chora i rozdrażniona. Bardziej blada i szczupła niż dotychczas, kiedy ją widziałam, ciemne włosy wilgotne i w strączkach, woń zastarzałego potu. Wszędzie wokół niej leżały książki, zabawki, komiksy. Poruszała się niespokojnie i bez przerwy, pocierając o siebie nogi, wierząc się, przewracając z boku na bok, zawodząc cicho, mrucząc jakieś skargi i polecenia. Cała była wulkanem gorączki, energii, pragnień, gniewu, pożądania. Weszła wysoka duża kobieta, zajęta niesioną przez siebie szklanką. Na widok szklanki twarz dziewczynki pojaśniała: nareszcie jakaś rozrywka; przybrała pozycję półleżącą. Matka jednakże postawiła już szklankę i odchodziła do innych zajęć.

— Zostań ze mną — prosiła dziewczynka.

— Nie mogę, muszę się zająć Dzieciaczkiem.

— Dlaczego ciągle nazywasz go Dzieciaczkiem?

— Nie wiem, właściwie to czas już... jest już wystarczająco duży... ale ciągle zapominam.

— Zostań, proszę, proszę.

— No dobrze, ale tylko na chwilę.

128

Kobieta przysiadła na samym skraju łóżka, miała ^ryład udręczonej, swój zwykły wygląd przeciążone] pracą i zirytowanej. Ale było jej także miło.

__ Wypij lemoniadę.

__ Nie chcę. Mamusiu, przytul mnie, przytul mnie...

— Och, Emily!

Ze śmiechem zadowolenia kobieta pochyliła się do przodu, nadstawiając szyję. Dziewczynka ogarnęła ją ramionami i zawisła w tej pozycji. Ale nie miała odwagi. „Przytul mnie, przytul mnie”, zawodziła jakby do siebie, i być może do siebie, bo kobietę wcale to nie dziwiło. Znosiła przez chwilę drobne gorące ramiona, ale potem nie mogła już się powstrzymać — niechęć kazała jej unieść własne ramiona, by odsunąć od siebie ręce dziecka.

— No, wystarczy — powiedziała.

Ale pozostała jeszcze trochę. Obowiązek kazał jej pozostać. Obowiązek wobec czego? Wobec choroby najprawdopodobniej. „Chore dziecko potrzebuje matki”. Coś w tym rodzaju. Między gorącym, usychającym z pragnienia ciałem dziewczynki, które pragnęło ukojenia pieśczętą, ciepłem, pragnęło leżeć obok wielkiego, silnego muru ciała, bezpiecznego ciała, które nie będzie łaskotać, tłamsić i ugniatać, pragnęło bezpieczeństwa i pewności — między nią a rytmicznie oddychającym, zimnym ciałem matki, samowystarczalnym wcieleniem obo-

129

WL

ści

ązku, rozci3Sn<?ła si<? Pustka> Pole nieświadomo. ' ■ nie ^yio kontaktu, wzajemnego pocieszenia. Dziewczynka położyła się z powrotem, po czym sięgnęła po szklankę i piła gwałtownie. Gdy szklanka była pusta, matka wstała i powiedziała:

— Zrobi? ci jeszcze jedną.

__ qc^ zostań ze mną, zostań ze mną.

__ Emily, nie mogę. Znowu zaczynasz swoje.

— Czy tatuś przyjdzie?

— Jest zajęty.

— Nie m°Słby mi Poczytać?

__ Qama sobie możesz poczytać, jesteś dużą dziewczynką,-

Kobieta wyszła z pustą szklanką. Dziewczynka wyjęła spod poduszki niedojedzony biszkopt i wzięła jakąś książkę; czytała i jadła, jadła i czytała, jej nogi były W ciągłym ruchu, poruszały się i

zmieniały nozycję, wolna dłoń dotykała policzka, włosów, ramion, wędrując po całym ciele, coraz niżej, w pobliże pochwy- swych „intymnych rejonów” — ale stamtąd wycofała się szybko, jakby tę sferę otaczał drut kolczasty- Potem głaskała swe uda, krzyżowała je i prostowała, poruszała się, przekręcała, czytała i jadła, jadła i czytała.

Emilv le^a*a teraz na podłodze mojej bawialni.

—Kochany Hugon... kochany, kochany Hugon

— ty jesteś mój Hugon, mój kochany Hugon...

Mnie zaś wypełniała owa zabawna niecierpliwość, bezradność dorosłego, który patrzy, jak młoda

130
istota rośnie. Oto była tu, zamknięta w swym wieku, ale w ciągłym związku z owymi scenami zza ściany, gdzie był Hinterland, który ją ukształtował — ale ona nie mogła ich widzieć ani wiedzieć o nich, a moje opowiadanie jej o tym nie miałyby sensu: usłyszałaby wówczas ode mnie słowa, nic więcej. Z tonącej w cieniu sfery za jej plecami nadchodziły polecenia: Jesteś tym, tym i tym — masz być tym, a nie tamtym, a biologiczne wymogi jej wieku z dokładnością zegara dały o sobie znać w jej życiu w sposób ścisły i przewidywalny, czyniąc ją dokładnie tym a tym. I tak to będzie szło, tak musiało iść, a ja mam obserwować; we właściwym czasie ona napełni się jak zbiornik treściami i doświadczeniami; pomogą jej owe akuszerki, niektóre rozpoznawalne, zrozumiałe i wspólne wszystkim, inne dadzą się określić tylko na podstawie swych metod działania — osiągnięcie dojrzałość, ów stan idealny, uważany za uzasadnienie wszystkich wcześniejszych doświadczeń, szczyt osiągnięć, nieunikniony dla niej i dziwny. To poprzez ten punkt patrzymy na wszystko, widzimy szczyt biologiczny: rozwój, osiągnięcie wierzchołka krzywej istnienia jako zwierzęcia, potem opadanie w dół ku śmierci. Oczywiście nonsens, absurd, trudno mi było jednak zwalczyć w sobie taki obraz Emily, wyłączyć niecierpliwość, gdy patrzyłam, jak tarza się obok swego mruczącego żółtego zwierzęcia i tuli do nie-

131

go, skłonić samą siebie do uznania, że ten etap jej życia jest w każdym calu równie ważny jak to, co ją czeka w przyszłości — może do podsumowania lub zamknięcia w obrazie życzliwego, spokojnego uśmiechu — i że ja naprawdę czekam (na co i o u a musi gdzieś w swym wnętrzu czekać) na chwilę, gdy zejdzie z tej karuzeli, z tych ruchomych schodów niosących ją z mroku w mrok. Zejdzie całkowicie... A potem?

Zycie na trotuarze weszło w nowy etap. Wiązało się to z Geraldem, ściśle mówiąc z jego pragnieniem ochrony słabych, utożsamiania się z nimi, a więc z cechą, która nie mieściła się na chwiejnych szalkach przetrwania. Pojawiły się tam nagle dzieci w wieku dziewięciu, dziesięciu, jedenastu lat, same, bez rodzin. Jedne miały rodziców, od których uciekły lub których widywały tylko czasami. Inne rodziców w ogóle nie miały. Co się z nimi stało? Trudno powiedzieć. Oficjalnie dzieci te nadal oczywiście miały rodziców, dom i wszystkie tego typu rzeczy, a jeśli nie, to miały opiekunów lub były w domu dziecka; oficjalnie chodziły nawet do szkoły. W praktyce jednak było zupełnie inaczej. Czasami dzieci przyłączały się do innych rodzin, gdy ich rodzice nie mogli dać sobie rady z wymogami życia i nie wiedzieli, gdzie znaleźć jedzenie, albo po prostu tracili zainteresowanie dziećmi i wyrzucali je,

132

hv same sobie radziły, tak jak dawniej ludzie czynili z psami i kotami, które przestawały sprawiać nrzyjeniność. Niektórzy rodzice nie żyli, padłszy ofia1^ przemocy lub epidemii. Inni opuścili miasto i zostawili dzieci. Władze usiłowały nie dostrzegać tych błąkających się istot, jeśli w jakiś szczególny sposób nie przyciągały uwagi, ale ludzie mogli je żywić lub zabierać do swoich domów. Nadal były częścią społeczeństwa, chciały być, i trzymały się miejsc, w których żyli ludzie. Różniły się diametralnie od dzieci, które wkrótce będą musiała opisać, a które stawały całkowicie poza społeczeństwem, były naszymi wrogami.

Gerald zauważył, że kilkanaścioro dzieci dosłownie mieszka na trotuarze, i zaczął się nimi zajmować w sposób zorganizowany. Emily oczywiście uwielbiała go za to i broniła przed nieuniknioną krytyką. Głównie o starych ludziach mówiono, że trzeba im pozwolić umrzeć — dodało to nowy wymiar grozy do życia ludzi starszych, i tak już marnego — że słabsi mają iść pod

ścianę: to już następowało i tego procesu nie zatrzymają łzawe sentymenty. Gerald jednak postanowił. Zaczął od obrony dzieci, gdy gang usiłował je przepędzić. Spały na opuszczonej parceli za chodnikiem, i wkrótce zaczęły się skargi na smród i śmieci. Niebawem stanie się to, czego wszyscy obawialiśmy się najbardziej: będą musiały interweniować władze.

133

Wszędzie wokół dużo domów i mieszkań stało pustych; w odległości około pół mili stąd był wielki opuszczony dom w całkiem przyzwoitym stanie Tam Gerald zabrał dzieci. Prądu nie było już od dawna, ale wówczas mało kto płacił za prąd. Woda nadal była. Szyby wprawdzie zostały powybijane, ale do parterowych okien dorobili okiennice, a na wyższych piętrach zalepili okna kawałkami starej folii.

Gerald został ojcem czy też starszym bratem dzieci. Zdobywał dla nich żywność. Częściowo wypraszał w sklepach. Ludzie byli tacy hojni. Dziwna rzecz: wzajemna pomoc i ofiarność szły ręką w rękę z twardą nieczułością. Robił wyprawy na wieś i zdobywał artykuły, jakie jeszcze można było kupić lub ukraść. Ale najlepszą rzeczą był wielki ogród z tyłu domu; Gerald nauczył dzieci uprawiać ziemię. Ogrodu dzień i noc strzegły starsze dzieciaki, uzbrojone w rewolwery lub kije, łuki, strzały i proce.

A więc ciepło, troska, rodzina.

Emily uważała, że trafiła jej się gotowa rodzina.

Zaczął się teraz nowy, dziwny okres. Mieszkała u mnie, „pod moją opieką” — niby żart, ale nadal racja naszego bycia razem. Z pewnością mieszkała ze swym Hugonem, którego nie mogłaby opuścić. Co wieczór jednak, po wczesnej kolacji (zawsze starałam się przyrządzać ten posiłek w porze dostosowanej do jej nowego życia), mówiła: „Chyba wyjdę na trochę, dobrze?”, i nie czekając na odpowiedź,

134

bdarzywszy mnie tylko lekkim, przepraszającym, nawet nieco rozbawionym uśmiechem, wychodziła> ucałowała Hugona, co stanowiło zawsze ich prywatny ceremoniał, coś jak porozumienie lub obietnica. Wracała zwykle rano.

Oczywiście obawiałam się ciąży, jednakże konwencja naszego związku nie pozwalała mi pytać, a poza tym podejrzewałam, że to, co ja uważałam za ogromny ciężar, który by ją przygniótł, zniszczył, ona powitałaby stwierdzeniem: „No i co z tego? Inni też mają dzieci i jakoś sobie radzą”. Martwiło mnie także, iż jej przywiązanie do nowej rodziny stanie się tak silne, że po prostu wywedruje od nas, od Hugona i ode mnie. Tak więc oboje czekaliśmy. Czekanie było naszym głównym zajęciem. Towarzyszyliśmy sobie. On jednak nie był mój, nie był moim zwierzęciem, z całą pewnością. Nasłuchiwał i czekał na Emily: jego zielone oczy były niezłomne i czujne. W każdym momencie gotów był wstać i powitać ją u drzwi — wiedziałam na parę minut wcześniej o jej nadejściu, bo zaczynał węszyć, nasłuchiwać i wyczuwać jej obecność, gdy była jeszcze o kilka ulic od domu. U drzwi dwie pary oczu, zielona i brązowa, strzelały oślepiającym strumieniem uczucia. Potem ona ścisnęła go, karmiła i szła się wykapać. We wspólnocie Geralda nie było jeszcze łazienki ani prysznic. Ubierała się i od razu wychodziła na trotuar.

135

Ten okres również, jak się wydawało, trwał bez końca. Lato było długie, pogoda dzień za dniem taka sama. Gorąco, parno, kurz i hałas. Emily, podobnie jak inne dziewczęta, wraz z nadejściem upałów powróciła do dawnego sposobu ubierania się, zrzuciwszy grubą odzież noszoną w celach praktycznych. Znów wydobyła maszynę i ze starej odzieży z bazaru uszyła sobie kilka wesołych, fantazyjnych sukienek; stare stroje także nosiła. Dla kogoś w moim wieku trotuar wyglądał nader dziwnie, wystawiając na pokaz modę z różnych dekad i unieważniając ów porządek pamięci oparty na ustaleniach: „To było w roku, kiedy nosiło się...”.

Codziennie, począwszy od wczesnego popołudnia, Gerald i dzieci ze wspólnego domu przebywali na trotuarze, więc Emily była oddzielona od swej „rodziny” tylko przez parę godzin, w czasie których składała wizytę w domu, by się przebrać i wykapać, a także wieczorami przez prawie

godzinę, kiedy jadła ze mną kolację. Albo raczej z Hugonem. Sądzę też, że wpadanie do domu na te krótkie okresy było niezbędne emocjonalnie: potrzebowała wytchnienia od swych uczuć, swego szczęścia. W tamtym drugim domu wszystko było jednym wielkim crescendo radości, powodzenia, spełnienia, działania, tworzenia własnej niezbędności. Powracała stamtąd jak ktoś uciekający ze śmiechem spod gęstej ulewy lub od zbyt głośnej muzyki. Ładowała na

136

mojej sofie uśmiechnięta, gotowa do lotu, wygrzewając się w słońcu, życzliwa całemu światu. Nie orzestawała się uśmiechać, gdziekolwiek była, aż ludzie spoglądali na nią, podchodzili, żeby z nią rozmawiać, dotykać jej, zaczerpnąć żywości, która z niej tryskała, tworząc staw czy też zbiornik życia. A na promieniejącej twarzy ciągle dostrzegaliśmy pełne niedowierzania: Ale dlaczego m n i e? To się przytrafiło mnie!

Cóż, taka intensywność nie mogła oczywiście trwać długo. U swego szczytu była już zagrożona: Emily popadała w drobne depresje, znużenie i irytację, gdy tylko uniesienia sprzed godziny wydawały się jej już nieosiągalne. Potem znów rzucała się w radość.

Rychło spostrzegłam, że Emily nie jest jedyną dziewczyną, jaką Gerald darzy względami, na pewno nie była jedyną pomagającą mu w prowadzeniu owego domu. Wiedziałam, że nie jest pewna, jakie miejsce przy nim zajmuje. Czasami nie szła do jego domu, lecz zostawała ze mną; najwidoczniej starała się „pokazać” mu, a przynajmniej przekonać samą siebie, że nadal stać ją na niezależność woli.

Z targowiska pogłosek dowiedziałam się, że młody mężczyzna Gerald „uwodzi wszystkie młode dziewczęta, to wstrząsające”. Zabawnie było słyszeć te dziwne słowa: uwodzić, niemoralne, wstrząsające i tak dalej; że brak im było siły, dowiódł fakt, iż niczego nie przedsięwzięto. Gdy mieszkańcy są

137

poruszeni, okazują to, ale nikogo zbytnio nie obchodziło, że trzynasto- czy czternastoletnie dziewczęta uprawiają seks. Powróciliśmy do dawnych etapów rozwoju człowieka.

A co czuła teraz Emily? Jej uczucia znów nie dostosowały się do zmiany. Po paru tygodniach, a nawet dniach, widziała siebie jako wdowę po minionym błogostanie, raju: chciała, żeby wiecznie trwał ów czas, gdy czuła się słońcem przyciągającym ku sobie wszystkich, darzącym ich światłem i ciepłem, radością stwarzaną wraz z kochankiem Geraldem. Kiedy jednak stwierdziła, że nie jest jego pierwszą ani jedyną, że czuje się niepewnie i bez oparcia tam, gdzie wedle jej odczuć miało być jej centrum, wówczas straciła swój czar kwiatu, swój blask, wyglądała blado, siedziała zobojętniała i musiała się zmuszać do działania. Zadowolala mnie ten obrót rzeczy. Ciągle czułam, że powinna być ze mną, ponieważ ów człowiek — opiekun, obrońca czy ktokolwiek to był — prosił mnie o opiekę nad nią. I jeśli Gerald ją zawiódł — tak to odczuwała — było to przykre, ale przynajmniej nie wyruszy z nim, gdy przyjdzie na niego kolej wyprowadzenia plemienia. Jeśli w ogóle będzie chciał wyruszyć, skoro stworzył teraz tamtą nową wspólnotę.

Czekałam, obserwowałam... przechodziłam przez jasny ekran liści, kwiatów, ptaków, kwitnących drzew, esencji lesistych stron ożywionej na wytar-

138

tym wzorze tapety, szłam przez pokoje, które jakby się postarzały od czasu, gdy je poprzednio widziałam. Ściany stały się cieńsze, ich substancja ulotniła się w powietrze, w czas; z leśnej podściółki wyrastały słabe wysokie ściany, jeszcze wprawdzie proste i pod właściwymi kątami, ale już widma ścian, jak dekoracje w teatrze. Wznosiły się ku konarom, ginęły pośród listowia, a słońce kładło się na nich płytką, czystą smugą w miejscach niezastłoniętych liśćmi. Wdarła się ziemia i wszędzie rosły świeże kwiaty i trawa.

Przechodziłam z pokoju do pokoju przez niematerialne ściany, poszukując lokatorów, mieszkańców, tego, czyją obecność czułam nawet wtedy, gdy las niemal całkowicie zawładnął tym miejscem.

Ktoś... tak, istotnie, ktoś tu był. Blisko... Szłam cicho po trawie wzdłuż pochylonej, cienkiej jak skorupka ściany, szłam bezszelestnie, wiedząc, że na krawędzi, w miejscu, gdzie przecinające się ściany dawno temu upadły i zgniły, będę mogła nareszcie i bez trudu odwrócić głowę i zobaczyć — osobę, ktokolwiek to jest... silną, delikatną obecność, bliską, ta twarz będzie mi znana, zawsze była

mi znana. Kiedy jednak doszłam do skraju ściany, szemrał tam wśród trawy mały strumyk, tak czysty, że z jego dna pełnego jasnych kamyków spoglądały na mnie okrągłymi oczami rybki, jakby między nimi a mną nie było wody, jakby wisiały w powietrzu u moich stóp.

139

Błądząc pośród pokoi otwartych na listowie i rnie_ bo, po podłodze, którą tworzyły niezatrute kwiaty i trawa starego świata, widziałam, jak rozległe jest to miejsce, bez granic lub końca, który mogłabym znaleźć, bardziej rozległe, niż mogłam przypuszczać. Gdy dawno temu domostwo stało prosto, grube i mocne, chroniąc przed lasem i pogodą, iluż ludzi musiało tu mieszkać, mnóstwo, ale wszystkich pokonała ta jedna Obecność; była ona powietrzem, którym oddychali — choć tego nie wiedzieli — była Całością, której drobne cząstki stanowili, a o ich życiu i śmierci równie mało decydował ich osobisty wybór i wola, jak mało komórki liścia decydują o swym losie i przebiegu życia.

Wróciłam do strefy granicznej, za którą mieściło się moje „realne” życie, i stwierdziłam, że tu nadal jeszcze pokoje są solidne, o grubych ścianach, o nietkniętych podłogach i stropach, ale gdy tak patrzyłam, zauważyłam, że deski podłogi zaczynają się poddawać, że w paru miejscach się zapadły, potem, że widać w nich wystrzępione dziury, potem, że w gruncie rzeczy to nie są deski podłogi, tylko parę gnijących desek leżących wprost na ziemi, która wypuszcza w górę kępki zieleni. Odsunęłam deski, odsłaniając czysty grunt i owady żywo zajęte zabawą. Rozsunęłam ciężkie, podszyte zasłony, by wpuścić trochę słońca. Duszny stary pokój wydawał silną woń wzrostu, a ja wybiegłam stamtąd

140

- zaczęłam przedzierać się przez cienkie liściaste ekrany, opuszczając to miejsce, tę strefę, by dotrzeć do czystego wzrostu i pracujących owadów, ponieważ...- musiałam. Nigdy zresztą nie było tak, iżbym to ja sama polecała sobie, że teraz muszę przerwać swe codzienne życie, bo czas wyjść z jednego życia i wkroczyć w inne; nie ja czyniłam przejrzystą tę oświetloną słońcem ścianę, nie ja ustawiałam scenę za nią. Nigdy nie miałam możliwości wyboru. Bardzo silne było uczucie, że robię to, co mam robić, i tak, jak muszę to robić, że zostałam zabrana, poprowadzona, zostało mi pokazane, że zawsze znajduję się we wnętrzu wielkiej dłoni, zamykającej w sobie moje życie i wykorzystującej mnie do spraw, wobec których nazbyt jestem chrząszczem czy dżdżownicą, aby je zrozumieć.

Te uczucia, zrodzone z doświadczeń za ścianą, sprawiły, że zaczęłam się zmieniać. Niepokój i głód, towarzyszące mi przez całe życie, a obok nich gniew protestu (ale przeciw czemu?) zaczęły słabnąć. Stwierdziłam, że najczęściej po prostu czekam. Obserwuję, co się dalej wydarzy.

Obserwowałam więc. Na każde nowe zdarzenie patrzyłam w milczeniu, by stwierdzić, czy potrafię je zrozumieć.

Następnym zdarzeniem była June.

Pewnego rana, gdy Emily była w domu ze mną i z Hugonem pełny dzień i całą noc, nie poszła w ogóle do domu wspólnoty, do drzwi zastukała ja-

141

kas dziewczynka, pytając o Emily. Mówię „dziewczynka”, zdając sobie sprawę z absurdalności tego określenia, które zwykle kojarzy się ze świeżością i nadzieją. Mimo wszystko była to dziewczynka: bardzo chude dziecko o silnie sterczących kościach. Miała bladoniebieskie oczy, blade włosy, które wyglądały na brudne, zwieszały się na ramiona i częściowo zakrywały drobną, proszącą twarz. Była mała jak na swój wiek, wyglądała na osiem lub dziewięć lat, a miała w rzeczywistości jedenaście. Innymi słowy, była tylko o dwa lata młodsza od Emily, już młodej kobiety, i do tego kochanej — być może

przez króla, przez Geralda. Jej piersi jednak ledwo się wyróżniały, a całe ciało wciąż jeszcze było w stadium poczwarki.

— Gdzie jest Emily? — zapytała stanowczym tonem.

JeJ głos... powiem tylko tyle, że było to dalekie od „porządnej angielszczyzny” używanej kiedyś w komunikatach przez oficjeli. Ledwie mogłam ją zrozumieć, tak zdegenerowana była jej wymowa. Nie chodzi o używane przez nią słowa, zawsze dość wyraźne, gdy się je rozszyfrowało,

podejmujące uparte i zdecydowane próby wykładania sensów i myśli równie jasno i dobrze, jak czyni to mowa nauczyciela. Stanowczość jej: „Gdzie jest Emily?”, nie brała się z prostactwa, ale z wysiłku, jaki w to zdanie włożyła, i zdecydowanej woli, by ją zrozumiano

142

• zaprowadzono do Emily lub by Emily przyprowadzono do niej. Brało się też stąd, że nie była osobą wychowywaną w wierze, iż posiada jakieś prawa. Niemniej sięgała po wybrane cele, chciała czegoś i zdobywała to: dostanie swoją Emily bez pomocy słów, umiejętności, manier — bez pomocy praw.

— Tutaj jest — powiedziałam. — Wejdz, proszę.

Poszła za mną, stężała od determinacji, która ją tu przywiodła. Wzrok jej chłonał wszystko, a mnie przyszło na myśl, że ona wycenia to, co widzi. Albo raczej ocenia, bo „wycenianie” było już nieco przestarzałe. Kiedy zobaczyła Emily, tego dnia markotną, cierpiącą młodą kobietę, na krześle przy oknie, z bosymi stopami po obu stronach swego towarzysza, żółtego zwierzęcia, twarz dziecka rozjaśnił rozdzierający serce uroczy uśmiech całkowitego zaufania i miłości i dziewczynka, zapominając się, pobiegła do Emily. Ta zaś, ujrzawszy ją, uśmiechnęła się, zapomniała o swoich kłopotach — sercowych i kto wie jakich jeszcze — i dwie dziewczynki poszły do pokoiku Emily. Dwie dziewczynki połączone dziewczęcą przyjaźnią, mimo że jedna była już kobietą, a druga ciągle jeszcze dzieckiem, miała dziecięcą twarz i dziecięce ciało. Ale, jak odkryłam, wcale nie dziecięcą wyobraźnię, była bowiem zakochana w Geraldzie. I po przeżyciu okresu zazdrości o faworyzowaną przezeń Emily, kiedy to nienawidziła jej i pogardzała nią lub dla odmiany gwałtow-

143

nie i niewolniczo ją podziwiała, była teraz jej siostrą w smutku, gdy Geralda kochała i służyła ГГГГ inna — a może inne.

Kiedy przyszła, było rano; w porze obiadowej wyłoniły się obie z sypialni, a Emily swym niezawodnym tonem gościa powiedziała:

— Jeśli nie masz nic przeciw temu, poczęstowałabym June kanapką lub czymś w tym rodzaju.

Po pewnym czasie, mając dość dusznego pokoiku, przyszły do bawialni, usiadły obok Hugona i rozmawiały, głaszcząc go i pieszcząc. June potrzebowała rady i informacji we wszelkich możliwych praktycznych sprawach, zwłaszcza w sprawie ogrodu, za który odpowiedzialna była Emily, bo wiedziała prawie wszystko na ten temat.

Naprawdę? J a tego u niej nie stwierdziłam, przy mnie nie okazała najlżejszego zainteresowania takimi rzeczami, nawet jeśli chodzi o rośliny doniczkowe.

Siedziałam, przysłuchując się ich rozmowie, tworząc sobie na tej podstawie obraz życia ich wspólnoty... jakie to dziwne, że we wszystkich naszych miastach obok mieszkańców, którzy nadal używali elektryczności, płacili za wodę czerpaną najzwyczajniej z kranu, wymagali, by wywożono ich śmieci, istniały takie jak tamten domy, do których, zdawałoby się, rewolucja technologiczna nigdy nie zawitała. Wielki dom o kwadrans drogi stąd był dawnym do-

144

„iereг starców. Należał do niego obszerny teren ziemi uprawnej. Krzewy i kwiaty zostały zlikwidowane i teraz na grządkach rosły tylko warzywa. Była nawet mała szopa, w której hodowano kilka kur — rzecz nielegalna, ale można było na to trafić wszędzie, a władze przymykały oczy. Gospodarstwo kupowało — lub zdobywało w jakiś sposób — mąkę, suszone warzywa, miód. Mieszkańcy domu zamierzali jednak zdobyć ul z pszczołami. Kupowali też substytuty: „kury”, „wołowinę” i „cielęcinę”, i kombinowali z tego typowe niesmaczne potrawy. Niesmaczne tylko dla niektórych: było mnóstwo młodych, którzy w swym życiu niczego innego nie jedli i którzy woleli teraz substytuty od naturalnych produktów. Jak już napisałam, uczymy się lubić to, co mamy. Miejsce owo stanowiło zbiorowisko małych warsztatów: wyrabiali mydło i świece, tkali materiały i farbowali je, wyprawiali skórę, suszyli i przechowywali żywność, przerabiali i wytwarzali meble. I tak żyli, gang Geralda, teraz już w trzydzieści osób i pod ciągłym naciskiem nowych chętnych, wielu bowiem pragnęło się do nich przyłączyć, ale nie zostało przyjętych: brak miejsca. Nie byłam zbytnio zdziwiona, słysząc to wszystko. Znałam to wcześniej z najróżniejszych opowieści. Na przykład istniał pewien gang młodzieży i małych dzieci gdzieś niedaleko stąd, gdzie

nawet instalacja wodno-kanalizacyjna przestała działać.

145

Zrobili więc wygodkę w ogródku, dół z budką ponad nim i puszką popiołu przeciw zapachom. Wodę kupowali od ludzi albo czerpali z ujęć, jeśli im się udało, a kapali się u znajomych; przez pewien czas korzystali z mojej łazienki. Ta grupa jednakże dokądś odpłynęła. Po całym mieście rozsiadane były te wyspy życia cofającego się do prymitywnych form, do życia czym się da. Część domu... potem, cały dom... grupa domów... ulica... zespół ulic. Ludzie spoglądający w dół z jakiegoś wysokiego budynku obserwowali, jak te zarodki barbarzyństwa krzepną i rozrastają się. Najpierw obserwatorzy czuli silną wrogość i lęk. Wydawali okrzyki dezaprobaty, świętego oburzenia, ale w gruncie rzeczy uczyli się, gdy tak, ciągle jeszcze uprzywilejowani przez los, patrzyli na tych dzikusów, których każdy palec tryskał nowymi umiejętnościami i zdolnościami. W niektórych rejonach miasta cofały się całe suburbia. Rozległe obszary miejskie uprawiały ziemniaki, cebulę, marchew i kapustę, pilnując swych upraw dzień i noc, hodowały kury i kaczki, ich odchody zużywając na kompost, kupowały lub sprzedawały wodę, wykorzystywały puste mieszkania lub puste domy do hodowli królików lub nawet świń — nie byli to już ludzie w przytulnych małych rodzinach; tłoczyli się teraz w grupach i klanach, których struktura zmieniała się zależnie od presji rzeczywistości. W nocy teren taki zamykał się

146

w groźnym mroku, w który nikt nie odważał się zapuszczać, latarnie uliczne świeciły słabo lub wcale, trotuary były podziurawione, w jezdniach koleiny, okna ukazywały drobne migotanie świateł lub płytki blask jakiegoś zaimprovizowanego oświetlenia na ścianie lub suficie. Nawet przejście w ciągu dnia pośród czujnych twarzy na wpół widocznych za okiennicami, ze świadomością, że łuki, strzały, proce, a nawet pistolety czekają gotowe do użycia, jeśli się przekroczy dany teren — taka wyprawa była jak zapędzenie się na teren wroga lub w przeszłość gatunku ludzkiego.

Nawet jednak w tej późnej fazie na pewnym poziomie społecznym życie toczyło się, jakby nic wielkiego się nie działo — nic nieodwracalnego. Klasa rządząca... ale to, jak mówiono, martwe pojęcie; dobrze więc: ludzie, którzy kierowali, administrowali, zasiadali w radach i komitetach, podejmowali decyzje. Gadali. Biurokracja. Międzynarodowa biurokracja. Ale kiedyż tak nie było, że warstwa społeczeństwa, która otrzymuje z niego najwięcej, podtrzymuje w sobie — i tak długo, jak potrafi, w innych — złudzenie bezpieczeństwa, trwałości, porządku?

Wydaje mi się, że u podstawy ma to coś wspólnego z sumieniem, tym śladowym organem człowieczeństwa, który ciągle domaga się sprawiedliwości i równości w jakiejś postaci, czuje, że jest nie

147

do przyjęcia (tak naprawdę czuje to większość ludzi, przynajmniej od czasu do czasu), by jednym się wiodło, a inni głodowali i przepadali. Jest to najsilniejszy z mechanizmów podtrzymywania społeczeństwa, a potem podkopywania go, jego wzięcia, upadku... oczywiście, to nic nowego, tak było najprawdopodobniej przez całe dzieje, przynajmniej na ile nam wiadomo. Czy był w naszym kraju okres, kiedy klasa panująca nie żyła wewnątrz swego szklanego dzwonu bogactwa lub poszanowania, zamykając oczy na wszystko, co działo się na zewnątrz? Czy robiłoby jakakolwiek różnicę, gdyby ta „klasa Panująca” używała słów w rodzaju: sprawiedliwość, uczciwość, równość, porządek czy nawet socjalizm?

— gdyby ich używała, może nawet w nie wierzyła lub wierzyła przez pewien czas? Tymczasem jednak wszystko się rozpadało, choć rządzący jak zawsze nie cierpieli najgorszego, usiłując to najgorsze zagadać, zatopić w ustawach, odegnąć pobożnymi życzeniami — bowiem przyjąć, że naprawdę się ono dzieje, oznaczałoby przyznanie, że oni sami są beużyteczni, przyznanie, że specjalne zabezpieczenie, które mają zapewnione, jest wynikiem kradzieży, a nie zapłatą za pełnioną służbę...

A jednak każdy w pewien sposób brał udział w tej zмовie, że jakoby nic wielkiego się nie dzieje — lub że dzieje się, ale pewnego dnia wrócimy do dawnych dobrych czasów. Których? To tylko

kwe-
148

stia temperamentu: jeśli się nie ma nic, można swobodnie wybierać między marzeniami i fantazjami. Ta wyróżniałam pewną dość elegancką postać feu-dalizmu — oczywiście bez wojen i niesprawiedliwości. Emily, która nigdy nie zaznała i nie doświadczyła Epoki Obfitości, wolałaby powrót właśnie jej. Grałam w grę współudziału jak wszyscy inni. W ciągu owego okresu przedłużyłam umowę o najem na dalsze siedem lat. Wiedziałam oczywiście, że w żadnym razie nie zostało nam aż tyle czasu. Pamiętam dyskusję z Emily i June na temat zmiany zasłon. Emily chciała żółte muślinowe, które widziała w jakimś sklepie handlu wymiennego. Ja argumentowałam za jakimś grubszym materiałem, który tłumilby hałas. June zgadzała się z Emily: muślin, jeśli go dobrze podszyć — a ledwie o dwie mile stąd był skład sprzedający wyłącznie materiały na podszewkę — wisi zupełnie dobrze i trzyma ciepło. A grubszy materiał jest może i cieplejszy, ale wisi tak sztywno, że wokół brzegów mogą być przeciągi... no tak, ale jak się taki gruby materiał wypierze, to straci sztywność... takie rozmowy byliśmy w stanie prowadzić wszyscy, a podjęcie decyzji mogło trwać wiele dni lub tygodni. Rzeczywiste, konieczne decyzje, na przykład że trzeba w ogóle zrezygnować z elektryczności, podejmowało się prawie bez dyskusji, były one na nas wymuszane — tego właśnie lata poleciłam odłączenie mi prądu. Tuż przed

149

wizytą June. Jej pierwszą wizytą, bo wkrótce zaczęła przychodzić codziennie i zwykle zastawała nas na dyskusjach na temat oświetlenia i ogrzewania. Powiedziała nam, że w miasteczku około dwunastu mil stąd jest człowiek, który sprzedaje urządzenia, jakich dawniej używano na kempingach. Nie były to te same urządzenia, bowiem wyprodukował on wiele nowych typów. June widziała niektóre, my też powinnyśmy je zdobyć. Przedyskutowały to z Emily, postanowiły nie wyruszać same i poprosiły Geralda, by im towarzyszył. Wybrali się więc w drogę i wrócili późnym popołudniem, obładowani wszelkiego rodzaju sprytnymi urządzeniami do oświetlania i ogrzewania. I oto w mojej bawialni był Gerald. Z bliska ten młody wódz nie był taki straszny, wydawał się zaniepokojony, a nawet bezradny — jego spojrzenia rzucane ciągle na Emily wyrażały lęk, a cały czas przebywania u nas spędził na radzeniu się Emily a to w tej, a to w innej sprawie... ona zaś dawała mu te rady, była naprawdę nadzwyczaj praktyczna i rozsądna. Obserwowałam pewien aspekt ich związku — to znaczy aspekt ukryty pod tą inną, zapewne słabszą więzią, widoczną i jawną, na którą Emily reagowała: poza ową niemal konwencjonalną sprawą miłości dziewczyny do przywódcy gangu widziało się bardzo młodego mężczyznę, przeciążonego obowiązkami, niepewnego, który wziął na sie-

150

bie zbyt wielką odpowiedzialność i prosi o wsparcie, a nawet o czułość. Wybrał się z Emily i June, żeby „pomóc przynieść rzeczy na zimę dla Emily i jej przyjaciółki”, ale nie była to tylko życzliwość — miał jej mnóstwo — ale i próba przekazania Emily, że on potrzebuje jej powrotu do swego gospodarstwa. Powiedzmy, zapłata; przekupstwo, mówiąc bardziej cynicznie. Ona zaś bawiła się możliwością powrotu. Solidnie zmęczona po długim marszu z takim ładunkiem, zarumieniona, opalona i urocza, kokietowała go, czyniła się niedostępną i trudną. June, niezdolna jeszcze do takiej gry, siedziała w milczeniu i obserwowała, zupełnie z niej wyłączona. Emily, czując przewagę nad Geraldem, korzystała z niej; przeciągała się rozkosznie w swoim cieple, bawiła się łbem i uszami Hugona i uśmiechała do Geralda... dobrze, wróci z nim do jego domu, skoro on tak bardzo tego pragnie, pragnie jej. I po mniej więcej godzinie wyszli wszyscy troje, Emily i Gerald kroczyli na przodzie, June wlokła się z tyłu. Wyglądali jak rodzice z dzieckiem — a przynajmniej, jak mi się wydaje, tak to odbierała June.

Należałoby teraz zapytać, dlaczego Emily nie zdecydowała się sama zostać przywódczynią, wodzem, na własny rachunek? No bo dlaczego nie? Oczywiście, stawiałam sobie to pytanie. Stosunek kobiet do siebie i do mężczyzn, normy, jakie kobiety dla siebie ustanowiły, ich uparta walka o równo-

151

uprawnienie, całe dekady bardzo przykrego kwestionowania ich roli, ich funkcji — wszystko to z trudem pozwala mi powiedzieć teraz całkiem po prostu, że Emily była zakochana. Dlaczego nie chciała własnej bandy, własnej garstki dzielnych zaopatrzeniowców i plądrowaczy, wytwórców,

piekarzy i doglądaczy własnych upraw? Dlaczego nie mówiono o niej: „Był tam ten dom, stał pusty, Emily zebrała bandę i wprowadziła się. Tak, nieźle tam jest, spróbujmy, może i nas przyjmie”.

Nic jej nie powstrzymywało. Żadne prawo, pisane lub niepisane, nie zabraniało jej tego, a jej umiejętności i talenty były dokładnie tak samo liczne jak w przypadku Geralda czy innych. Ale nie zrobiła tego. Nie sądzę, żeby jej to przyszło do głowy.

Kłopot polegał na tym, że naprawdę kochała Geralda; tęsknota za nim, za jego atencją i uwagą, potrzeba bycia podporą i pocieszycielką, która pomoże mu stanąć na ziemi, przyda mu siły swym zdrowym rozsądkiem i ciepłem — otóż potrzeba ta pozbawiła ją inicjatywy niezbędnej dla przywódczyni komuny. Chciała jedynie być kobietą przywódcy komuny. Oczywiście, jego jedyną kobietą.

Taka to jest historia i mam nadzieję, że prawdziwa.

Pewnego popołudnia, wróciwszy z wyprawy po nowiny, stwierdziłam, że moje mieszkanie zostało zdemolowane w dokładnie taki sam sposób,

152

jak „poltergeist” lub jakaś anarchistyczna moc zdemolowałyby owo miejsce za ścianą. Taka właśnie myśl przyszła mi do głowy, gdy stałam, patrząc na przewrócone krzesło, książki zrzuczone na podłogę. Wszędzie panował bałagan, pustka, a przede wszystkim wrażenie obcości tego miejsca. Po pewnym czasie zaczęło się ujawniać, co zniknęło i czego brak. Zniknęły zapasy żywności, cenne produkty zbożowe, artykuły w puszkach, suszone owoce, świece, skóry, folia polietylenowa. No cóż — włamali się złodzieje, dobrze że nie wcześniej. Potem jednak stwierdziłam, że brak też przedmiotów pozbawionych już dziś wartości: nie używany od miesięcy telewizor, magnetofon, lampy elektryczne, mikser. W mieście magazyny były pełne do niczego już niepotrzebnych urządzeń elektrycznych, pomyślałam więc sobie, że musieli to być złodzieje głupi albo z fantazją. Zobaczyłam, że Hugon leży wyciągnięty na swoim miejscu pod zewnętrzną ścianą; nie ucierpiał od intruzów. Było to dziwne, a osobliwy charakter tego rabunku zastanawiał mnie do chwili, gdy na dźwięk dobrze znanych głosów podeszłam do okna. I oto patrzyłam, jak wraca do mnie mała procesja dóbr. Na szeregu dziecięcych głów kołysał się telewizor, pojemniki z płynami i żywnością, różnego rodzaju torby i pudełka. Zobaczyłam twarze, brązowe, białe i czarne, które zafalowały w reakcji na głos Emily:

153

— No, tak, spóźniliśmy się! — bo ja wróciłam stoję w oknie i patrzę.

Zobaczyłam Emily kroczącą za nimi. Kierowała-dozorowała, wyglądała poważnie, surowo — oficjalnie, nie. Nie widziałam jej jeszcze w takiej roli, to była dla mnie nowa Emily. Obok niej szła także June. Znałam te wszystkie twarze — dzieci z gospodarstwa Geralda.

Za chwilę pudełka, tobołki i torby wypełniły moją bawialnię, a spod nich wychylały się twarze dzieci. Kiedy podłoga została zasłana przyniesionymi rzeczami, dzieci od razu zamierzały wyjść, spoglądały przy tym na Emily, ale nie na mnie: równie dobrze mogłabym być niewidzialna.

— A teraz przeproście — poleciła.

Przywołały na twarze słabe i niezgrabne uśmiechy, które mówiły: Oj, ależ ona jest! Posłuchały Emily, ale uznały ją za despotkę: było widoczne dla mnie, że te zakłopotane, życzliwe uśmiechy wymusiła na nich nie pierwszy raz. Jeszcze bardziej zaciękała mnie jej rola w tamtym domu.

— No dalej — nalegała Emily. — Tyle możecie przecież zrobić.

June wzruszyła chudymi ramionami i powiedziała:

— Przepraszamy. Ale żeśmy przynieśli z powrotem, nie?

Oddałabym to w transkrypcji jako: „Psz'amy, Alesz'my 'śli spofrotm, n'?”.

154

W tym wysiłku mowy zawierała się siła frustracji... {0 dziecko, ukształtowane jak inne dzieci przez aSze dawne czasy, które były nastawione przede wszystkim na słowo, na posługiwanie się słowami, wymianę ich, korzystanie z nich, zostało z całego tego bogactwa wykluczone. My (to znaczy wy-Icształceni) nie znajdowaliśmy sposobu dzielenia tej obfitości z niższymi warstwami społeczeństwa. Nawet u dwóch kobiet stojących na rogu ulicy i wymieniających ubogimi zdaniem

plotki uwidaczniała się ta eksplozja frustracji: zdegenerowana, zmarniała mowa ubogich zawsze niosła w sobie energię resentymentu (może i bezwiednie, ale jednak), rozbudzanego świadomością nieosiągalnej dla nich sprawności i swobody, której miejsce zajęło w ich mowie ciągle powtarzanie zwrotów — będących niczym kule chromego — „rozumiesz, co?“, „rozumiesz, o co mi chodzi?“, „no nie?“, i tak dalej, zwrotów, które wypełniają pokąźną część każdej ich wypowiedzi. Słowa w ich ustach, tym razem w ustach June, nosiły piętno znojnego trudu — straszne, skoro biegłość jest taka łatwa, ale dla innych.

Dzieci w końcu poszły, June powlokła się za nimi. Jej wzrok omiatający pokój dawał poznać, że wcale nie chce jej się wychodzić. Żałuje nie tyle czynu, co konsekwencji, które mogą oddzielić ją od jej ukochanej Emily.

— Co to wszystko miało znaczyć? — odezwałam się.

155

Emily odrzuciła swą przywódczą postawę i gwałtownie opadła, zmartwione i zmęczone dziecko, na podłogę obok Hugona. Polizał ją w policzek.

— No, spodobało im się parę twoich rzeczy, i tyle,

— Dobrze, ale... — Chciałam dać wyraz uczuciu typu: Ale ja jestem ich przyjacielem i nie powinny dobieierać się do mnie! Emily domyśliła się tego i ze swym suchym uśmiechem powiedziała:

— June tu była, wiedziała, co tu jest, więc kiedy dzieciaki się zastanawiały nad nową akcją, zaproponowała twoje mieszkanie.

— Całkiem sensownie, jak sądzę.

— Tak — odparła, podnosząc na mnie poważny wzrok, abym mogła docenić jej powagę. — Tak, całkiem sensownie.

— To znaczy, że nie było w tym nic osobistego?

Znów uśmiech, smutny z racji jego wtajemniczenia, przedwczesnej dojrzałości — ale cóż to za przestarzałe słowo; żeby coś znaczyć, wymaga pewnych norm.

— O nie, było coś osobistego... powiedzmy, uznanie.

Wtuliła twarz w żółte futro Hugona i roześmiała się.

Potrzebowała ukrycia dla odpoczynku od trudu przedstawiania wszystkiego wesoło i żywo, przyzwoicie i mądrze. Jej dwa światy, Geralda i mój,

156

w groźny sposób się spotkały. Wyczuwałam w niej to doznanie, rozumiałam je. Równocześnie jednak było w niej niezrozumiałe dla mnie wyczerpanie, napięcie — choć wydało mi się, że pewien aspekt jej związku z dziećmi uchwyciłam. Jej problem polegał nie tyle na tym, że była tylko jedną spośród ulubienic Geralda, ale na tym, że ciężar obowiązku, jaki na niej spoczywał, był zbyt duży jak na jej wiek.

— Dlaczego zabrali urządzenia elektryczne? — spytałam.

— Ponieważ tu były — odpowiedziała lakonicznie.

Stwierdziłam, że ją rozczarowałam. Nie rozumiałam różnic między nimi — w zakres tego pojęcia Emily siebie samą niekiedy włączała, a niekiedy nie — a mną.

Patrzyła teraz na mnie. Nie bez uczucia, miło mi stwierdzić, ale jakby kpiarsko. Zastanawiała się, czy mnie w coś wprowadzić — czy się nie pogniewam? czy zrozumieć?

— Byłaś ostatnio na górze? — spytała.

— Nie, nie byłam. A co, powinnam być?

— No... tak, tak, myślę, że tak! — I kiedy już się zdecydowała na to coś, przeobraziła się w kapryśną, wesołą dziewczynkę, czarującą i rozbijającą któreś z rodziców lub jakiegoś dorosłego; wołała: — Ale musimy znaleźć coś do położenia na tym

157

rzeczy... o, może to. Ale jeśli winda nie działa... ostatnio zwykle nie działa, ojej!

I oto fruwała po pokojach, znosząc wszystkie urządzenia elektryczne, jakie miałam, z wyjątkiem radia, bez którego, jak nam się zdawało, nie mogłybyśmy żyć — choć wiadomości z innych krajów mogły równie dobrze pochodzić z innych planet, tak odległe się wydawały; zresztą tam działało się to samo co u nas. Mikser, telewizor, lampy — o nich już wspominałam. Do tego jeszcze suszarka do

włosów, przyrządy do masażu, do smażenia, ruszt, opiekacz do grzanek, ekspres do kawy, czajnik elektryczny, odkurzacz. Wszystko zostało zgromadzone na dwupoziomym wózku.

— No chodź, chodź, chodź — wołała wesoło, łagodnie, z poważnym wzrokiem utkwionym we mnie z obawy, że się obrażę, i poszliśmy, pchając przeładowany wózek.

Hol pełen był ludzi: zmierzali schodami w górę, schodzili na dół lub czekali na windę — która działała; śmiali się, rozmawiali i krzyczeli. Był to tłum ruchliwy i promieniujący aktywnością, niespokojny, pobudliwy, żywy; każdy sprawiał wrażenie, że jest w gorączce. Uświadomiłam sobie, że wprawdzie przywykłam do widoku tego tłumu w holu i na trotuarze tuż za wejściem, ale nie rozumiałam. To dlatego, że na korytarzach niższych pięter budynku wszystko było po staremu: spokój i rozsądek, drzwi

158

oznaczone numerami 1, 2, 3, za którymi mieszkali państwo Jones z rodziną, panna Foster i panna Baxter, państwo Smith i panna Alicia Smith — małe, zamknięte jednostki, dawny świat.

Odczekałyśmy chwilę w kolejce do windy, wepchnęłyśmy do niej załadowany wózek i wcisnęłyśmy się w tłok; ludzie patrzyli na nasze rzeczy bez zbytniego zainteresowania. Na ostatnim piętrze wypchnęłyśmy wózek na korytarz i Emily przez chwilę stała niezdecydowana: widać było, że nie dlatego, iż nie zna drogi, ale dlatego, że zastanawia się, co byłoby dla mnie najlepsze: ściślej, co byłoby dobre dla mnie!

Na górze było tak samo jak na parterze: mieszkania wzdłuż każdego boku budynku, za nimi korytarz, po jednej stronie mieszkania jednopokojowe, w centrum pusta przestrzeń, która tu stanowiła oczywiście studnię, otchłań. Tu także panowały wielka krzątanina i wielki ruch. Drzwi były wszędzie pootwierane. Przypominało to bazar uliczny, ludzie z tobołkami w rękach, stary wózek dziecienny załadowany tym czy owym, człowiek, który jakąś cenną rzecz w coś zawiniętą trzyma ostrożnie nad głową, by nikt jej nie uszkodził. Zapominało się, że w dolnych częściach budynku jest spokój, a ludzie ustępują sobie miejsca. W pokoju naprzeciw windy wielka góra jakichś rzeczy wyrastała pod sam sufit, a wokół niej przykucały dzieci, które sortowały

159

materiał, rozkładając go na rozmaite kupki. Jakieś dziecko uśmiechnęło się do Emily i powiedziało: — Pomagam tu, właśnie nadszedł ładunek. Emily zaś odrzekła:

— To dobrze, cieszę się. — Uspokoiła tym dziecko.

Znowu w tej wymianie zdań było coś, co mnie zdziwiło: dziewczynka tak gorliwie zaczęła się tłumaczyć. My jednak byliśmy u wejścia do innego pokoju, z którego nieregularny otwór w ścianie, jak wyrwany przez bombę, wiodł do pokoju, który opuszczałyśmy — sterta rzeczy zakrywała ten otwór. Dłoń lub wtaczające się tam wózki zabierały pewne rodzaje artykułów (był to pokój pojemników): słoiki, butelki, puszki i tak dalej, zrobione z wszelkiego rodzaju materiałów, od szkła po tekturę. Około tuzina dzieci zajmowało się przenoszeniem pojemników ze sterty w sąsiednim pokoju przez otwór w ścianie do pokoju, w którym byliśmy. Elementem, jakiego na pewno temu bazarowi nie brakowało, towarem, jakiego od dawna nikomu nie brakowało, była praca, były ręce do pracy przy wszystkim, co potrzebne. W kącie stało na straży dwóch młodych ludzi uzbrojonych w pistolety, noże, kastety. Dopiero gdy stałyśmy za drzwiami jeszcze innego pokoju, w którym atmosfera była mniej napięta, bardziej obojętna, i gdzie nie stali strażnicy, zrozumiałam, że zawartość pokoi z dwoma uzbrojonymi chłop-

160

arni była wartościowa, a ten pokój zawierał rzeczy

Osóle bez wartości: urządzenia elektryczne w rodzaju tych, które pchałyśmy na naszym wózku.

Postałyśmy tam przez chwilę, obserwując krzątaninę i ruch, obserwując dzieci przy pracy.

— Zarabiają pieniądze, jak widzisz — powiedziała Emily. — Albo dostają coś z rzeczy; nawet dzieci ze szkoły przychodzą tu na godzinę.

Zobaczyłam, że istotnie pośród tych dzieci, których część była mi znana z trotuaru, znajdują się dzieci lepiej ubrane, czystsze, ale przede wszystkim o owym czujnym, zamkniętym w sobie wyglądzie typu jestem-tu-bo-tak-mi-się-spodobało, który cechuje młodych z klasy uprzywilejowanej, gdy przychodzi im wykonywać pracę ich zdaniem poniżej ich godności. Krótko

mówiąc, dzieci te odbywały coś w rodzaju dawnych wakacyjnych praktyk, kiedy to paczkowały towary w przedsiębiorstwach, sprzątały restauracje, sprzedawały za ladą. Tak, mogłam to zauważyć we właściwej chwili bez pomocy Emily, ale jej utkwiony we mnie bystry wzrok przyspieszył ten proces; ona naprawdę uważała, że ja za wolno pojmuję, przyswajam, a gdy odnosiła wrażenie, że nie zrozumiałam tak szybko, jak jej zdaniem powinnam, zaczynała wyjaśniać. Zdaje się, że gdy ludzie opuścili górne piętra i uciekli z miasta, wprowadzili się tu handlarze. Był to wielki budynek, o wiele ma-sywniejszy i lepiej zbudowany niż większość, miał

161

grube stropy, które mogły wytrzymać duży ciężar. Pan Mehta wykupił prawa do wysypiska śmieci, zanim rząd przejął wszystkie wysypiska, i teraz prowadził interes przy pomocy różnych ludzi — jednym z nich był ojciec Geralda, który kiedyś miał wytwórnę kosmetyków. Nadający się do wykorzystania materiał z wysypiska przewożono tutaj i sortowano, głównie rękami dzieci. Ludzie przychodzili na górę handlować. Wiele artykułów zabierano na dół z powrotem do sklepów i na bazy.

Przedmioty uszkodzone, a dające się naprawić, zostawiano tutaj: mijałyśmy pokoje, w których zręczni ludzie, w większości starsi, siedzieli i naprawiali — przyrządy, uszkodzone rondle, odzież, meble. W pomieszczeniach tych panowało duże ożywienie; ludzie stali tam i z wielkim zainteresowaniem obserwowali. Jakiś staruszek, zegarmistrz, siedział w kącie przy specjalnie dlań ustawionym świetle, a wokół niego tłoczył się zafascynowany, niemal wstrzymujący oddech gęsty tłum — tak gęsty, że strażnik raz po raz prosił o cofnięcie się, a gdy to nie skutkowało, odsuwał tłoczących się kijem. Ledwie to zauważali, tak bardzo byli zajęci, starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, obserwacją tej bezcennej umiejętności — dłoni starego człowieka przy pracy nad delikatną maszyną.

Była tam kobieta mocująca szkła w oprawkach okularów. Na ścianie wisiał jej dyplom okulisty

162

i na jego podstawie wydawała używane okulary ludziom, którzy stali rzędem i po kolei brali od niej okulary uznane przez nią za odpowiednie dla danej osoby. Okulistka z dawnych czasów; ona także miała tłum wielbicieli. Byli tu wszyscy — człowiek naprawiający krzesła, człowiek naprawiający koszyki, otoczony poskręcany sitowiem i trzcina, szlifierz noży — dawni fachowcy, każdy ze strażnikiem, każdy obserwowany przez zachwyconych barbarzyńców.

Czegóż tu nie było, w mijanych przez nas pokojach! Sznurek i butelki, sterty plastiku i kawałki folii — najcenniejszego, być może, ze wszystkich towarów, kawałki metalu, kable, taśma plastikowa, książki, kapelusze i odzież. Znajdował się tam pokój pełen rzeczy, które wydawały się zupełnie nowe i porządne; dotarły na wysypiska bez zabrudzenia i uszkodzeń: sweter w plastikowym worku, parasole, sztuczne kwiaty, kartonowe pudełko korków.

I wszędzie ożywieni napierający ludzie, którzy oglądali i kupowali. Była nawet mała kawiarnia w jednym z pokoi, oferowała herbatę ziołową, chleb, alkohol. Wielu ludzi wydawało się pijanych, ale na bazarach często tak wyglądają, nawet bez alkoholu. Trudno było odróżnić sprzedawców od kupujących, właścicieli od klientów; był to wielojęzyczny tłum, tłum poczciwy, który szanował polecenia i instrukcje licznych strażników, zdyscyplinowany tłum,

163

który w nowy sposób potrafił sam rozstrzygać spory i godzić stanowiska szybko i w sposób nie. pozwalający wkraść się negatywnym uczuciom, Ludzie żartowali, pokazywali sobie nawzajem swe nabytki, a nawet prowadzili handel między sobą bez formalnego legalizowania transakcji przy pomocy urzędowego handlowca — proceder w pełni akceptowany. Handlowcom zależało na tłumie, na liczbie ludzi, przepływie dóbr w tę i we w tę.

Obeszłyśmy całe piętro i pozdrawiane przez całe mnóstwo ludzi (było tu wiele osób z trotuaru), pchając swój wózek, z powrotem znalazłyśmy się w pokoju urządzeń elektrycznych. Za ten handel otrzymałyśmy kilka żetonów, a ja powiedziałam do Emily, że skoro z jej inicjatywy znalazłyśmy się tutaj, to jej się należą zyski z tego przedsięwzięcia. Spojrzała kpiąco — spodziewałam się tego, wiedziałam, że myśli, iż mogłabym oczekiwać zbyt wiele w zamian. A co się stanie, chciałam wiedzieć, z naszymi opiekaczami i rusztem? Zostaną rozebrane na części, a części zastosowane w

innych przedmiotach — bo przecież w dotychczasowej postaci były bezużyteczne. Na pewno nie mam nic przeciwko pozbyciu się ich? Skoro tak, to ona bardzo by chciała wziąć do domu Geralda — na pewno nie mam nic przeciwko? — trochę rzeczy do kuchni, bo tam ich brakuje. Znalazłyśmy stary rondel, emaliowany dzbanek, plastikową miskę, szczoteczkę do

164

szorowania: tyle dostałyśmy w zamian za wyposażenie elektryczne bądź co bądź dobrze utrzymanego gospodarstwa.

Po powrocie do mieszkania Emily zdjęła maskę dziecięcego uroku, bez której nigdy nie zdobyłaby się na zabranie mnie na tę wyprawę, prowadzącą wedle jej odczucia na jej teren i z dala od mojego; siedziała teraz i patrzyła na mnie. Zastanawiała się chyba nad niezbyt pochlebną dla mnie rzeczą, czy mianowicie naprawdę zrozumiałam, że przedmioty, „rzeczy”, mają dla niej i dla dzieci w rodzaju June charakter towarów, są w pewien sposób cenne, gdyż niezastąpione, ale zarazem bez wartości... nie, inaczej, bez wartości osobistej: rzeczy nie należą już jak dawniej do poszczególnych osób. Oczywiście, tak było wśród niektórych ludzi na długo przed tym, jak skończyło się

otrzymywanie i posiadanie: wypróbowano wszelkie możliwe sposoby wspólnotowego życia, pomijając już fakt, że ludzie w rodzaju „Ryanów” wyrzekli się pojęć „moje” i „twoje”, i to bez żadnej ideologii czy teorii w tej mierze. June to June Ryan, a jej rodzina stanowiła utrapienie dla władz już na długo przed upadkiem dawnego społeczeństwa, kiedy jeszcze wszystko wydawało się normalne. A jako Ryan... Ale o tym później, kiedy w odpowiednim momencie opiszę „Ryanów”.

A dlaczego nie teraz? Moment równie dobry jak każdy inny. Czyż chcąc przesunąć chwilę opowie-

165

dzenia o Ryanach, nie przejmuję i nie odzwierciedlam postawy i odczuć wspomnianych władz wobec „Ryanów”? Czy rzecz nie w tym, że „Ryanowie” (to znaczy pewien sposób życia) nie dawali się zasymilować, ani w teorii — w teoriach społeczeństwa i jego funkcjonowania — ani w praktyce?

Co do ich opisu, opisu ich warunków — nie ma tu nic, czego czytelnik nie słyszałby setki razy: był to przypadek podręcznikowy, jak zwykli mówić pracownicy opieki społecznej. Irlandzki robotnik ożenił się z polską emigrantką. Oboje byli katolikami. Po pewnym czasie mieli jedenaścioro dzieci. On pił, zachowywał się brutalnie, od czasu do czasu się roztkliwiał. Ona piła, histeryczka, nic nie umiała, w uczuciach nieobliczalna. Dzieci zaniedbywały szkołę. Władze opieki społecznej, towarzystw dobroczynnych, policja, psychologowie, wszyscy znali Ryanów. Potem dwóch starszych chłopców miało sprawę w sądzie o kradzież i spędziło trochę czasu w ośrodku reedukacyjnym. Druga z córek — nie ta najstarsza — zaszła w ciążę. Miała piętnaście lat. Oczywiście, nic w tym wszystkim niespotykanego, ale przypadek Ryanów wydawał się poważniejszy i bardziej beznadziejny, gdyż byli tak liczni, a rodzice stanowili parę wyjątkowych i barwnych postaci, których powiedzenia można by cytować na sympozjach i spotkaniach; często się zdarza, że pojedynczy przypadek traci anonimowość i zaczy-

166

na reprezentować innych: w samym tylko naszym mieście było tysiące „Ryanów” wszelkiego koloru i narodowości, znanych sąsiadom i władzom; ludzie ci w odpowiednim czasie lądowali w więzieniu, w ośrodku reedukacji, domach poprawczych i tak dalej. Jednakże opieka społeczna zajęła się rodziną Ryanów, zostali ulokowani w domu; czyniono wysiłki, by ich utrzymać razem. Tak to wyglądało od strony władz, które robiły co mogły, tak to wyglądało w raportach, tak przedstawiła ich gazeta, która wybrała Ryanów spośród wielu im podobnych właśnie ze względu na to, że bardziej niż inni rzucali się w oczy. Poniżej granicy ubóstwa i jeszcze niżej, brzmiał tytuł. Dwanaście przypadków, w tym Ryanów, opisywała książka Odpadki społeczeństwa obfitości. Pewien młody człowiek świeżo po uniwersytecie, siostrzeniec kobiety, która jako opiekun społeczny zajmowała się tym przypadkiem, zebrał notatki do książki Barbarzyńcy, jakich stwarzamy, w której porównywał Ryanów do sprawców upadku Rzymu.

Ryanowie...

A więc może na początek ich dom. Cóż, był brudny, a meble nadawały się na śmietnik. Na gołej podłodze tylko brud, jakaś kość, talerz zjełczałej kocięj stawy: psy i koty, podobnie jak dzieci,

karmiono w zależności od nastroju. Nigdy nie było wystarczająco ciepło, więc trzynaścioro Ryanów i ich

167

Przyjaciele — Ryanowie przyciągali ludzi i trzymali ich wokół siebie — tłoczyli się w jednym pokoju- Rodzice zwykle byli pijani, a czasami dzieci także- Przyjaciół mieli rozmaitego koloru skóry, często godnych uwagi, o nietypowych życiorysach; siedzieli więc wszyscy, pogryzali herbatniki lub frytki i mówili» mówili. Niekiedy matka lub któraś ze starszych dziewcząt ugotowała trochę ziemniaków i kawałek mięsa albo otworzyła parę puszek i wówczas zaczynało się święto. Frytki, słodkie drinki, herbata, do której sypali sześć lub osiem łyżeczek białego cukru na Jean3 filizankę — taka była dieta Ryanów, zaWszystkie więc pozostawali obojętni, czy może na ha-ju gdy cukier tańczył im w żyłach. Siedzieli i gadali, gadali; cały pokój żył ciągle odświeżaną kroniką Ryanowie wobec ś w i a t a. Jak to trzech średniczi zostało wyzwanych na boisko przez konkurencyjny gang lub rodzinę, ale wygrało; jak kobita z opieki zostawiła świstek z wiadomością, że piąte dziecko, Mary, ma iść we środę do kliniki i koniecznie musi o tym pamiętać, bo będą jej leczyć wypryski; jak Paul trafił na nie zamknięte auto i zabrał- cokolwiek tam było — ponieważ tam było. rjwie dziewczynki poszły do sklepu i wróciły stamtąd przynosząc dwadzieścia małych plastikowych portmonetek, kilo kawy, nożyce ogrodowe, trochę hinduskich przypraw i sześć plastikowych durszlaków, Rzeczy te leżały nieużywane lub wymieniano

168

. na inne: kradzieży dokonywało się dla niej samej, nie dla posiadania. Murzynka Tessa, przyjaciółka Ruth, brat Tessy, inna przyjaciółka Ruth, Irenę, oraz jej siostra przez całe popołudnie oglądali telewizję w jednym z zaprzyjaźnionych sklepów z odbiornikami telewizyjnymi przy głównej ulicy, z którego nie wyrzucano dzieci gromadzących się na bezpłatne popołudniowe oglądanie — a telewizor Ryanów był zawsze popsuty. Stephen znalazł psa na ulicy, wziął go nad kanał, rzucał patyki, a pies był taki mądry, że przynosił z powrotem trzy, nie, pięć, nawet sześć patyków naraz... gadali, gadali, pili i spędzali swe dni, swe życie, opatrując je żywymi, bystrzymi komentarzami; szli spać o trzeciej, czwartej, szóstej nad ranem, ale nie rozbierali się, nikt w tym domu nie rozbierał się do łóżka, bo nie było tu pory snu. Dziecko zapadało w sen tak jak siedziało, na kolanach siostry, i spało tam albo było układane na podłodze na jakimś okryciu. Rano na każdym z czterech łóżek tego domu leżały po trzy lub cztery ciała, także psy i koty, wszyscy blisko siebie, w cieple, ogrzewając innych, osłaniając. Nikt nie wstawał przed dziesiątą, jedenastą, przed południem: jeśli jakiś Ryan znalazł pracę, tracił ją po tygodniu, bo nie mógł wstać na czas.

Żyli z zapomogi, chyba że pan Ryan budził się do życia, trzeźwiał i znajdował pracę; był cieślą. Wówczas pojawiały się pieniądze, kupowali sobie

169

odzież i buty. Tę odzież nosili wspólnie, nie było właściciela danego swetra czy sukienki. Dzieci zakładały to, co na nie pasowało i co było akurat pod ręką. Nowe ubranie mogło być z rozmaitych przyczyn w strzępach następnego dnia po kupieniu.

Dzieci szły na „robotę”, kiedy przyszła im na to ochota — co zdarzało się często. June, chuda dziewczynka o słodkiej buzi, była przywódcą od mniej więcej siódmego roku życia. Czwórka lub piątka dzieci zwykła wślizgiwać się do jakiegoś mieszkania lub sklepu i wychodzić z... pieniędzmi? Nie, nie o nie chodziło; jeśli zaś były to pieniądze, kieszenie dzieci przez kilka dni sterczały wypchane zwitkami banknotów, które wypadały, były rozdawane lub „podciągane” przez innych. Nie, zazwyczaj wracali z marmurową lampą stojącą, kilkoma stolikami do kawy, które widzieli w reklamie telewizyjnej i które im się spodobały, lustrem w różowej plastikowej ramie i papierosami — które miały wartość i były natychmiast rozdzielane.

Cel świętych i filozofów realizowali więc niejako z przyrodzenia: można by to nazwać Drogą Ryanów. Każdy dzień, każde przeżycie były wystarczające same w sobie, każdy czyn oderwany od swych następstw. „Jeśli to ukradniesz, pójdziesz do więzienia”. „Jak nie będziesz się właściwie odżywiać, dostaniesz awitaminozy”. „Jeśli wydasz teraz te pieniądze, nie zostanie nic na zapłacenie w pią-

170

tek czynszu". Te prawdy, ciągle przedstawiane im przez urzędników w domu i poza domem, nie mogły się utrzymać w głowie żadnego Ryana.

A księża i przewodnicy duchowi byli pewnie zawstydzeni? Przywiązanie do własności jest złe? Do jakiej własności? Ryan nie miał nic, nawet koszuli czy grzebienia. Być niewolnikiem nałogu to zakładać sobie łańcuch na szyję? Ale jakich nałogów — poza tym tylko, że nie mieć żadnego nałogu to swoisty nałóg? Szanować bliźniego swego jak siebie samego? Tą łaską bardzo ubogich i oni byli obdarzeni: w klanie Ryanów i ich przyjaciół, białych, czarnych i brązowych, którzy dzień i noc odwiedzali i opuszczali ich dom, panowały pełne wzajemne oddanie i tolerancja, wyrozumiałość osądów, subtelność w rozumieniu innych obca wielu lepiej urządzonym ludziom, a przynajmniej dostępna im nie bez twardej walki z wydarzeniami i warunkami życia.

Należy odrzucić wartości pozorne? Ten luksus Ryanowie osiągnęli już dawno.

Nie należy się nadymać, nastawać na cudze prawa, trzeba być pokornym i niewymagającym? Po pięciu minutach w domu Ryanów każdy członek klasy średniej oburzony dzwoniłby już do swego adwokata.

Słabi i nieodpowiedzialni, bez nadziei, bez przyszłości, wykształcenia i niepodatni na kształcenie

171
— byłoby dobrze, gdyby umieli odczytać i napisać swoje nazwiska — zdegenerowani, zdeprawowani i zdemoralizowani — ale czegoż można oczekiwać, jeśli w jednym łóżku sypia po cztery czy pięć osób różnej płci i w różnym wieku? — brudni, niezdrowi, zawszeni i osłabieni złym odżywianiem się, jeśli nie byli w danym momencie na haju... krótko podsumowując ten temat, Ryanowie byli wszystkim, co nasze stare społeczeństwo uważało za złe. Tego, ku czemu nasze stare społeczeństwo zmierzało, Ryanowie nawet nie próbowali, wyłączała się, to było dla nich za dużo. Biedni Ryanowie, skazani i potępieni, niebezpieczni Ryanowie, takie zagrożenie dla nas wszystkich, dla naszego sposobu myślenia, szczęśliwi Ryanowie, których życie z dnia na dzień, w tłoku i chaosie wydawało się jedną wielką radością i niezwykłością: lubili być razem. Lubili się nawzajem.

Kiedy nadeszły złe czasy, albo raczej stało się widoczne, że nadchodzą, bardzo istotna różnica, Ryanowie i wszyscy im podobni ukazali się nagle w zupełnie innym świetle. Przede wszystkim — to oczywiście socjologiczna klisza — niektórzy chłopcy znaleźli miejsce w szeregach policji lub licznych szybko powstających organizacji militarnych i paramilitarnych. A po drugie to właśnie tym ludziom najłatwiej było prowadzić prymitywne życie w wędrujących plemionach; dla nich niewiele się zmie-

172

niło, bo kiedyż nie byli w ciągłej podróży: z pokoju do zrujnowanego domu, do kwaterunkowego mieszkania, do przytułku na ulicy nielegalnych imigrantów. Że źle się odżywiali? Teraz jedli lepiej i zdrowiej, niż gdy żywiła ich cywilizacja. Nieuctwo i analfabetyzm? Potrafili przeżyć umiejętnie i radośnie, czego nie bardzo można powiedzieć o wielu członkach klasy średniej, którzy albo żyli tak, jakby nic się naprawdę nie działo prócz reorganizacji społeczeństwa, albo udawali, że tak żyją, i którzy często przepadali, niezdolni udźwignąć ciężar egzystencji; w niej szacunek otoczenia i dochody przestały stanowić miarę wartości danej osoby.

„Ryanowie”, którzy przestali już być czymś skrajnym, rozplłynęli się w społeczeństwie, zostali przez nie wchłonięci. Co do naszych Ryanów, konkretnej opisywanej tu rodziny, to gdzieś w pobliżu mieszkało jeszcze jej jądro, matka i troje młodszych dzieci: ojciec zginął w wypadku po pijanemu. Wszystkie starsze dzieci opuściły miasto, z wyjątkiem dwóch chłopców w policji. June przyłączyła się do gospodarstwa Geralda, a jeden z jej młodszych braci już tam w owym czasie był. „Ryanowie” zresztą przestali być czymś wyjątkowym. W swój pokorny, niewymagający sposób weszli w skład społeczeństwa, nawet jeśli się wydawało, że jest przeciwnie; zostali przez nie ukształtowani i byli mu posłuszni. Dalecy byli od tego, co miało nadejść później,

173

i to niebawem, kiedy „gang dzieci z podziemia” pojawił się w naszym życiu i splądrował gospodarstwo Geralda — tak jak nasze splądrowali kiedyś „Ryanowie”.

Używam tu określenia „dom Geralda” w takim sensie, w jakim kiedyś mówiono „Ryanowie” na

oznaczenie pewnego sposobu życia. Jedno i drugie chwilowe: wszystkie nasze sposoby życia, nasze kompromisy, nasze adaptowanie się były przejściowe, wszystkie, nic nie mogło przetrwać. Ale kiedy trwały, wielu się ich czepiało i pracowało nad nimi, jak Emily przy swych obowiązkach w domu Geralda. Który ja teraz odwiedziłam. Oto bowiem po moim powrocie do mieszkania nie minęło więcej niż kilka minut, gdy rozległ się dzwonek u drzwi; była to June, cała w żywych, lękliwych uśmiechach. Początkowo nie wspominała o kradzieży, tylko usiadła na podłodze, obejmując Hugona. Jej wzrok krążył po pokoju, sprawdzając, gdzie są teraz rzeczy, które zabrała i które musiała zwrócić. Większość była niewidoczna, z powrotem w szafach i schowkach, ale na krześle leżała wiązka kawałków futra; June w przyływie rozpaczliwej ekspiacji powiedziała w końcu:

— To w porządku, co? W porządku? — i nawet wstała, żeby poklepać futro, jakby to było zwierzę, które mogła zranić. Miałam ochotę się roześmiać, a przynajmniej uśmiechnąć, ale Emily spojrzała na

174

— Bardzo surowo i zmarszczyła brwi, po czym powiedziała miękko do June:

— Tak, wszystko świetnie, dziękuję.

Dziecko rozjaśniło się natychmiast i powiedziało, zdobywając się z trudem na spojrzenie na mnie:

— Odwiedzisz nas? Gerald mówi, że można. Bo wiesz, pytałam go. Mówię mu, czy ona może przyjść, rozumiesz, o co mi chodzi?

— Bardzo chętnie przyjdę — odpowiedziałam, porozumiawszy się wzrokiem z Emily. Emily uśmiechała się: był to uśmiech matki lub opiekuna.

Najpierw jednak musiała się przygotować. Po pewnym czasie wyłoniła się z łazienki z umytą głową, uczesana, schludnie odziana, biust zarysowywał się pod błękitną bawełną, policzki pachniały mydłem, delikatne i świeże — miła dziewczyna, cała gotowa na oddanie się swym obowiązkom, Geraldowi. Spojrzenie jednak miała raczej ponure, defensywne, zasmucone, a obok niej June, dziecko, którego twarz otwierała się z absolutnym oddaniem w pełnym zaufania uśmiechu do Emily-kobiety, swej przyjaciółki.

Poszliśmy we trzy przez zakurzone ulice, jak zwykle zaśmiecone papierami, puszkami, wszelkiego rodzaju odpadkami. Miałyśmy przechodzić koło wysokiego hotelu zbudowanego podczas ostatniego ożywienia turystyki i byłam ciekawa, jaką drogę Emily wybierze; każdy starał się możliwie bezpiecz-

175

nie przejść pośród zagrożeń tych ulic i wiele można było powiedzieć o naturze danej osoby na podstawie obserwacji, czy wybierze przejście obok jakiejś niepewnej budowli, nie bacząc na ryzyko, że może stać się łupem lub celem, czy też skręci w ogóle w inną ulicę, czy będzie odważnie rzucać pozdrowienia ku strzeżonym ogrodom, czy też przejdzie szybko z odwróconą twarzą. Emily szła prosto, beztrąsco krocząc przez cały ten śmietnik. Nie po raz pierwszy zdumiewała mnie u Emily odmienność norm do użytku w domu i poza domem: w domu była uważna jak mały kotek, ale na zewnątrz zdawała się nie dostrzegać otoczenia.

Hotel dawno temu przejęli osadnicy — znów przestarzałe słowo. Żyli tu jednak najrozmaitsi ludzie, choć jako urządzenie dom był bezużyteczny, podobnie jak wszystkie skomplikowane budowle, których funkcjonowanie zależało od techniki.

Patrząc wzwyż na wysoką wieżę budynku, rysującą się dziś na przegrzanym i poszarzałym niebie, widziało się ją podartą i podziurawioną niczym koronka: szyby były powybijane lub framugi powyrywane. Górna część jednak jeżyła się rozmaitymi przyrządami- Przed jednym z okien brzęczał świetlisty krąg — to ktoś zamocował mały wiatraczek do chwytania wiatru i wykorzystywania jego energii do gotowania wody lub wytwarzania światła. Przed innymi widniały ukośne kółka utrzymywane na

176

czymś, co z dołu przypominało pajęczynę: były to rozmaitego rodzaju odbiorniki energii słonecznej, a wśród tych dostosowanych do wymogów czasu wynalazków tańczyło i kołysało się barwne pranie wysunięte w powietrze na nieśmiertelnych sznurach i drewnianych listwach.

Góra wyglądała wesoło i nawet jakby frywolnie, z błękitnym niebem jako tłem; w dole budynki otaczały kupy śmieci, pośród których zrobiono ścieżki prowadzące do wejść. Woń... ale nie będę się nią zajmować, dla Emily i June najwyraźniej nie stanowiła problemu...

Weszłam kiedyś do tego budynku, wspięłam się na samą górę, stanęłam tam i patrzyłam w dół na miasto, które — nic szczególnie zaskakującego — wyglądało chyba podobnie jak w latach, gdy maszyny jeszcze pracowały. Patrzyłam w dół i wyobrażałam sobie, że cofam się w przeszłość; wszyscy z nas nader często to robili, zestawiając i porównując, ważąc w umysłach fakty, by je uzgodnić, zorientować się w nich. Teraźniejszość była tak niepospolita i tak przypominała sen, że aby dostosować się do niej, trzeba było przeżyć proces typu: Było tak a tak, prawda? Owszem, tak było, ale teraz... Gdy stojąc tam, myślałam sobie, że brakuje jeszcze jednego: samolotu, odrzutowca, który startuje lub zniża się nad lotnisko i dominuje nad całym niebem, usłyszałam ciche brzęczenie,

177

jakby pszczoły, nie głośniejsze, i oto był — samolot. Mały jak pasikonik, jasnoczerwony, sam jeden na pustym niebie, na którym kiedyś takie mnóstwo maszyn napełniało hałasem nasze codzienne życie. Oto był, ocalony, wioząc pewnie policję, wojsko lub wysokich urzędników na jakąś naradę, gdzie będą mówić, mówić, wydawać oświadczenia na temat naszej sytuacji, smutnego położenia ludzi na całym świecie. Miło było patrzeć, poprawiało to samopoczucie, na ten mały przedmiot połyskujący pośród pustki w drodze do jakiegoś miejsca, do którego spoglądający w górę mógł się wtedy zbliżyć tylko w wyobraźni.

Zeszłam powoli na dół przez ów były hotel, oglądając, badając. Przypomniałam sobie o nowym mieście zbudowanym dla afrykańskich robotników w okolicy wielkiej kopalni w Afryce, które widziałam w nie-tak-dawno-minionych czasach, gdy kontynenty były jeszcze sobie bliskie, odległe o jeden dzień podróży. Miasto zajmowało duży teren, zostało zbudowane całe naraz i składało się z tysięcy identycznych małych „domów”, z których każdy miał pokój, niewielką kuchnię i łazienkę. W jednym z domów można było jednak obserwować wzór życia rodem z plemiennej wioski, przeniesiony do miasta w niemal niezmienionej postaci: na środku ceglanej podłogi płonęło ognisko, w kącie stał zwój koców, a w drugim dwa rondle i dzban.

178

W następnym „domu” szacowna wiktoriańska scena: kredens, stół, łóżko, wszystko pokryte okropnym fornirem, mnóstwo ozdób szydełkowych, a na ścianie naprzeciw wejścia portret Jej Wysokości, tak że Królowa, ze wszystkimi królewskimi insygniami wojskowymi, mogła nad tym wnętrzem wymieniać z obserwatorem spojrzenia pełne uznania. Pośród tych skrajności mieściła się cała gama odmian i kompromisów. Cóż, tym właśnie stał się ten hotel, był to kompleks pionowych traktów, na których można było znaleźć wszystko, od rodziny o godnej szacunku czystości i strojącej sobie żarty na temat warunków życia w Anglii przed ukazaniem się stosownego rozporządzenia w sprawie kanalizacji, noszącej nocniki i wiadra schodami na dół do jedynej czynnej jeszcze łazienki, po ludzi jedzących i śpiących na podłodze, którzy rozniecali ogień, umieszczając opał na kawałku azbestu, i siusiali z okien — drobna mokra mgła spadająca z nieba nie zawsze oznaczała w owym czasie deszcz lub skroploną parę. Chciałam przed tym jak najszybciej umknąć i nie stać pośród śmieci, gapiąc się w górę, zwłaszcza że przez okna na parterze widziałam dwu młodych ludzi z karabinami: strzegli budynku, jego części lub tylko własnego pokoju albo pokoi — kto wie? June jednak na ich widok wydała okrzyk, zawołała na nich i wyglądała na zadowoloną — w sposób, w jaki zwykle bywała zadowolona: jakby każde drobne

179

zdarzenie dostarczało jej niezасłużonego bogactwa przyjemności. Przeprósiwszy Emily, że każe jej czekać (o mojej obecności pamiętała z największym trudem), weszła do środka, podczas gdy my dwie, Emily i ja, stałyśmy wśród chmury much, obserwując przez okno scenę powitalną June — jeden z dwu młodych mężczyzn był kiedyś w domu Ryanów, co oznaczało, że niemal należał do rodziny. Ofiarował jej teraz kilka upolowanych gołębi: karabiny okazały się wiatrówkami. Gołębie wróciły — odleciały, kiedy nadchodziłyśmy — i usadowiły się ponownie na śmieciach, którymi się żywiły. Poszłyśmy dalej, niosąc martwe ptaki, które posłużą za najbliższy posiłek w gospodarstwie,

za sobą słyśmy jedwabisty łopot licznych skrzydeł i puk, puk, puk wiatrówek. Przecięłyśmy stare tory kolejowe, porośnięte teraz zielenią; kilka roślin Emily zerwała, przechodząc — na lekarstwa i przyprawy. Wkrótce znalazłyśmy się pod domem. Owszem, z ciekawości przechodziłam koło niego podczas wędrówek, ale nigdy nie zamierzałam wchodzić do środka, jak zwykle z obawy przed wdzieraniem się w życie Emily. June znowu pomachała dłonią do jakiegoś młodzieńca za półotwartą z powodu upału okiennicą na parterze i znowu odłożono jakąś broń. Weszliśmy do pokoju, który był zupełnie pusty, ale i czysty — uderzyło mnie to od razu, bo nie pozbyłam się starych skojarzeń w związku z „Ryanami”. Żadnych w ogóle

180

mebli, ale za to zasłony, okiennice wyszorowane i całe, a wzdłuż ścian stały zwinięte maty i materace. Oprowadzono mnie szybko, wiodąc z pokoju do pokoju, a ja rozglądałam się za wspólnymi pokojami — jadalnią, bawialnią i tak dalej. Był tam długi pokój wykorzystywany do posiłków, a w nim stoły i ławy, wszystko do czysta wyszorowane, poza nim jednak każdy inny pokój był samowystarczalny jako pomieszczenie do pracy lub izba mieszkalna. Otwierałyśmy drzwi jedne po drugich, za nimi grupy dzieci siedziały na materacach służących także za łóżka, rozmawiały lub były czymś zajęte, a na ścianach wisiały ubrania i rzeczy osobiste. Widać było, że naturalne przyjaźnie i sympatie czyniły z tej wspólnoty zespół mniejszych grup.

Była tam kuchnia: wielki pokój, którego połowę podłogi wyłożono azbestowymi płytami, przykrytymi jeszcze płytami z perforowanego metalu, na których mogły płonąć ogniska. Teraz też palił się ogień, dwóch nastolatków przygotowywało posiłek; gdy zobaczyli Emily, odstepili na bok, by spróbowała i oceniła: była to duszona potrawa z substytutu mięsa i ziemniaków. Powiedziała, że dobre, ale żeby może dodać trochę ziół, i podała im wiązkę zebraną na torach. No i były gołębie: mogą je oskubać, jeśli chcą lub znajdą kogoś, kto będzie miał ochotę na dodatkowe zajęcie... nie, ona, Emily, kogoś znajdzie i im przyśle.

181

Zrozumiałam teraz to, co w zasadzie zauważyłam już wcześniej: sposób, w jaki dzieci reagowały na Emily. Był to typowy stosunek ludzi do Władzy. A teraz, ponieważ skrytykowała potrawę, jeden z chłopców klęczał i kawałkiem zaostrej stali krajał na desce zieleninę: otrzymał od Emily polecenie, albo tak to odczuł, i teraz je wykonywał.

Emily patrzyła na mnie: chciała wiedzieć, co zobaczyłam, co z tego zrozumiałam, co myślę. Wyglądała na tak strapioną, że June odruchowo wzięła ją za rękę i uśmiechnęła się do niej — wszystko to było tak wyrazistym przedstawieniem sytuacji, że nie mogłam udawać, iż nic nie zauważyłam.

Ledwie parę dni wcześniej Emily wróciła późno z gospodarstwa i powiedziała do mnie:

— Nie sposób uniknąć hierarchii w grupie. Choćby się nie wiem jak chciało.

I była bliska płaczu, płaczu małej dziewczynki na dodatek.

A ja powiedziałam:

— Nie ty pierwsza masz ten kłopot!

— Tak, ale to wszystko nie jest tak, jak chcieliśmy, jak planowaliśmy, Gerald i ja omówiliśmy to, zaraz na początku, wszystko było omówione, nie miało być niczego z tej dawnej bzdury, że jedni rządzą, mówią innym, co mają robić, całej tej okropności.

— Każdy człowiek — odezwał się — nauczył się znajdować sobie jakieś miejsce w danej struktu-

182

rze, i jest to nawet pierwsza jego lekcja. Posłuszeństwa. Czy nie tak? No i każdy to robi.

— Ale większość z tych dzieci nigdy się niczego nie uczyła.

Była oburzona i pełna niedowierzania. Zadała dojrzałe — bardzo dojrzałe i odpowiedzialne — pytanie; w gruncie rzeczy większość dorosłych nigdy go nie zadaje. Ja jednak miałam przed sobą młodą dziewczynę, której spojrzenie nadal wyrażało — do zwalczenia, usunięcia dopiero w przyszłości — dziecięcą potrzebę uspokojenia, ponury żal do okoliczności właściwy bardzo młodej osobie, nie zaś dorosłemu.

— Zaczyna się to w momencie narodzin — powiedziałam. — Jaka grzeczna dziewczynka. Co za

niedobra dziewczynka. Byłaś dzisiaj grzeczna? Słyszałam, że byłaś niegrzeczna. Och, ona jest taka grzeczna, co za grzeczne dziecko... nie pamiętasz tego? — Patrzyła na mnie; chyba wcale nie słyszała. — To wszystko fałsz, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, ale przez całe życie ciągle w tym tkwimy: jesteś grzeczną dziewczynką, jesteś niegrzeczną dziewczynką. „Rób, jak mówię, a powiem ci, że jesteś porządna”. To potrzask, w którym wszyscy tkwimy.

— Zdecydowaliśmy, że tak nie będzie — odezwała się.

— Cóż — powiedziałam, — nie dochodzi się do demokracji przez ogłaszanie rezolucji lub uważanie

183
jej za atrakcyjną ideę. A to właśnie zawsze robili śmy. Z jednej strony „jaka grzeczna dziewczynka za niegrzeczna dziewczynka”, instytucje, hierarchie i miejsce w ich strukturze, a z drugiej rezolucje na temat demokracji lub opowiadanie, jacy to jesteśmy demokratyczni. Dlatego nie ma powodu, żeby cię to tak gnębiło. Zawsze dzieje się tak, jak się zdarzyło. Wstała; była zła na mnie, zdezorientowana, zniecierpliwiona.

— Bo widzisz — powiedziała. — Wszystko było tak, że mogliśmy zacząć w nowy sposób. Nie musiało się stać, jak się stało. I w tym rzecz. — Wyszła do kuchni, aby się uwolnić od tego tematu. A teraz stała w kuchni swojego, czy też Geralda, gospodarstwa, zła, zdezorientowana, urażona. To dziecko pospiesznie pracujące bez spoglądania w górę, bo nadzorca jeszcze tam stoi i może skrytykować, upokarzać ją.

— Ale dlaczego? — szepnęła, patrząc na mnie i naprawdę — widziałam to — oczekując odpowiedzi, wyjaśnienia.

A June stała obok niej, uśmiechając się, nie rozumiejąc i patrząc ze współczuciem na swą biedną przyjaciółkę, tak bardzo zmartwioną.

— Ach, co tam, mniejsza o to! — powiedziała w końcu Emily, odwracając się ode mnie, od June, od całej tej sceny, i wyszła, ale wychodząc, zapytała: — Gdzie jest Gerald? Powiedział, że będzie.

184
— Poszedł z Maureen na targ — stwierdziło jed-n0 z dzieci.

__ Nie zostawił jakiegś wiadomości?

— Powiedział, że mamy ci powiedzieć, że trzeba dziś zrobić porządek z naszymi głowami.

— O, naprawdę? — Ale potem, uwolniwszy się od swego cierpienia, poleciła: — Dobrze, powiedz wszystkim, żeby przyszedli do holu. — I poprowadziła nas do ogrodu.

Był to pod każdym względem piękny ogród, rozplanowany, przygotowany, zorganizowany, pełen dobrych rzeczy, wyłącznie użytecznych — ziemniaki, pory, cebula, kapusta, w obfitości — i nigdzie ani jednego chwastu czy kwiatu. Pracowało tu kilkoro dzieci; gdy zobaczyły Emily, zwiększyły tempo.

A ona nagle wykrzyknęła:

— Nie, nie, mówiłam, żeby szpinak zostawić do przyszłego tygodnia, trzeba go okopać.

Mniej więcej siedmioletnie dziecko całkiem jawnie wykrzywiło się do June, a jego grymas miał mówić: Ona myśli, że kto ona jest, szef czy co? — reakcja całkowicie rutynowa, w takiej czy innej formie spotykana tam, gdzie są grupy, hierarchie, instytucje. Krótko mówiąc, wszędzie. Emily dostrzegła to i złągodziła ton głosu:

— Ale mówiłam, żeby zostawić, prawda? Nie mogłeś się sam przyjrzeć? Liście są jeszcze cienkie.

— Pokażę Patowi — powiedziała szybko June.

185

— Nie, to naprawdę nieważne — odrzekła Em"l Zanim opuściliśmy ogród, Emily musiała jeszcze wykrzyknąć i wyjaśnić: popiół z ogni u mający chronić kapustę od szkodników, został nłożony zbyt blisko łądyg.

— Czy ty nie widzisz? — zawołała Emily do dziecka, tym razem czarnego, które stało sztywno przed nią, a na jego twarzy malował się wysiłek uznania tej krytyki, skoro przecież ono tak dobrze pracuje. — Nie trzeba tak blisko łądygi, rób kółko o tak...

Uklękła na wilgotnej ziemi i z plastikowej torby wysiewała popiół dookoła łądygi kapusty. Robiła to zgrabnie i szybko, była prawdziwym fachowcem; dziecko westchnęło i spojrzało na June, która objęła je ramieniem. Kiedy Emily podniosła wzrok znad swojej pracy przy popiele, ujrzała dwoje

dzieci, jedno opiekuńczo obejmujące drugie, złączone przeciw niej, szefowej. Zaczerwieniła się i powiedziała:

— Przepraszam, że tak krzyczę, nie chciałam. Na to dzieci, rozłączywszy się, przypadły do niej z obu stron; poszły, cierpiąc od jej cierpienia, ścieżkami tego wzorowego ogrodu w stronę domu. Ja, zapomniana, za nimi. Murzynek trzymał Emily za jedną rękę, June za drugą, Emily szła niepewnie między nimi, a ja wiedziałam, że to dlatego, iż oczy ma pełne łez.

Przy tylnych drzwiach poszła sama przodem, Murzynek za nią. June została, żeby mi towarzy-

186
zwać. Uśmiechała się do mnie, tym razem naprawdę *dużo* dostrzegając; jej nieśmiały, otwarty, bezbronny uśmiech ofiarowywał mi jej ułomność, wydziedziczenie — jej historię. Równocześnie te oczy prosiły, bym nie krytykowała Emily, bo dla niej byłoby nie do zniesienia, że ktoś nie lubi Emily.

W holu, czy też jadalni, na stołach stały rzędem miski z wodą wydające silną woń ziół, obok gęste grzebienie i stara odzież. Obok stołów stały dzieci, a starsze z nich, wraz z Emily, zaczęły czesać nadstawione głowy.

Emily zapomniała o mnie. Potem dostrzegła mnie i zawołała:

— Chcesz z nami zostać na kolacji? Wyczuwałam jednak, że nie chce, bym została. Zaledwie odwróciłam się ku wyjściu, gdy usłyszałam, jak w jej głosie pobrzmiwa lęk:

— Czy Gerald mówił, kiedy wróci? Maureen coś mówiła? Na pewno powiedział, jak długo ich nie będzie?

Już z okna mieszkania zobaczyłam Geralda, jak przybył na trotuar z jakąś dziewczyną, pewnie Maureen, i stał tam otoczony jak zwykle młodszymi dziećmi, częściowo z jego gospodarstwa, częściowo nie. Prawdopodobnie uważał parogodzinne wałęsanie się tu za pewną funkcję.

Przypuszczam, że była to pewna funkcja. Zbieranie informacji, jak w przypadku nas wszystkich, przyciąganie nowych

187

chętnych do jego gospodarstwa... ale miał przeci ! więcej ochotników, niż mógł przyjąć — a więc n prostu pokazywanie się, ukazywanie swych atutów wobec czterech czy pięciu innych młodych, którzy byli naturalnymi przywódcami — odpowiednik mężczyzny idącego polować, podczas gdy kobiety zajmują się domem? Zabawiałam się tymi myślami gdy tak stałam, a obok mnie Hugon, i obserwowałam tego młodzieńca w jego ekwipunku rozbójnika, cenionym wśród tych ludzi, a wokół niego tyle młodych dziewcząt, chwytających jego spojrzenie, czekających na okazję rozmowy... stare myśli o zużytych wzorach społecznych zachowań. A jednak trwały tutaj, nie umarły. Tak jak stare wzory powtarzały sobie ciągle, reformowały się nawet wtedy, gdy wydarzenia na pozór dopuszczały każdy eksperyment, każde odchylenie i każdą mutację, tak samo i stare myśli zestawiające wzory. Ciągle słyszałam pytanie Emily, zbyt wysilany głos: „Gdzie Gerald, gdzie on jest?"; stała tak, wyczesując wszy i gnidy z włosów młodszych dzieci; a Gerald planował zapewne jakąś wyprawę po różne artykuły, bo nikt nie mógł powiedzieć o nim, że nie ma pomysłów lub że jest leniwy.

Później zniknął z trotuaru i Maureen też. Wkrótce potem wróciła do domu Emily. Była bardzo zmęczona i nie starała się tego ukryć. Natychmiast opadła na podłogę obok psa i odpoczywała,

podczas

188
edy ja robiłam kolację. Podałam ją i pozmywałam, gdy ona znowu odpoczywała. Pomyślałam sobie, że moje odwiedziny w tamtym domu i fakt, że zobaczyłam, jak wiele ma tam pracy, sprawiły w końcu, że mogła rozluźnić się, siedzieć i pozwolić się obsługiwać. Kiedy skończyłam zmywanie, zrobiłam dla nas po filiżance herbaty i zasiadłam przy Emily w zmierzchu letniego wieczoru, a ona siedziała wyczerpana obok Hugona.

Na zewnątrz hałas i krzyki na trotuarze pod barwnym zachodem słońca. Tu, w środku, spokój, łagodne światło, mruczenie zwierzęcia liżącego rękę Emily. Tu, w środku, szloch dziewczyny, płaczącej jak dziecko, z lekkim pociąganiem nosem i głośnym przetykaniem śliny. Nie chciała, żebym wiedziała, iż płacze, ale nie zależało jej na ukryciu się.

Ściana otwarła się. Za nią widać było mocno błękitne niebo, ostry błękit, czysty i zimny, jaki nie występuje w naturze. Cały firmament jednolicie wypełniał się tym kolorem i nigdzie nie było w nim owej głębi, która prowadzi wzrok do wnętrza, ku refleksji lub wytchnieniu, błękitu, który zmieniałby się wraz ze światłem. Nie, to było niebo całe zamknięte w sobie, które nie mogło się zmieniać ani niczego odzwierciedlać. Wysokie, ostre, poszarpane ściany sięgały ku niemu, i gdy się na nie patrzyło, doświadczało się ich sztywnej twardości, przypominały powiększone płatki starej farby. Te płaty

189

ścian lśniły białością, tak jak niebo błękitem, gr^ony stwardniały świat.

Pojawiła się Emily, jej twarz o zmarszczonych brwiach pochylała się nad jakąś pracą. Miała na sobie bladoniebieski strój podobny do fartuszka niczym dawne dziecko ze żłobka, trzymała miotłę zrobioną z gałązek, jakiej używa się zwykle w ogrodzie, i zgarniała w sterty opadłe liście, które zalegały wszędzie trawę porastającą podłogi tego zniszczonego domu. Gdy jednak je zmiatała, zgarniała w sterty, one ponownie zbierały się u jej stóp. Zmiatała coraz szybciej, szybciej, z zarumienioną twarzą, zrozpaczona. Jej miotła wirowała w chmurze żółtych i pomarańczowych liści. Usiłowała opróżnić z nich dom, by wiatr ich znowu nie rozrzucił. Jeden pokój był czysty, potem następny, na zewnątrz liście sięgały jej kolan, cały świat był pokryty grubą warstwą liści, które szybko, niczym śnieg, opadały z tego straszego nieba. Wszystko pogrążało się w suchych liściach, dusiło się pod nimi. Odwróciła się w odruchu przerażenia, żeby zobaczyć, co się dzieje w oczyszczonych przez nią pokojach: sterty, które ułożyła, zatoneły już pod nowymi liśćmi. Pobiegła z rozpaczą przez pozbawione stropów pokoje, by stwierdzić, czy tu, tam lub może tam znajduje się miejsce jeszcze zadaszone i chronione, jeszcze bezpieczne od zatapiającej ulewy suchej materii roślinnej. Nie dostrzegała mnie. Jej oczy — nie-

190

ruchome, rozszerzone, przerażone — nie zauważały mnie. Widziała tylko fragmenty ścian, które nie mogły jej ochronić ani powstrzymać szeleszczącej powodzi. Stała tyłem do ściany, opierała się na swej bezsilnej małej miotle, patrzyła i słuchała, jak liście, szeleszcząc, padają koło niej i na nią, na cały świat w tej burzy rozkładu. Aż zniknęła — mała, zapatrzona postać, jasnobarwna dziewczynka, niczym ornament na zdobnej porcelanie w serwantce lub na półce, żywa plamka kolorów na malowanej bieli, strasznej bieli dziecięcego świata, co otwarł się od strony sypialni rodziców, w której lato, burza czy śnieg były po drugiej stronie grubych zasłon.

Białych. Białe szale, koce, pościel i poduszki. Na bezmiernej równinie bieli leżało dziecko zagrzebane w biel i niezdolne do uwolnienia rąk. Patrzyło na biały sufit. Odwracając głowę, widziało białą ścianę po jednej, a róg białej szafy po drugiej stronie. Biała emalia. Białe ściany. Białe drewno.

Dziecko nie było samo; coś tam się poruszało, jakiś ciężki, głucho stąpający stwór, którego każdy krok wstrząsał łóżeczkiem. Bum, bum, dudniły ciężkie stopy i słychać było brzęk metalu o kamień. Dziecko podnosiło głowę, ale nie mogło niczego dojrzeć, starało się trzymać głowę uniesioną nad parne ciepło poduszki, ale musiało się poddać i opaść z powrotem w miękkie ciepło. Nigdy więcej, aż do chwili, gdy będzie bezsilna leżeć na łożu śmierci,

191

z jej członków ujdzie wszelka siła i nie pozostanie jej nic prócz świadomości w oczach, nigdy więcej nie będzie równie bezradna jak teraz. Ogromna istota podeszła dudniącym krokiem do łóżeczka, którego żelazne pręty drżały i dzwoniły, wielka twarz pochylała się nad nią, a ona została wydobyta z gorącej bieli i poderwana do góry, aż jej zabrakło tchu, i chwycona rękami, które ścisnęły jej żebra. Była brudna. Już. Brudna. W słowie tym brzmiały dezaprobata, niesmak, niechęć. Oznaczało ono zawijanie i obracanie w tę i we w tę między twardymi brutalnymi rękami, niczym filet z ryby na patelni lub kura w trakcie faszzerowania.

Brudna, brudna... ostry, zimny dźwięk tego słowa był dla mnie, oglądającej tę scenę, aurą „osobową”, niezmiennością praw tego świata. Biel, niechęć pobrzmiwająca w słowie, chłód, duszenie się, gdy aura opadała i opadała, ściągana w dół przez burzę bieli, w której kukielki pociągały za swe sznurki... Przypuśćmy więc, że zalewy wypełnią się lodem, a śniegi będą padały

nieustannie, wieczny opad bieli; przypuśćmy, że pokoje wypełniły się zimnym pudrem, cała woda zamarzała, ciepło skryło się pod suchym zimnym powietrzem, które wstrząsało płucami i głodziło je... scena z sypialni rodziców, w której białe zasłony, zaspasy białego muślinu w kropki, zostały odsunięte. Za nimi biały śnieg na tle jeszcze jednej bieli, bo nieba nie ma. Dwa wiel-

192

kie łóżka, które wznoszą się wysoko, wysoko, niemal pod biały, przytłaczający sufit, są zajęte. W jednym matka, w drugim ojciec. W pokoju stoi nowa rzecz, łóżeczko dzieciinne, też całe białe lodowatą lśniąca bielą. Jest wysokie, nie tak jak owe piętzące się łoża z wielkimi ludźmi w nich, ale i tak poza zasięgiem. Krząta się tu biała postać, która ma łono pochyle i twarde. Zawiniątko zostaje podniesione. Dwoje ludzi uśmiecha się zyczliwie z łóżek, a zawiniątko zostaje zbliżone do jej twarzy. Wydaje ono pewną woń, swoistą woń; ostre i niebezpieczne są te zapachy, jak nożyce lub twarde, ugniatające dłonie. Czuje się teraz tak opuszczona i samotna, jak jeszcze nikt (z wyjątkiem każdego) się nie czuł, a jej ból jest tak silny, że może tylko stać tam zeszytniała, patrząc na zawiniątko, potem na wielką, białą odzianą nianię, potem na matkę i ojca uśmiechających się z łóżek.

Chciałaby się zapaść pod ziemię, żeby tylko nie widzieć uśmiechów tych ogromnych ludzi gdzieś wysoko pod sufitem ich gorącego, dusznego pokoju, czerwonego i białego, białego i czerwonego: czerwony dywan, czerwone płomienie stłoczone w kominku. Wszystko to dla niej za wiele, to jest za wysokie, za duże, zbyt potężne, ona chce tylko wypełznąć stąd i ukryć się gdzieś, żeby to się jakoś od niej oddaliło. Ale ciągle podsuwają jej woniejące zawiniątko.

193

— No, Emily, to twój dzieciaczek — z wielkim go łóżka kobiety dobiegł uśmiechnięty, ale apodyktyczny głos. — To twój dzieciaczek, Emily.

Kłamstwo czyni zamęt w jej głowie. To chyba zabawa, żart, z którego musi się roześmiać i zaprotestować, jak wtedy, gdy ojciec ją „łaskocze”, zadając tortury, które będą przez całe lata powracać w nocnych koszmarach? Czy ma się teraz roześmiać, zaprzeczyć i zacząć się wyrwać? Rozgląda się po twarzach matki, ojca, niani, oni wszyscy ją zdradzili. To nie jej dziecko, dobrze to wiedzą, czemu więc... Ale oni ciągle powtarzają:

— To twój Dzieciaczek, Emily, i musisz go kochać.

Zawiniątko zostało popchnięte ku niej, ma teraz wyciągnąć ręce i wziąć je. Następne oszustwo, bo to nie ona je trzyma, tylko niania. Teraz jednak uśmiechają się i chwala ją za to, że trzyma tę rzecz na rękach. Tego wszystkiego było więc zbyt wiele, zbyt wiele kłamstwa, zbyt wiele miłości. Byli za silni dla niej. Trzymała zatem dziecko, podawano je jej z góry, podsuwano. Trzymała je i kochała namiętną, gwałtowną, opiekuńczą miłością, w której środku tkwiło oszustwo i zdrada, ciepło z igielką lodu w środku...

Teraz jest to ów pokój z czerwonymi zasłonami z aksamitu, a mniej więcej czteroletnia dziewczynka ubrana w kwiecisty fartuszek stoi nad pulchnym dzieckiem, które z otwartymi ustami siedzi

194

niepewnie na kawałku linoleum rozciągniętym na dywanie-

— Nie, nie tak, tak — poucza, gdy chłopczyk, gapiąc się zafascynowany na swego silnego i mądrego nauczyciela, usiłuje położyć klocek na innym klocku. Klocek spada. — Tak to rób! — woła dziewczynka, klęka gwałtownie i bardzo szybko i zręcznie układa klocki jeden na drugim.

Każdą część siebie oddaje się teraz pragnieniu zrobienia tego, zrobienia tego dobrze, pokazania, że ona potrafi, udowodnienia samej sobie, że potrafi. To miłe niemowlę siedzi tu, patrzy zafascynowane, ale chodzi o to, żeby to zrobić, tak, zrobić, ułożyć klocki jeden na drugim w sposób doskonały, róg do rogu, brzeg do brzegu:

— Nie, nie tak, tak!

Słowa biegną przez pokój, przez sąsiedni pokój, pokoje na dole, ogród.

— Tak, Dzieciaczku, widzisz chyba? Tak.

Moje odwiedziny w tamtym domu sprawiły, że stosunki między Emily a mną stały się łatwiejsze. Mogłam na przykład pewnego rana zrobić uwagę na temat jej usmarowanej twarzy i zapuchniętych oczu. Poprzedniego dnia nie poszła do Geralda i teraz też nie przejawiała zamiaru pójścia. Było już południe, a ona jeszcze się nie ubrała. Miała na sobie to, w czym spała, bawełnianą koszulkę, która kie-

195

dyś była letnią sukienką wieczorową. Siedziała n podłodze, obejmując Hugona.

— Naprawdę nie wiem, co ja tam w ogóle robie

— odezwała się, a miało to być właściwie pytanie

— powiedziałabym, że robisz tam wszystko. Patrzyła na mnie przez chwilę, uśmiechnęła się gorzko, i to bezwiednie.

— Tak, ale gdybym przestała, robiłby to ktoś inny.

Tego nie oczekiwałam: była to, powiedzmy, myśl zbyt dorosła. Choć sama ją do niej sprowokowałam, to zarazem zaalarmowało mnie, że tło jej myśli, jej cień jest naprawdę mroczny i prowadzi do wszelkiego rodzaju obojętności i rozpaczy: to często, mówiąc wprost, pierwszy krok ku samobójstwu... a w każdym razie najskuteczniejsza droga do utraty energii.

Wycofywałam się, mówiąc:

— Owszem. O każdym z nas można tak samo powiedzieć. Nie znaczy to jednak, że wszyscy powinniśmy nie ruszać się z łóżek! Mnie zastanawia jednak, dlaczego tak to teraz odczuwasz. W tej chwili. Skąd się to wzięło?

Uśmiechnęła się... tak, była bardzo szybka, bardzo bystra:

— No, nie mam zamiaru podcinać sobie żył.

— A potem, przenosząc się na inny poziom, jakby skacząc w dół, zawołała: — A gdyby nawet, to co?

196

— Czy to Maureen? — spytałam. Nic innego nie przychodziło mi do głowy.

Moja głupota pozwoliła jej przyjść do siebie; wróciła na swój poziom. Spojrzała na mnie; spojrzała... ach, te spojrzenia, które odbierałam jedno po drugim jak ciosy szyderstwa. To spojrzenie znaczyło: O, też mi melodramat! Nie kocha mnie, kocha inną!

— Maureen... — wydała z siebie coś jak wzruszenie ramionami i istotnie wzruszyła nimi. Potem jednak zniżyła się do dodania: — To nie Maureen, w tej chwili to June.

Z kwaśnym uśmiezkiem czekała teraz na moje: „C o? Nonsens, niemożliwe!”.

— Niezdrowa rzecz, prawda? — powiedziała ironicznie.

— Ale ona... ile ona ma lat?

— Naprawdę jednaście, ale mów, że dwanaście.

Uśmiechała się teraz, ożywiona swą własną, rzeczywistą filozofią: moja gwałtowna dezaprobatą napęliła ją energią, wyprostowała się teraz nawet i roześmiała. Mój język odrzucał jedną werbalizację po drugiej z asortymentu, który, jak wiedziałam, mógł najwyżej wywołać kpinę. W końcu znowu zakpiła sobie słowami:

— No, nie może zająć w^ciążę, przynajmniej tyle. Nie zamierzałam kapitulować.

197

— Tak czy owak — powiedziałam — to na pewno nie jest dla niej dobre.

Jej uśmiech zmienił się, był teraz nieco smutny, może zazdrosny, i mówił: Zapominasz, że nie stać nas na życie wedle twoich norm. Nam się tak nie powiodło, prawda?

Ten uśmiech sprawił, że umilkłam; po chwili ona powiedziała:

— Ty myślisz, och, to jeszcze dziecko, bardzo niedobrze... tak jakoś myślisz, a ja myślę, że June była moją przyjaciółką, a teraz już nie jest.

Teraz już zupełnie ucichłam. Po co cały ten nonsens? Jeśli June nie jest przyjaciółką teraz, to będzie nią za tydzień, kiedy Gerald odejdzie do innej. W jednej chwili — i wydawało się, że zdarza się to wiele razy w ciągu dnia — Emily przeniosła się ze sfery głębi, do której mi było daleko (ma to oznaczać akceptację, zrozumienie, jak się rzeczy mają), w dziecko, prawdziwe dziecko, takie, jakimi zwykle dzieci bywają... Wzruszyłam ramionami, zostawiając ją z tą sprawą. Nie mogłam

tego znieść, rozmowa na zmiennych poziomach to było dla mnie za wiele.

Emily odebrała moje wzruszenie ramion jako potępienie jej i wykrzyknęła:

— Nigdy nie miałam nikogo takiego jak June, kogoś naprawdę bliskiego. — I odwróciła twarz, by ukryć dziecięce łzy.

198

Oto jak można być na coś ślepym. Widziałam przecież, jak dziecko June adoruje „starszą kobietę”, co było naturalne jako pewien etap rozwoju u każdego człowieka. Nie rozumiałam jednak, jak bardzo Emily uzależniona była od tej chudej, bezdomnej istoty o ostrych rysach, która nie tylko wyglądała a na młodszą o trzy lata, ale przebywała też w innym wymiarze, tak innym, jak odmienne jest dzieciństwo od bycia młodą kobietą.

Potrafiłam tylko powiedzieć:

— Wiesz, że on się nią znudzi i znowu będziecie przyjaciółkami.

Niemal krzyknęła, zrozpaczona moim staroświeckim sposobem myślenia:

— Nie chodzi o znudzenie!

— No więc o co? Powiedz mi.

Spojrzała na mnie, po czym sama z kolei wzruszyła ramionami:

— No, to jest zupełnie inaczej... on musi... zataczać kręgi. Jak kocur, który znaczy swoje terytorium. — Zaśmiała się lekko na tę myśl.

— Cóż, jakkolwiek oryginalne i wspaniałe byłyby wasze nowe obyczaje, faktem jest, że June wkrótce będzie wolna, prawda?

— Ale mnie jej brak teraz — zaszlochała, znów mała dziewczynka, ocierając kciukami łzy z oczu; poderwała się jednak i, jako dorosła, stwierdziła: — W każdym razie muszę tam iść, czy chcę,
199

czy nie chcę — i poszła, z zaczerwienionymi oczami, żalosa, pełna tłumionej złości, która ciągle się ujawniała. Poszła, ponieważ poczucie obowiązku nie pozwalało jej inaczej.

Za moją ścianą w kwiaty wznosił się dumnie wysoki, piękny, lśniący bielą dom. Patrzyłam nań z pewnej odległości, potem zbliżyłam się, uświadamiając sobie, że po raz pierwszy podchodzę z zewnątrz, zamiast od momentu przekroczenia tajemniczej granicy znajdować się już wewnątrz innego budynku. Był to solidny, dobrze utrzymany dom, jakby w południowoafrykańskim stylu, gdzie każdy racjonalny łuk świadczy za obywatelem, mieszkańcem. Dom lśnił jakimś szczególnym delikatnym blaskiem. Zbudowany był z tworzywa znanego w czystej postaci, ale nie po przetworzeniu w kształt domu. Odłamałam kawałek i skosztowałam: słodki, rozpuszczał się na języku. Dom z cukru, jak w pewnej bajce, a jeśli nie z cukru, to z jadalnej substancji, którą kiedyś wypełniano nugaty. Odłamywałam kawałki, kosztowałam i jadłam... substancja ta zmuszała do ciągłego jedzenia, bo nie nasyciała, choć czuło się przesyt: można było jeść i jeść i nie nasycić się tą białą mdłą materią. Była tu Emily, odrywała całe kawały dachu i wpychała je sobie w zdrowe usta, była też June, bez entuzjazmu wybierała i odrywała kawałki. Fragment muru, kawałek szyby okiennej... wygryzałyśmy sobie dro-

200

gę do domu jak termyty, z brzuchami napchanymi, ale nie nasyconymi, nie mogąc przestać, choć czułyśmy mdłości. Wyjadłszy sobie wejście za rogiem domu, zobaczyłam pokój, o którym wiedziałam, że jest „osobowy”. Znałam go. Mały pokój, przez którego okna wpada mocne słońce. Kamienna podłoga, na środku łóżko dziecinne, a w nim dziecko, dziewczynka. Emily, zajęta, pochłonięta czymś całkowicie. Jadła... czekoladę. Nie, odchody. Wypróżniła się w świeże białe łóżeczko i teraz nabierała w garstki tę substancję i rozsmarowywała ją gdzie popadnie z szybkimi okrzykami triumfu i radości. Wysmarowawszy prześcieradła i koce, drewno poręczy łóżeczka, siebie samą, twarz i włosy, siedziała jak mała małpka, z namysłem kosztując i smakując.

Ta scena — dziecko, łóżko, słoneczny pokój — ostro zmalowała, skurczyła się w polu mojego widzenia i została odsunięta, by dać miejsce tej samej scenie, ale mniejszej, zredukowanej i w ten sposób łatwiejszej do ogarnięcia cierpienia. Nagle bowiem rozległy się kroki dzwoniące po kamieniach, głośny, zirytowany głos, klapsy, ciężki oddech — ciche mamrotanie, a potem okrzyki wstrętu, wrzaski i krzyki dziecka, najpierw ze złości, a po chwili przerwy z rozpacz, gdy była już

na wpół utopiona wskutek żywości, z jaką ją szorowano i szarpano w głębokiej i zbyt gorącej, kąpeli. Szlochała z rozpacz, nie pojmując swojej winy, gdy wielka kobieta

201

obwąchiwała ją, by stwierdzić, czy smród gówna został już zmyty, ale wykrywała (ciągle, pomimo zbyt gorącej wody, która parzyła i paliła, pomimo szorowania, które przyprawiało delikatną skórę o ból i zaczerwienienie) lekki ślad skażonej woni i musiała ponownie wydawać okrzyki odrazy i zgrozy. Matka krzyczała i krzyczała z niechęci do niej; dziecko chlipało z wyczerpania. Zostało rzucone do kąta z zabawkami, a łóżeczko wyniesione, by je wyszorować i odkazić. Samotna i w niełasce, Emily szlochała i szlochała.

Płacz dziecka. Żalosny, zagubiony głos nierozumienia.

— Jesteś brzydką dziewczynką, Emily, jesteś brzydka, brzydka, brzydka, wstrętna, brudas, brudna, brudna, brudna brudna brudna brudna, jesteś brudną dziewczynką, Emily, jesteś brzydka, wstrętna, och, odrażająca, Emily, jesteś brudasem brudną brudną dziewczynką.

Chodziłam po sąsiednich pokojach, poszukując jej, ale nie mogłam trafić na właściwy, choć skargę Emily słyszałam niekiedy gdzieś bardzo blisko. Często wiedziałam, że jest tuż za ścianą: mogłabym jej dotknąć, gdyby nie mur. Po dojściu kiedyś do skrajów ściany znalazłam się jednakże poza sceną „osobową” i oto byłam na jasnozielonej polanie lub małym polu, na którego krańcach stały drzewa w pełni letniego rozkwitu. Na polanie leżało jajo. Było roz-

202

miarów małego domu, ale tak lekkie, że poruszało się w słabym wietrze. Wokół tego wspaniałego białego jaja chodzili Emily, jej matka, ojciec, a także — skojarzenie ludzi tak nieprawdopodobne, jak tylko można sobie to wyobrazić — June, blisko Emily. Chodzili tam zadowoleni ze słońca, lekki wiatr poruszał ich strojami. Dotykali jaja. Cofali się i oglądali je. Uśmiechali się, pełni zadowolenia, i było im przyjemnie. Przykładali twarze do gładkiej zdrowej pochyłości powierzchni jaja, by dotknąć jej policzkiem; wachali je, kołysali delikatnie końcami palców. Cała ta scena była rozległa, jasna i przyjemna, była wolnością — zawróciłam od niej ostro za róg z powrotem do wąskiego i ciemnego przejścia i głosu płaczącego dziecka... oczywiście myliłam się, za tą ścianą w ogóle jej nie było, była tam jeszcze inna ściana i wiedziałam dokładnie, gdzie jest. Zaczęłam biec, biegłam, musiałam dotrzeć do dziecka. Uświadamiałam sobie, że równocześnie się ociągam, gdyż nie spieszyło mi się do chwili, gdy ja również poczuję tę słabą woń nieczystości w jej włosach, na skórze. Biegając, postanawiałam sobie: nie okażę wstrętu, jak to czyniła jej matka, gdy wstrzymywała z całej siły oddech, żeby nie zwymiotować, mięśnie jej brzucha kurczyły się raz po raz, dreszcze niechęci do dziecka dawały o sobie znać za pośrednictwem ramion, które podnosiły Emily do góry, żabie-

0

rały ze sceny jej przyjemności i karzącym ruchem

203

wrzucały gwałtownie do wanny, a w niej z powodu pośpiechu woda była jeszcze zimna, ale wlewała się zarazem woda bardzo gorąca, i te dwa strumienie wody, bardzo gorącej i bardzo zimnej, wirowały wokół niej, parząc i ziębiąc nogi i brzuch. Nie mogłam jednak jej znaleźć, nigdy jej nie znalazłam, choć płacz trwał i trwał, a ja słyszałam go w ciągu dnia w swoim „realnym” życiu.

Powiedziałam już chyba, że kiedy byłam w jednym świecie, w strefie za ścianą w kwiaty mojej bawialni, zwykły, logiczny, zdominowany przez czas świat życia codziennego nie istniał i że w swym „zwykłym” życiu zapomniałam, niekiedy na długie dni, że ściana może się otworzyć, że się otwierała, że znów się otworzy, a ja najzwyczajniej przejdę przez nią w tamto miejsce. Teraz jednak zaczął się okres, gdy coś z aury miejsca za ścianą nieustannie wdzierało się w moje realne życie. Początkowo przejawiało się to płaczem dziecka. Bardzo słabym, bardzo odległym. Niekiedy niesłyszalnym lub prawie niesłyszalnym, moje uszy natężyły się, by go słyszeć, a potem gubiły go. Zaczynał się znów, dość głośny, czasem nawet gdy mówiłam coś do samej Emily lub stałam w oknie, obserwując wydarzenia przed domem. Słyszałam szloch dziecka, samotnego dziecka, nielubianego, odrzucanego; równocześnie dobiegała mnie skarga matki, narzekanie matki; te dwa

głosy płynęły obok siebie, temat i kontrapunkt.

204

Siedziałam, słuchając. Siedziałam sama i słuchałam- Było ciepło, bardzo ciepło, gorący okres końca lata. Często grzmiało, przechodziły suche burze; na ulicach panował niepokój, pragnienie wyruszenia... Robiłam to i owo dla siebie, bo miałam wyruszyć. Siedziałam lub zajmowałam się czymś i nasłuchiwałam. Pewnego ranka Emily wróciła cała ożywiona i widząc, że układałam na tackach śliwki do suszenia, włączyła się do pracy. Miała na sobie pasiastą bawełnianą bluzkę i dzinsy. Przy bluzce brakowało guzika na piersi; przez rozchyloną w tym miejscu odzież ukazywał się wyraźny już biust. Wyglądała na zmęczoną, ale pełną energii; nie wykapała się jeszcze i dobiegała od niej woń seksu. Doznała spełnienia, czuła się lekko, nieco smutna, ale w pogodny sposób. Była, krótko mówiąc, kobietą i siedziała uśmiechnięta, wycierając śliwki powolnymi, spokojnymi ruchami, wszystkie jej głody, popędy i pragnienia przegnane z niej, wypędzone niedawnym stosunkiem. I cały czas tamto dziecko płakało. Patrzyłam na nią; myślałam, jak to zwykli czynić starsi, zmagający się z czasem, z tym przekleństwem — daremnie (ale nie mogąc przestać), nieustannie za swego rodzaju miarę lub linię przewodnią mając myśl: To było przed czternastu laty, później nawet, kiedy płakałaś tak boleśnie i długo z powodu niezrozumienia i poparzonych pośladków, ud i nóg. Czternaście lat to dla mnie tak mało, na

205

mojej skali waży niewiele, ale na twojej — na twoje-jest wszystkim, całym twoim życiem. Myśląc o czasie, mówiąc o nim, jak to dawnie-' oczekiwało się od dziewczyny odnotowującej p0_ wolne docieranie do kolejnych kamieni milowych na drodze ku kobiecości i ku wolności, Emily po. wiedziała:

— Niedługo będę miała piętnaście lat — bo niedawno minęły jej czternaste urodziny.

Powiedziała to ledwie wczoraj; mogła tak mówić nawet wyzywająco, ruchem głowy odrzucając włosy do tyłu jak „młoda dziewczyna”. Teraz właśnie wróciła z nocy miłosnej, i to wcale nie dziewczęcej.

Całe rano słuchałam szlochu, pracując razem z nią. Ona jednak nic nie słyszała, choć ja nie mogłam w to uwierzyć.

— Słyszysz, jak dziecko płacze? — zapytałam, starając się zrobić to jakby mimochodem, choć wewnątrz cała się skręcałam, żeby nie słyszeć tego nieszczęśliwego głosu.

— Nie, a ty słyszysz? — I poszła postać przy oknie. Hugon u jej boku. Patrzyła, czy Gerald się już pojawił. Nie pojawił się. Poszła się wykapać i ubrać, potem czekała przy oknie — tak, właśnie idzie. Postać jeszcze trochę, starając się go nie zauważać, chcąc jakby potwierdzić swą niezależność, uwydatnić to swe drugie życie ze mną. Zwlekała tak jeszcze pół godziny, godzinę.

Usiadła nawet ponownie obok

206

swego paskudnego żółtego zwierzęcia, pieszcząc je i drażniąc się z nim dla zabawy. Jej milczenie stało się bardziej napięte, jej wyglądanie z okna bardziej upozowane: Dziewczyna u okna w zapomnieniu o kochanku. Potem jej dłoń na łbie zwierzęcia, głaszcząca i poklepująca, zapomniała o nim, opadła. Gerald widział ją. Zauważył, że go nie zauważa. Odwrócił się: w przeciwieństwie do niej naprawdę zbytnio się nie przejmował, a raczej przejmował się, ale w zupełnie inny sposób. W każdym razie tego popołudnia była tam June, Maureen, wiele innych dziewcząt. A Emily nie mogła tego znieść. Wyszła, ucałowawszy Hugona. Ja otrzymałam rytualne: „Wyjdę trochę, jeśli nie masz nic przeciwko temu”. I już była z nimi, ze swą rodziną, swym plemieniem, swym życiem.

Dziewczyna o uderzającym wyglądzie, o ciemnych włosach spływających po obu stronach bladej, bardzo poważnej twarzy, była tam, gdzie był Gerald, który obnosił się z nożami u pasa, bokobrodami, silnymi opalonymi ramionami. Dobry Boże, ileż stuleci odrzuciliśmy, ile długich powolnych kroków ludzkiej wspinaczki Emily unieważniła, gdy z mojego mieszkania przeniosła się w życie trotuaru! I jakież perspektywy, możliwości, eksperymenty, wariacje na temat człowieka zostały unicestwione! Patrząc, popadłam w rozpacz z powodu tej nietrwałości wszelkich ludzkich prób i wysiłków, i odeszłam od okna.

207

c
" O
• o

Ś- o c
tg. ~-j
. o Z. Ъ " o -3 ЯГ ■£
- B ^ a o*

I
1-I CO
o <? ?, ^ ^ ^ a c. o
Ъ \

Po południu usiłowałam świadomie dostać się za ścianę: długo stałam przed nią, patrząc i czekając. Słońce nie oświetlało jej teraz, była jednolita martwa, pusta. Podeszłam i nacisnęłam ją dłońmi przesuwałam po niej rękami, dotykając i obmacując ją, próbując wszelkich sposobów, by ciężka, solidna rzecz poddała się naporowi mej woli. Nonsens, wiedziałam; ściana, jeśli się poddawała, tworząc most lub drzwi, to nigdy z powodu mojej lub czyjejkolwiek woli. Ten nieustanny cichy szloch nieszczęśliwego dziecka przyprawiał mnie jednakże o szaleństwo, pozbawiał rozsądku... ale przecież odwracając głowę, mogłam ją zobaczyć, wesołą młodą dziewczynę na trotuarze, która pewnie z racji swej wewnętrznej powagi nie uśmiecha się, ale w każdym razie bardzo daleka jest od płaczu. Chciałam podnieść tamto dziecko, pocałować i ukoić. A ono było tak blisko, wystarczyło tylko, jak w starych opowieściach, znaleźć odpowiednie miejsce na ścianie i nacisnąć. Pewien kwiat w ornamencie albo punkt znajdujący się po odmierzeniu tyłu a tyłu cali od tego miejsca do tamtego, a potem delikatnie naciskany... ale oczywiście wiedziałam, że świadomy wysiłek woli nic nie da. Stałam tam jednak całe popołudnie, aż po wieczór, gdy na dworze się ściemniło i na trotuarze zapłonęły ogniska, ukazując, jak stłoczona masa ludzi je, pije, kłębi się w swych klanach i kręgach. Przesuwałam dłońmi po ścianie, powoli,

208

cał za całem, lecz tego dnia nie znalazłam wejścia __ani następnego dnia, nigdy nie dotarłam do płaczącego dziecka, które było tam beznadziejnie samotne, porzucone, mając przed sobą jeszcze wiele lat do przeżycia, nim czas da mu siły i je uwolni. Nigdy nie znalazłam Emily. Znalazłam za to... rzecz w tym, że to, co znalazłam, było nieuchronne. Mogłam to przewidzieć. To, co znalazłam, miało wokół siebie, miało w sobie, jako swą kwintesencję banał, nudę, małość, ograniczenie owego „osobowego” wymiaru. Cóż innego mogłam znaleźć — nieoczekiwanie, rzecz jasna — gdy za ścianą biegałam nieustannie przejściami, korytarzami, wchodziłam do pokoi, wiedząc, że ona w nich jest, ale jej nie było, dopóki jej w końcu nie znalazłam: błękitnookiego, jasnowłosego dziecka, którego oczy poczerwieniały i zapuchły od płaczu. Któż inny mógł to być, jeśli nie matka Emily, kobieta wielka jak koń pociągowy, jej dręczycielka, obraz świata? To nie Emily trzymałam w ramionach, nie jej płacz usiłowałam uciszyć. Spragnione ukojenia drobne ramionka wznosiły się do góry, ale pewnego dnia stanę się owymi wielkimi rękami, które nie nauczyły się delikatności; buzia, szkarłatna od owego pragnienia, znalazła w końcu pociechę, gdy wyczerpane cierpieniem jasnowłose maleńkie dziecko złożyło główkę na moim ramieniu, a delikatne kosmyki złotych dziecięcych włosów powstawały,

209

stercząc w górę suche i miłe, gdy przesuwałam między palcami wilgotne loczki, by zetrzeć pot. Miła, jasnowłosa dziewczynka, która wreszcie znalazła ukojenie w moich ramionach... a kim było dziecko, które ujrzałam jeszcze przed ową sceną, gdy dziewczynka radośnie wcierała sobie czekoladowobrazo-wy kał we włosy i twarz i smarowała pościel?

Kiedyś bowiem, idąc za odgłosem płaczu, dotarłam do pokoju, który był cały biały, czysty i

sterylne, miał ów koszmarny kolor więzienia Emily. Pokój dziecinny. Ale czyj? Było to jeszcze przed narodzinami brata lub siostry, bo była małeńka, niemowlę, i sama. Matka przebywała gdzieś indziej, nie była to pora karmienia. Dziecko skręcało się z głodu. Głód wczepił się w jego brzuszek, pragnienie jedzenia pożerało dziewczynkę żywcem. Krzyczała z wnętrza grubej, duszącej warstwy ciepła, pot rosił małą, szkarłatną buzię, obracała głowę w poszukiwaniu piersi, butelki, czegokolwiek: pragnęła płynu, ciepła, jedzenia, pociechy. Skręcała się, walczyła i krzyczała. Krzyczała przez pewien czas — bo dopiero potem mogła być nakarmiona, rygorystyczny porządek wymagał, by tak było: nic nie mogło wzruszyć tamtej upartej kobiety, która własne potrzeby i swój kontakt z dzieckiem podporządkowała rozkładowi dnia obcemu im obu i która przestrzegała go jak najściślej. Wiedziałam, że oglądam epizod powtarzający się nieustannie we wczesnym okresie

210
życia... Emily? jej matki? Była to rzecz ciągła, działa się dzień w dzień, miesiąc za miesiącem. Krzyk i głód, potem ponure łkanie, dziecko chciało następnego karmienia, które nie nadchodziło, a gdy nadchodziło, to w zbyt małej ilości. Coś w tej silnej, nieprzeniknionej kobiecie kazało jej tak czynić. Jakaś konieczność. Ścisłe prawa tego małego osobowego świata. Gorąco. Głód. Walka uczuć. Gorąca czerwień płomieni z osłoniętego kominka pada na białe ściany, białą wełnę, białe drewno, biel, biel. Woń choroby podnosi się z wilgotnego miejsca, które drapie policzek, woń wilgotnej ciężkiej wełny. I małość, absolutna małość, słabość, bezradność, wyciągająca z płaczem ręce po okruchy strawy, wolności, jakiejś postaci wyboru, bo tyle mogło osiągnąć to małe gorące miejsce, w którym kukielki pociągały za swe niewidzialne sznurki.

Myślę, że jest to odpowiedni moment, by powiedzieć coś więcej na temat „tego”. Oczywiście tak naprawdę nie ma „odpowiedniego” momentu czy miejsca, gdyż nie było żadnego momentu, który — wtedy lub teraz — wyznaczałby początek „tego”. A jednak przyszedł okres, gdy wszyscy zaczęli mówić o „tym”; wszyscy wiedzieliśmy, że wcześniej się tego nie robiło: nasze życie zawierało inny składnik.

Może powinnam była właśnie rozpocząć tę kronikę od próby pełnego opisu „tego”. Czy można

211
jednak opowiedzieć o czymkolwiek bez „tego” w tej czy innej postaci — jako głównego tematu? Być może „to” stanowi ukryty temat wszelkiej lit ratury i historii, niczym zapis atramentem sympatycznym między wierszami, który wyłania się nagle ostrą czernią, przyćmiewając stary druk tak dobrze nam znany, gdy życie, osobiste lub publiczne, rozwija się w nieoczekiwany sposób, a my dostrzegamy coś tam, gdzie nigdy byśmy nie przypuszczali, że nam się to uda — dostrzegamy „to” jako podstawę zdarzeń, przeżyć... No dobrze, ale czym „to” jest? Z pewnością zawsze istnieli ludzie, którzy w czasach kryzysu mówili o „tym” w dokładnie taki sposób, „to” bowiem staje się widoczne w czasach kryzysu, a wobec siły „tego” niknie nasza zarozumiałość. „To” jest siłą, mocą przybierającą postać trzęsienia ziemi, nadchodzącej komety, której fatalny wpływ narasta noc za nocą, wszelką myśl unicestwiając strachem — „to” może być, bywa zarazą, wojną, zmianą klimatu, tyranią miażdżącą ludzkie umysły, dzikością religii.

Krótko mówiąc, słowo „to” służy do oznaczania bezradnej niewiedzy lub bezradnej świadomości. Może oznacza ułomność człowieka? „Słyszałeś coś nowego o tym?” „Ten a ten powiedział ostatnio, że to...” Jeszcze gorzej, gdy dojdzie do fazy: „Słyszałeś coś nowego?”, gdy „to” zagarnie sobą wszystko i o nic

212
'nego nie może już ludziom chodzić w pytaniach, ro się porusza w naszym świecie, co porusza nasz świat. To. Tylko to, słowo o wiele gorsze niż „oni”, bo „oni” to przynajmniej też ludzie, bywają poruszeni, bezradni jak my sami.

Zapewne „to” było w ciągu dziejów przede wszystkim świadomością, że coś się kończy. Jak Emily dochodziła do wypowiedzania swych odczuć? Opisywała je być może za pomocą obrazu swego zamiatania, niczym uczeń czarnoksiężnika zagnana do pracy w zionącym złem ogrodzie, powodzi suchych liści, których nigdy nie wymiecie do czysta, choćby się najbardziej starała. Jej poczucie obowiązku wyrażało się w obrazach — nie mogła powiedzieć o sobie, że owszem, jest grzeczną dziewczynką, a nie złą, brudną dziewczynką, jest grzeczną dziewczynką, która kocha i

ochrania swego braciszka, swe dzieciątko, bezbronne, bezsilne, miło uśmiechnięte obojętnym uśmiechem, co siedzi, przelewając się niepewnie w wilgotnych, silnie woniejących białych śpioszkach. „To było takie trudne — mogłaby rzec. — Wszystko było takie uciążliwe, wymagało takiego wysiłku, stanowiło taki ciężar, wszystkie dzieci w domu nie robiły nic, żeby pomóc, jeśli nie stałam nad nimi przez cały czas, uznały mnie za tyrana i wyśmiewały, a przecież nie było powodu, wszyscy mogli żyć spokojnie w równości, gdyby wykonywali swoje zadania, ale

213

nie, zawsze musiałam sama wszystkiego dopilnować, czesać ich brudne głowy, sprawdzać, czy się umyli, a jeszcze te wszystkie bóle, bo nie jedli jak należy, ten straszny smród środków dezynfekcyjnych, które dostarczał rząd, i jeszcze choroba June, o mało nie zwariowałam ze zmartwienia, chorowała bez żadnej widocznej racji — tak było, nigdy jakiegóż widocznej racji dla poszczególnych spraw, a ja harowałam i harowałam, i zawsze było tak samo, coś się wydarzyło i wszystko szło na marne”.

Tak, tak zapewne wyglądałaby wersja Emily na temat owego czasu.

Gdy pewnego dnia June wróciła z Emily do mnie, jakieś dwa tygodnie po staniu się kobietą — tak to ujmuję, bo ona najwyraźniej tak to odczuwała — spostrzegłam, że zmieniła się fizycznie, i to pod każdym względem. Jej przeżycia uwidoczniły się na twarzy, teraz jeszcze bardziej niż przedtem bezbronnej, twarzy smutnej bezdomnej istoty. I wyglądała na starszą niż Emily. Jej ciało nadal miało ów dziecięcy wygląd, tęgą, równą kibić, piersi, choć obfite, to jeszcze nie ukształtowane. Lęk lub miłość kazały jej dużo jeść, przybrała na wadze. Jedenastolatka ukazywała nam się w postaci, w jakiej będzie wyglądać w średnim wieku: grube, zapracowane ciało, twarz przywykła, zdawałoby się, że zawsze zdolna przywyknąć, do dwu przeciwstawnych cech: cierpliwej bezradności ofiary i silnej pożądlivosti używania.

214

June nie wyglądała dobrze. Pytaniami wydobyliśmy z niej, że nie czuje się dobrze „od pewnego czasu”. Objawy? „Nie wiem, po prostu źle się czuję, rozumiecie, o co mi chodzi?”.

Miała bóle brzucha i częste bóle głowy. Brakowało jej energii — ale nie można oczekiwać energii od Ryana. Ona „po prostu nie czuje się dobrze, na pewno przejdzie, naprawdę”.

Ten kłopot spotykał nie tylko June, znało go bardzo wielu z nas.

Jakieś bóle i dolegliwości, niedyspozycje, które pojawiały się i zniknęły, ale niezgodnie z przewidywaniami lekarzy, infekcje pochodzące najwyraźniej ze wspólnego wszystkim źródła, gdyż ogarniały społeczeństwo niczym epidemia, ale nie tak jak ona jednolicie — każda ofiara infekcji miała własne objawy. Wysypka, która pojawiała się bez przyczyny, choroby nerwowe, które mogły się skończyć szaleństwem, wywołać tik albo spowodować paraliż, opuchlizny i choroby skóry, bóle „wędrujące” po ciele, w ogóle nowe choroby, przez pewien czas nieświadomie podciągane pod stare pojęcia, dopóki nie stało się jasne, że są nowe i nieznanne. Tajemnicze zgony, wyczerpanie i zubożenie, które sprawiały, że ludzie tygodniami leżeli w łóżku, przywołując krewnym, a nawet samym sobie na myśl słowa symulant, nerwicowiec i tak dalej, a potem, zniknąwszy nagle, uwalniały biedną ofia-

215

re od krytyki i zwątpienia w siebie. Krótko mówiąc od dawna następował ogólny przyrost zachorowań zarówno na tradycyjne, jak na nowo wykształcone choroby, i gdy June skarżyła się, że „po prostu nie czuję się dobrze, rozumiecie, o co mi chodzi?”, my rozumiałyśmy, bo było to na tyle powszechne, że dawało się uznać za określoną chorobę. June zdecydowała się zamieszkać z nami, „tak na parę dni”, stwierdziła, ale w rzeczywistości potrzebowała ucieczki przed presją, psychologiczną i nie tylko, gospodarstwa Geralda, a Emily i ja wiedziałyśmy, nawet jeśli June nie, że chętnie opuściłaby w ogóle tamto miejsce.

Zaproponowałam June dużą sofę w bawialni, ale ona wolała materac na podłodze u Emily i tam spała, choć ja się oczywiście dziwiłam. W duchu dziwiłam. Zbyt często doświadczałam już ostrej, szokującej reakcji na całkiem niewinne pytania. Naprawdę nie wiedziałam, czy Emily i June uważają miłość lesbijską za rzecz najnormalniejszą w świecie, czy za coś niewłaściwego. Obyczaje moralne zmieniały się w ciągu mego życia tak diametralnie i tak często, i były tak różne w

poszczególnych grupach społecznych, że już dawno temu nauczyłam się akceptować to, co w danym czasie i miejscu stanowiło normę. Uważałam raczej, że obie dziewczyny śpią objęte dla podtrzymywania się nawzajem na duchu. Oczywiście po tym, co mi Emily powie-

216

działa, nie mogłam mieć wątpliwości, jak się czuje teraz, gdy jest tam u siebie sam na sam ze swym dzieckiem, swą „prawdziwą przyjaciółką”. Prawie sam na sam — byłam jeszcze ja i był Hugon. Przynajmniej jednak wokół nie kręciło się ciągle tyle innych osób.

Emily starała się „pielegnować” June. Znaczy to, że przygotowywała i podawała jedzenie. Ale Ryan nie jada jak zwykły obywatel: June ledwie pogryzała, kapryśna i grymaśna. Może cierpi, jak zasugerowała Emily, na awitaminozę? June odpowiedziała jednak:

— Nie, to bez sensu: zawsze tak jadałam, nie? Ale teraz czuję się źle w środku i w ogóle wszędzie, no nie, a przedtem tak nie było.

Gdyby więc zapytać June, czym „to” jest dla niej, odpowiedziałaby prawdopodobnie: „No... bo ja wiem, czuję się źle w środku i w ogóle wszędzie”.

Może należałoby zakończyć, określając „to” jako pewnego rodzaju chmurę lub promieniowanie, ale niewidoczne, na kształt pary wodnej, o której wiemy, że jest obecna w powietrzu pokoju, w którym przebywamy, stanowi składnik atmosfery, o którym wiemy, że jest obecny w powietrzu, gdy się wychylamy z okna — oko przenika powietrze, tak umysł mówi człowiekowi, który patrzy na jaskółkę wydzio-bującą owady z gałązki; wie się też, że powietrze zawiera parę wodną, która w każdej chwili — gdy

217

skądś napłylnie fala zimna — zgęstnieje w mgłę lu[^] spadnie deszczem. „To” było wszędzie, we wszystkim, w naszej krwi, naszych umysłach. Nie dawało się opisać raz na zawsze, przygwoździć, unieruchomić; było chorobą, zmęczeniem, obrzmieniami było cierpieniem w spojrzeniu Emily, czternastoletniej dziewczyny zamkniętej wewnątrz swej nieusuwalnej potrzeby... zmiatania suchych liści, było ceną lub zawodnością dostawy prądu, tym, że telefony nie działały, wędrującymi plemionami kanibali, było „nimi” i ich swawolami, było wreszcie tym, czego się doświadczało... i było w przestrzeni za ścianą, było siłą poruszającą graczy zza ściany, zarówno stamtąd, jak z naszego zwykłego świata, w którym jedna godzina następowała po innej godzinie i życie podporządkowywało się tym jednostkom jak w swego rodzaju grze.

Gdy skończyło się to lato, w przestrzeni za ścianą działo się równie źle jak po tej stronie, u nas. A może tylko bardziej wyraźnie widziałam, co się tam działo. Teraz nie wchodziłam już do pokoju lub korytarza, z którego wiodły drzwi do innych pokoi lub korytarzy, tylko stałam pośród różnych możliwości, choć zawsze ograniczonych najbliższym zakrętem, otwarciem następnych drzwi — miałam poczucie obfitości, przestrzeni otwierającej się w łonie porządku, w którym się jako jego część znajdowałam; teraz wydawało się, jakby zmianie uległa

218

perspektywa: oglądałam zespół pokoi z góry lub tak, jakbym mogła przebiegać je na tyle szybko, żeby w pełni odwiedzić wszystkie naraz. Tak czy owak zniknęło uczucie zdziwienia, oczekiwania, i mogłabym nawet powiedzieć, że te zespoły i ciągi pokoi, jeszcze tak niedawno pełne możliwości, wchłonęły w siebie coś z klaustrofobijnej aury obszaru „osobowego” z jego sztywnymi koniecznościami. A równocześnie bałagan w tych pokojach nigdy nie był tak wielki. Niekiedy odnosiłam wrażenie, że wszystkie wzniesiono uważnie, w każdym szczególe dokładnie, tylko po to, by je po prostu powalić na nowo, że jakiś wielki dom zajęto i urządzono prezentując sto różnych stylów, mód, epok — ale zupełnie przypadkowo, a nie konsekwentnie, dla zobrazowania przemian jednego stylu w inny. Wzniesiono, urządzono w sposób doskonały — a potem zburzono.

Nie potrafię opisać ruiny w tych pokojach. Do jednego wręcz nie dawało się wejść, tak bardzo był zasłany potrzaskanymi i połamanymi meblami. Innych używano, tak przynajmniej się wydawało, jako śmietniska: wypełniały je cuchnące sterty śmieci. W niektórych pokojach meble stały porządnie, ale brakowało sufitu lub w ścianach były wyrwy. Kiedyś na środku reprezentacyjnego, bogatego salonu — we francuskim stylu Drugiego Cesarstwa, pokoju tak bez życia, jakby był urządzony dla muzeum

— ujrzałam resztki ogniska rozpalonego na kawałb starej żelaznej płyty, porozrzucane wokół śpiWor pod ścianą, obok rzędu kilkunastu par wysokich butów, duży garnek pełen wystygłych gotowanych ziemniaków. Wiedziałam, że żołnierze wkrótce powrócą i jeśli nie chcą pożegnać się z życiem, powinny wyjść. Leżał tam już trup, zaschnięta krew zaplamiła dywan wokół niego. Mimo jednakże wszystkich dowodów zniszczenia ciągle jeszcze przechodziłam przez ścianę z uczuciem jakby dawnego oczekiwania, nadziei nawet tęsknoty. I słusznie, bo gdy chaos sięgał szczytu, a ja prawie wyzbyłam się oczekiwania na cokolwiek prócz zrujnowanych i zabrudzonych pokoi, podczas jednych odwiedzin trafiłam na coś nowego — oto byłam w ogrodzie pośród czterech murów, starych ceglanych murów, a nade mną świeże, przyjemne niebo, o którym wiedziałam, że jest niebem innego świata, nie naszego. Rosło w tym ogrodzie trochę kwiatów, ale w większości warzywa. Grządki schludnie obsadzono roślinami — widać było nać marchwi, sałatę, rzodkiewki, a także pomidory, krzaki agrestu i dojrzewające melony. Niektóre grządki były zagrabione i przygotowane do sadzenia roślin, inne spulchnione i wystawione na działanie słońca i powietrza. Całe to miejsce przepełniała pracowitość, użyteczność, nadzieja. Chodziłam po nim pod owocnym niebem i myślałam

220

sobie, jak to ów ogród będzie żywił ludzi. Ale to nie było wszystko, uświadomiłam sobie bowiem, że pod tym ogrodem znajduje się drugi ogród. Bez trudu zesłam w dół do niego po pochyłości gruntu, były tam nawet schody, zdaje się kamienne. Znalazłam się w dolnym ogrodzie, który rozciągał się tuż pod górnym i zajmował tę samą powierzchnię: poczucie ukojenia i bezpieczeństwa, jakie mi dawał, było wprost nie do opisania. Dolny ogród nie mniej niż górny miał zapewnione słońce, wiatr i deszcz. Tu także wznosiły się wysokie ciepłe mury ze zwiertzałej cegły oraz rozciągały się grządki w różnym stadium przygotowania i użytkowania. Po jednym murze piął się wspinały stary krzew różany. Jego kwiaty były bladożółte, a ich woń wypełniała cały ogród. Obok oblanego słońcem starego glazu rosły goździki i rezeda, kwiaty stare, dość małe, ale subtelne i oryginalne. Pośród porów, czosnku i mięty znajdowały się wszystkie kwiaty zdobiące ogródki dawnych chat. Był tutaj ogrodnik. Zobaczyłam go, kiedy sobie uświadomiłam, że z przyjemnością słucham szmeru wody płynącej u mych stóp wyżłobionym w ziemi rowkiem, którego brzegi porastały zioła i trawa. Bliżej muru rowek przechodził w kanał, nieco szerszy. Nad kamiennym korytem, w miejscu, gdzie wchodziło ono w ogród z zewnątrz przez niski prześwit, zielony od miękkiego okrycia z mchu, pochylał się ogrodnik.

221

Każdą grządkę obiegał strumyk czystej wody, ogród był siecią kanalików wodnych. Spoglądając wzwyż poza mur, ujrzałam wodę spływającą z gór o cztery albo pięć mil stąd. Leżał w nich śnieg, choć była pełnia lata, a to, co nadpływało, stanowiło mieszaninę śniegu i wody, bardzo zimną i o smaku powietrza, które przepływało pośród gór. Ogrodnik odwrócił się do mnie, gdy podbiegłam doń, by spytać, czy wie coś o osobie, której obecność była tak mocno wyczuwalna w tym miejscu, równie wszechobecnej jak zapach róży, on jednak tylko skinął głową i wrócił do swych obowiązków — kierowania strumieniem wody, pilnowania, by opływała ona jednakowo wszystkie grządki. Spoglądałam ku górom i rozciągającej się pośród nich dolinie, w której leżały wioski, a w ogrodach stały duże domy z kamienia, i myślałam sobie, że to, na co patrzę, to niższy świat — ale równie rozległy i żyzny — w stosunku do poziomu, na który muszę teraz wrócić. Wyszłam ponownie na wyższy poziom i ujrzałam stare mury ogrzewane wieczornymi promieniami słońca, słyszałam wodę opływającą cały ogród, choć nie słyszałam jej, kiedy poprzednio tu stałam; stawiałam drobne i ostrożne kroki po twardym, lecz wilgotnym gruncie; od moich kolan unosiła się woń mięty, w uszach rozbrzmiewało brzęczenie pszczoł. Spoglądałam na wytwarzaną przez ziemię żywność, która zabezpieczy na najbliższą zimę nas, ludzi ze

222

świata. Ogrody pod ogrodami, ogrody nad ogrodami: rodzące żywność powierzchnie ziemi podwojone, potrojone, nieskończone — mnóstwo ich, bogactwo, płodność...

A wróciwszy do swego zwykłego życia, ujrzałam zubożniętą June, która siedząc w głębokim

krześle, z cierpliwym uśmiechem potrząsała głową nad wyciągniętym ku niej przez Emily talerzem z jedzeniem.

— Musi przecież jeść, prawda? — odezwała się Emily do mnie, bardzo zmartwiona, a gdy dziecko nadal z uśmiechem odmawiało, zakreśliła się w koło i postawiła talerz na podłodze przed Hugonem, który jednak, wiedząc, że ona wykorzystuje go do zademonstrowania reakcji na odmowę, tak jakby wrzucała jedzenie do paki na śmieci, odwrócił pysk.

Ujrzałam wtedy, jak Emily, pełna miłości i wyrzutów sumienia, siada przy swym zaniebanym niewolniku i wtula twarz w jego futro, tak jak to kiedyś często czyniła. Ujrzałam, jak obrócił nieco łeb ku niej, pomimo swego zamiaru, by nie reagować, nie mówiąc już o okazywaniu, że jest mu przyjemnie. Wbrew samemu sobie polizał lekko jej dłoń, a wyglądał przy tym jak ktoś, kto nie może się powstrzymać przed zrobieniem czegoś, czego nie chce... ona zaś siedziała i płakała, płakała. Oto byli wszyscy troje: June ze swą chorobą, cokolwiek to było, paskudny żółty stwór, pokorny, z krwawiącym sercem, i dzika młoda kobieta.

223

Usiadłam cicho pośród nich i wspominałam ogrody leżące jeden nad drugim tak blisko nas, za ścianą, która o tej porze dnia — a był wieczór — stała całkowicie pusta, bez głębi w sobie, bez obietnicy. Myślałam o tym, jakie to bogactwa czekały tam zgromadzone dla tych istot, i chociaż ciężko było podtrzymać wspomnienie tamtego świata z jego zapachem, płynącymi wodami i różnorodnością roślin, gdy siedziałam tutaj, w tym nudnym, marnym pokoju, a trotuar za oknem jak zwykle kipiał życiem plemiennym — to jednak je podtrzymywałam. Przechowywałam je w głowie. Mogłam to robić. Tak, pod koniec tak było; sygnały z tamtego świata, lub światów, występowały silniej i częściej w „zwykłym” życiu, jak gdyby tamto miejsce karmiło nas, wspierało i chciało, byśmy o tym wiedzieli. Wiatr wiał z jednego miejsca w drugie, aura jednego stawała się aurą drugiego; gdy podeszłam do okna po ucieczce w przestrzeń za ścianą, nastąpił moment zwątpienia, mój umysł zachwiał się i musiał dojść do siebie, gdy uspokajałam się, że nie, to, na co patrzę, to rzeczywistość, realne życie; tkwiłam mocno w tym, co każdy zgodzi się nazwać normalnością. Pod koniec lata na trotuarze przebywały już setki ludzi w każdym wieku. Gerald był teraz tylko jednym z kilkunastu przywódców. Pośród nich nowość — mężczyzna w średnim wieku. Była także kobieta

224

przewodząca małej bandzie dziewcząt, przeczulonych na swoim punkcie i głośno krytykujących władzę mężczyzn, męską organizację, jak gdyby uznały za swój obowiązek stałą tam obecność dla komentowania wszystkiego, co mężczyźni robią. Stanowiły swego rodzaju chór potępienia. Przywódczyni uważała mimo to za konieczne, by wydatkować wielką ilość energii na przeciwdziałanie rozłączeniu się członkiń jej stadka i stowarzyszeniu z mężczyznami. To rodziło sporo nie zawsze dobronudnych uwag ze strony mężczyzn, niekiedy ze strony kobiet. Problemy i trudności sprawiały jednak, że taka niezgoda przestawała być istotna. A grupa ta była bardzo sprawna, jej członkinie okazywały wiele czułości sobie i dzieciom, zawsze gotowe dzielić się wiadomościami — nadal najważniejszym z towarów — i hojne, jeśli chodzi o żywność i rzeczy, które posiadały.

Na rzecz tej to kobiecej grupy straciłyśmy June.

Było to tak. Emily znów zaczęła spędzać większość dni i nocy w drugim domu: wezwało ją tam poczucie obowiązku, bo dochodziły wieści, że jej potrzebują. Chciała zabrać ze sobą June, ale June słuchała namów Emily, zgadzała się z nią — i nie poszła. Zaczęłam podejrzewać, że stracę Emily, mój rzeczywisty obowiązek, na rzecz June, za którą nie czułam się w żaden szczególny sposób odpowiedzialna. Lubiłam to dziecko, choć jego obojętność

225

psuła atmosferę mojego domu, czyniła mnie również obojętną i przyprawiała Hugona o nieustający smutek zazdrości. Byłam zadowolona, gdy ożywiała się na tyle, by do mnie przemówić, zwykle bowiem leżała w rogu sofy, nie robiąc w ogóle nic. W istocie jednak wołałabym, żeby się wyprowadziła. Pytała o Geralda, gdy Emily przyfruwiała do domu przygotować posiłek ze swych ulubionych frytek, zaparzyć trochę cennej herbaty, podać jej filiżankę do połowy wypełnioną

cennym cukrem: słuchała, a potem pytała o tę czy tamtą osobę; lubiła plotkować. Mówiła do mnie, do Emily i na pewno do siebie, że pójdzie, tak, pójdzie jutro. Szaleństwu i lękowi Emily przeciwstawiała swoje: „przyjdę jutro, Emily, na pewno przyjdę” — ale zostawała w domu. Na trotuarze Emily przejawiała wielką energię. Oddział Geralda obejmował około pięćdziesięciu osób, licząc tych, którzy mieszkali w jego gospodarstwie, i tych, którzy grawitowali ku Geraldowi z tłumu coraz bardziej i bardziej rosnącego w długie, gorące popołudnia. Emily widziało się zawsze blisko Geralda, wyróżniającą się swą rolą doradcy, źródła informacji. Zrobiłam teraz coś, czego dawniej starałam się bardzo nie robić w obawie sprawienia Emily przykrości, naruszenia pewnej równowagi. Przekroczyłam jezdnię, „by zobaczyć, jak się sprawy mają” — tak jakbym od tyłu miesiący ich nie obserwowała! Tak

226

■g^riakże starsi mieszkańcy określali swoje pierwsze a\\)0 i dalsze wyprawy na trotuar — określali je czę-SW tak aż do chwili, gdy pakowali koc, jakąś ciepłą odzież i odrobinę żywności, by opuścić miasto z plecieniem właśnie przeciągającym lub wyruszającym z naszego trotuaru. Zastanawiałam się nawet, czy te moje odwiedziny, opuszczenie mieszkania i prze-ła-oczenie ulicy nie są oznaką wewnętrznej skłonności do wyruszenia, z której sobie jeszcze nie zdaję sprawy. Była to idea tak pociągająca, że zawładnęła mną natychmiast, ledwo pojawiła się w mej głowie, i musiałam ją w sobie zwalczać. Moja pierwsza wyprawa na trotuar — żeby tam postać, pokręcić się z godzinę wśród ludzi — upłynęła pod znakiem opowieści, jaka ta Emily zdolna i jak to tyle godzin codziennie poświęca temu domowi. Cóż, byłam zdumiona... ileż razy ta dziewczyna mnie zaskakiwała! Snułam się teraz pośród niespokojnego, żywego, bezwzględne tłumy i widziałam, jak wszyscy, nie tylko ci, którzy wydawali się gotowi na każde skinienie Geralda, zwracają się do niej po wieści, informacje, radę. A ona im je dawała. Tak, są suszone jabłka w tym a tym sklepie tam a tam na przedmieściu. Nie, linia autobusowa do wioski dwadzieścia mil na zachód nie została wcale skasowana, do grudnia autobus nadal kursuje raz na tydzień, kurs w najbliższy poniedziałek o dziesiątej rano, ale trzeba już w nocy stanąć w kolejce i być przygotowa-

227

nym na walkę o miejsce, ale warto, bo podobno tam mnóstwo jabłek i śliwek. Co piątek przyjeżdż^ wozem chłop z sadłem baranim i skórami m • ^ go spotkać w... Na sprzedaż lub wymianę wystawi no duże silne konie. Tak, cztery ulice dalej stoi do zupełnie dobry na stajnię. Paszę można zrobić, ale lepiej ją zasiać i uprawiać, a na jednego konia potrzeba... Jutro po południu na drugim piętrze Plaza Hotel będą robić różne chemiczne urządzenia do gotowania i oświetlania, potrzebny jest pomocnik w rozliczeniu otrzyma trochę tych urządzeń. Popiół drzewny, nawóz koński, kompost będą sprzedawane pod starą autostradą na Smith Street w niedzielę o trzeciej po południu. Kurs robienia generatorów wietrznych, płatny w żywności i opale... filtry powietrza i puryfikatory, filtry wody, sterylizatory ziemi... kury nioski i klatki dla nich... szlifowanie noży... człowiek, który zna plan podziemnego układu kanalizacyjnego i rzek do niego wpadających, ciągnie wodę na powierzchnię w... Ulica między ulicą X a aleją Y uprawia wspaniałą grykę i lucernę, a na rogu Piltown Way jest mały zagonek ziemniaków, które kiedyś ludzie zasadzili, a potem o nich zapomnieli, zapewne opuścili miasto. Emily wiedziała wiele różnych rzeczy i bardzo się za nią rozglądano z racji jej energii i jej umiejętności w tej scenie jak z jarmarku, na którym setki jaźni zderzają się, walczą i karmią sobą nawzajem.

228

Emily, dziewczyna Geralda. Tak ją nazywano, tak o niej mówiono. Zdziwiło mnie to, bo znałam sytuację w domu, który odwiedziłam. Czyżby jeszcze jeden uczuciowy, a przynajmniej słowny kac przeszłości? Mężczyzna posiada kobietę, oficjalną, niczym pierwsza żona, mimo że w rzeczywistości prowadzi harem — no bo skoro używamy jednego staroświeckiego terminu, to czemu nie i tego? Wypróbowałam to słowo na June: „harem Geralda", powiedziałam. Zrobiła zdziwioną minę. Usłyszała słowo, ale nie skojarzyła go z niczym, co je mogłoby jej przybliżyć. A tak, widziała taki film, tak, Ge-rald ma harem. Ona, June, należy do tego haremu. Zachichotała nawet, spoglądając na mnie swoimi bladoniebieskimi oczami, które zawsze zdawały się połykać zdziwienie. Leżała, widząc siebie jako dziewczynę z haremu, drobna dojrzewająca kobieta o

dziecięcej, równej kibici, dziecięcych oczach, bladych włosach zaczesanych na jedną stronę. Emily zauważyła oczywiście moje zjawienie się na trotuarze i uznała, że jestem gotowa wyruszyć. Jakże pociągające było to miejsce pełne ożywionych ludzi, wszyscy tacy pomysłowi w tym świecie życia czym się da, tak swobodni, tak odkrywcy we wszystkim, co robili. Jakaż ulgę przyniesie odrzucenie — jednym ruchem, jak wzruszenie ramionami — wszystkich tych dawnych sposobów życia, dawnych problemów, które gdy się już przekroczy-

229

ło jezdnię, by dołączyć do plemienia, znikają, tracą ważność. Utrzymywanie domu można teraz z powodzeniem uznać za utrzymywanie jaskini, tak jest nieistotne i przykre. Na zewnątrz nasze życie jest nastawione na „wszelkie nowoczesne udogodnienia”, ale wewnątrz prowadzimy handel wymienny, zdobywamy, a nawet kradniemy, palimy świece i tłoczmy się u ognisk podsycanych drewnem rąbanym siekierą. I oto ci ludzie, te plemiona, zamierzali odwrócić się plecami do tego wszystkiego i po prostu ruszyć w drogę. Owszem, muszą się oczywiście gdzieś zatrzymać, znaleźć jakąś pustą wioskę i ją zająć albo osiedlić się w miejscu, które wskażą im mieszkający nadal w swych domach rolnicy, i płacić za to pracą lub funkcją prywatnego wojska. Będą musieli ustanowić i dla siebie pewien porządek, choćby nawet tak skromny jak w przypadku wyjętych spod prawa, którzy żyją w puszczy i jej okolicach na północy. Odpowiedzialność i różne funkcje będą musiały się pojawić; skostnieją i staną się nieefektywne zapewne bardzo szybko. Na razie jednak, przez tygodnie, miesiące, a może nawet szczęśliwie i przez rok, panował będzie sposób życia wczesnego człowieka: zdyscyplinowany, ale demokratyczny. W swym najlepszym okresie ci ludzie nawet głosu dziecka słuchali z szacunkiem, nie trapiły ich problemy posiadania, brak było wszelkich tabu seksualnych — z wyjątkiem

230

n0wych, ale nowe zawsze łatwiej znosić niż stare; wszystkie problemy były wspólne i wspólnie rozwiązywane. Wolni. Wolni przynajmniej od tego, co zostało z „cywilizacji” i jej ciężarów. Jakże im nieskończenie zazdroszczę, jak nieskończenie tego pragnę, jak tęsknię do chwili, gdy po prostu zamknę mieszkanie i wyruszę. Ale czyż mogę? Jest Emily. Dopóki ona zostaje, to i ja zostanę. Zaczęłam znów rozważać Dolgellych, że mogłybyśmy poprosić tam o szopę, rozbudować ją i przemienić w ognisko domowe... Oczywiście z June. Zupełnie obłąkany przestraszony Emily przekonał mnie bowiem, że nie mogłaby ona rozstać się z June.

A Hugon? Prawdę mówiąc, nie miała dla niego czasu, a ja uznałam, że jeśli nawet zatrzymywał ją tu dawniej, to teraz już nie.

Myślę, że stracił zupełnie nadzieję, gdy Emily prawie w ogóle z nami nie przebywała, wpadając tylko, by zobaczyć June. Pewnego dnia ujrzałam go, jak siedzi otwarcie w oknie, wystawiając na powszechny widok całą swą paskudną, uparcie żółtą postać. Było to wyzwanie lub obojętność. Oczywiście widziano go. Paru młodych przeszło przez ulicę spojrzeć na to siedzące żółte zwierzę, patrzące na nich spokojnie swymi kocimi oczami. Uświadomiłam sobie, że niektórzy z tych młodych, pięcio- lub sześćioletnie dzieci, nigdy nie widzieli chyba kota lub psa w roli „zwierzaczka”, ukochanego członka rodziny.

231

— O rety, ale paskuda — usłyszałam; zobaczv łam, jak dzieci krzywią się i odchodzą. Nie, nic b nie uratowało Hugona, gdyby przyszła na niego pora, nikt by nie powiedział: „Och, nie zabijajcie go to takie ładne stworzenie”.

Taak... Emily wróciła pewnego wieczoru i zobaczyła żółty blask przy oknie. Hugon siedział tam, oświetlony promieniami zachodzącego słońca i światłem zapalonych świec. Była wstrząśnięta, od razu rozpoznała, dlaczego zdecydował się wystąpić przeciw instynktowi samozachowawczemu.

— Hugon — zawołała — o mój biedny Hugon... On nadal siedział odwrócony do niej tyłem — nawet wtedy, gdy objęła dłońmi jego szyję i wtuliła twarz w jego futro. Nie pomogło; zrozumiała, że przez to mówi, iż go porzuciła i nie dba o niego.

Skloniła go do zejścia z wysokiego krzesła, usiadła z nim na podłodze. Zaczęła płakać, irytująco pociągając nosem, płaczem z wyczerpania. Od razu to spostrzegłam. Przyglądająca się jej June także znieruchomiała. Hugon też. Polizał w końcu jej dłoń i położył się z rezygnacją, dając jej przez

to do zrozumienia: „To dla twojej przyjemności. Nie dbam o życie, skoro ty nie dbasz o mnie”. Teraz Emily popadła w rozterkę, była w trwodze. Biegała tam i z powrotem między moim mieszkaniem a tamtym domem, między tamtym domem a trotuarem. Musiała ujrzeć June, podrzucić jej tro-

232

chę jedzenia, które lubiła, nakłonić ją do pójścia spać o przyzwoitej porze, bo pozostawiona sobie samej, June potrafiła przesiedzieć w swym rogu sofy do czwartej lub szóstej rano, nie robiąc nic poza być może dawaniem wyrazu wewnętrznym postępowi swej choroby, czymkolwiek ona była. I Hugon — musiała zadbać o niego, okazać mu uczucie. Wyglądało to tak, jakby narzuciła sobie obowiązek zajmowania się nim, odmierzany niczym lekarstwo lub żywność. No i byłam ja, oschły stary opiekun, mentor — chyba jednak swego rodzaju atrakcja, jak sądzę. Dzieci przychodziły po nią, ilekroć pozostawała zbyt długo poza tamtym domem. Wyczerpało ją to wszystko; była zła, opryskliwa, udręczona, aż żal brał na nią patrzeć.

A potem nagle wszystko to się skończyło. Rozwiązało się samo: June odeszła. Pewnego dnia podniosła się z sofy i oto znów była na trotuarze. Dlaczego? Nie wiem. Nigdy nie znałam motywacji June. Popołudnia spędzała znów wśród tłumu za oknem. Nie wydawało się, by była związana z jakąś grupą: jej płaska, blada, niepozorna figurka dawała się dostrzec zarówno w klanie Geralda, jak i pośród innych klanów. W grupie kobiet pojawiła się raz czy dwa. A potem grupa ta wyruszyła, a June razem z nią.

Nie mogliśmy w to uwierzyć, początkowo nawet nie wiedzieliśmy, że to się stało. June nie było

233

w moim mieszkaniu. Ani na trotuarze. Ani w d Geralda. Emily biegała jak obłąkana i rozpytyw U ła. Był to dla niej cios. June odeszła, tak po prostu" nie zostawiwszy nawet wiadomości? Owszem to wyglądało: ktoś doniósł, że słyszano, jak mówi iż jest gotowa ruszać.

Z tym właśnie, że June nie pożegnała się, nie zostawiła wiadomości, Emily nie mogła się pogodzić. Nie dała nic po sobie poznać? — omawialiśmy to zbierając okruchy dostępnych nam danych, i w końcu doszliśmy do ustalenia, że na dzień przed swym odejściem June powiedziała: „No, to chyba się jeszcze będziemy widzieć?”. Nie kierowała tego jednak do żadnej z nas — do Emily lub do mnie. Skąd miałyśmy wiedzieć, że było to pożegnanie przed odejściem na dobre?

Niekonsekwencja tego kroku tak szokowała. June nie uważała, byśmy były godne trudu jej żegnania się z nami? Nie pożegnała się w sposób wyraźny, bo sądziła, że będziemy ją zatrzymywać? Nie, nie wierzyliśmy w to: zostałyby równie chętnie, jak odeszła. Wstrząsająca prawda była taka, że June nie uważała siebie za wartą zachodu: jej odejście, tak musiała odczuwać, nie ma żadnego znaczenia. Pomimo takiego oddania Emily, jej lęku o nią i uczucia? Tak, pomimo tego. June nie ceniła siebie. Miłość, oddanie, wysiłek mogły się tylko w nią wsączać, w ten dzbanek bez dna, i wypływać bez śladu.

234

Ya nic nie zasługuje, nic się jej nie zawdzięcza, nie można jej tak naprawdę kochać i dlatego nikomu nie może być jej brak. No więc odeszła. Zapewne któraś z kobiet okazała jej trochę życzliwości i June odpowiedziała na tę iskierkę uczucia, tak jak w przypadku Emily. Odeszła, bo mogła to zrobić w ten dzień równie dobrze jak w każdy inny. Nie miało to znaczenia, ona nie miała znaczenia. Zgodziłyśmy się w końcu, że energiczna kobieta, męski typ, przewodząca grupie, przyciągnęła obojętną June swą energią, gdy Emily nieustannie biegała tu i tam.

Emily nie mogła się z tym pogodzić.

A potem zaczęła płakać. Najpierw gwałtowne łzy po doznanych wstrząsach, wykrzywiona twarz, zdumione spojrzenie dziecka, wyrażające tę jedną tylko myśl: Coś podobnego, to się przytrafiło mnie! To niemożliwe! Nieuczciwe! Potoki łez, hałaśliwy szloch, okrzyki gniewu i odrazy, ale cały czas te jakby namalowane oczy, nietknięte: To mnie, mnie, tutaj siedzącą, spotkała ta straszna krzywda... wielki zamęt, hałas, okrzyki — takie łzy, ale do zniesienia, nie tak bolesne, nie łzy kobiety...

Które pojawiły się potem.

Z zamkniętymi oczami, dłońmi na udach, kołysząc się w przód i w tył, i z boku na bok, Emily

plakała jak kobieta, to znaczy tak, jakby ziemia krwawiła. Chciałam powiedzieć: jak gdyby ziemia postanowiła sobie popłakać — ale nieuczci-

235

we byłoby takie osłabienie wymowy. Słuchają nie mogłam nie skłonić głowy przed tą otchłną: wymową płaczu w wykonaniu dojrzałej kobiet Kto jeszcze umie tak płakać? Na pewno nie star kobieta. Łzy starości są żalodne, nieszczęśliwe, ni ma nic gorszego od nich. One jednak nie domaga ją się sprawiedliwości, zbyt wiele się nauczyły, ni ma w nich tego przepastnego wymiaru upływającej krwi. Dziecko potrafi płakać, jak gdyby przypadało mu w udziale całe cierpienie samotności wszechświata — ale w centrum płaczu kobiety nie stoi ból, nie, jest to ostateczna akceptacja zła. Tak było, jest i musi być zawsze, mówią te zamknięte, roniące łzy oczy, to kołyszące się ciało, ten smutek. Tak, smutek — oplakiwanie. Zmierzone się z wrogiem, stoczono z nim walkę, ale bitwa została przegrana, nadszedł koniec, wszystko przepadło, nic nie zostało, nie ma już na nic nadziei... tak, każde słowo, jakie tu wypisuję, wbrew mym intencjom nabiera komicznej wymowy, gdzieś w tle czai się wybuch śmiechu — tak jak wówczas, gdy kobieta tak właśnie płacze. W życiu bowiem wybuch śmiechu jest często dokładnie tak samo nieznośny jak łzy. Siedziałam tam długo, patrząc na płacz Emily, wiecznej kobiety. Chciałam wyjść, wiedząc, że jest jej wszystko jedno czy siedzę przy niej, czy nie. Chciałam jej coś dać, pociechę, przyjazne objęcie ramionami — może filiżankę herbaty? (Którą potem podałam). Nie, muszę słu-

236

chać. Smutku, wyrażania tego, co nie do zniesienia. O cóż w końcu ma obserwator pytać — mąż, kochanek, matka, przyjaciel, ale przede wszystkim, rzecz jasna, mąż lub kochanek? „Czego ty, na Boga, oczekujesz ode mnie, od życia, że płaczesz w taki sposób? Nie rozumiesz, że to niemożliwe, t y jesteś niemożliwa, nikomu nigdy aż tyle nie obiecywano, by wywoływać takie łzy... nie rozumiesz tego?” Ale to daremne. Niewidzące oczy patrzą na wskroś ciebie, widzą jakiegoś prastarego wroga, którym, dzięki Bogu, nie jesteś ty. Nie, to Zycie, Los, Przeznaczenie, jakaś tego rodzaju moc ugodziła w samo serce tę kobietę, która teraz będzie już zawsze siedzieć, kołysać się w swym starym, strasznym smutku, a szloch, jaki się z niej wyrывa, jest jednym z filarów, na których wszystko musi spocząć. Nie ma nic, na czym by się wsparła.

Po pewnym czasie Emily przeniosła się na inny poziom, zaległa na podłodze i swoim zwyczajem zmieniając tonację, zaczęła pociągać nosem, dostała czkawki jak dziecko, aż w końcu poszła spać. Kiedy jednak wstała, nie wróciła do tamtego domu, nie wyszła na trotuar. Siedziała, rozmyślając. I pozostałaby zapewne na dobre w takim stanie ducha, gdyby nie wezwanie.

Odwiedził ją Gerald. Owszem, wpadał tu wcześniej, nawet dość często, po radę. Ponieważ jego wizyta nie była niczym niezwykłym, nie sądziłyśmy,

237

że jego problem, nasz problem, będzie czymś nowym. On wówczas także nie.

Chciał pomówić o „nowej paczce dzieciaków” za które czuł się odpowiedzialny. Żyli w podziemiach metra, wychodząc na górę w celu zdobycia jedzenia i innych artykułów. To także nic nowego. Wielu ludzi prowadziło podziemną egzystencję, choć uważane to było za nieco dziwne, skoro tyle domów i hoteli stało pustych. Mogli być jednak poszukiwani przez policję, mogli być przestępcami i w podziemiach metra czuli się bezpieczniej.

A więc te „dzieciaki” żyły w ziemi jak krety lub szczury i Gerald uważał, że powinien coś z tym zrobić, a Emily potrzebował jako wsparcia i pomocy. Desperacko usiłował ją pobudzić do życia i sprawić, by dodała mu energii swą wiarą i umiejętnościami. Był wezwaniem, Emily zaś jedną wielką obojętnością i dystansem. Sytuacja była dość komiczna. Emily, kobieta, siedzi i całą sobą wyraża suche: Chcesz, żebym wróciła, potrzebujesz mnie — spójrz na siebie, amancie, prawie teraz na kolanach, ale kiedy mnie masz, nie cenisz mnie, uważasz mnie za załatwioną. Czemu nie pójdziesz do innych? Jej pozę i gesty wyznaczała ironia, kładła na jej powiekach połysk całkowicie krytycznej inteligencji. On z kolei wiedział, że ma mu się coś za złe, że na pewno jest winien tego czy owego, ale nie miał do tej pory pojęcia, jak mocno ona to od-

238

czuwała, jak wielka musi być jego zbrodnia. Szukał teraz w pamięci uczynku, który uważał za

pewne zaniedbanie, a który mógłby teraz — jeśli rzeczywiście tego próbował i był gotów do takiej próby — uznać za przewinienie... czyż nie jest to naprawdę komiczna sytuacja?

Przettrzymał to. Emily też. W podartym swetrze i znoszonych dżinsach przypominał chłopca. Bardzo młody był ten rozbójnik, młody przywódca. Wyglądał na zmęczonego, na strwożonego; wyglądał, jakby pragnął złożyć głowę na czyimś ramieniu i usłyszeć: No już, już. Wyglądał, jakby potrzebował dobrego posiłku i snu. Czyż trzeba opisywać, co nastąpiło? Emily uśmiechnęła się w końcu, sucho i do siebie — on nie mógł przecież wiedzieć, dlaczego ona się uśmiecha, a ona nie była tak nielojalna wobec niego, by dzielić uśmiech ze mną; obudziła się na wezwanie, bo nadal wyjaśniał logicznie i wzywał. Wkrótce omawiali problemy swego gospodarstwa jak para młodych rodziców. Potem ona wyszła z nim, a ja nie widziałam jej przez parę dni i dopiero stopniowo dochodziłam do zrozumienia natury tego nowego problemu i trudności z tymi konkretnie „dzieciakami”. Dowiadywałam się nie tylko od Emily: kiedy dołączałam do ludzi na trotuarze, wszyscy o nich mówili, były problemem każdego.

Nowym problemem. Aby zrozumieć dlaczego, my, lokatorzy, musieliśmy sobie uświadomić, jak

daleko odeszliśmy od etapu, gdy dzieliliśmy się opowieściami i pogłoskami na temat „ludzi stamtąd”, na temat wędrujących plemion i gangów. Kiedyś, i to jeszcze bardzo niedawno, tłum mijający nasze okna — oglądany z lękiem — stanowił granicę naszego staczania się w anarchię. Kiedyś, ledwie parę miesięcy temu, patrzyliśmy na te gangi jako na coś poza jakimkolwiek w ogóle porządkiem. Teraz rozważaliśmy, czy i kiedy do nich dołączyć. Przed wszystkim jednak rzecz w tym, że przy bliższym wejrzeniu, po zrozumieniu okazywało się, iż bandy i plemiona mają swą strukturę, podobnie jak człowiek pierwotny lub zwierzęta, wśród których w gruncie rzeczy panuje ścisły porządek. Po krótkim pobycie wśród ludzi w taki sposób żyjących dostrzegało się prawa — wszystkie rzecz jasna niepisane, wiadomo było jednak, czego oczekiwać.

Pod tym właśnie względem te nowe dzieci były inne. Nie wiadomo było, czego się spodziewać. Dotychczas wiele dzieci bez rodziców chętnie przyłączało się do rodzin lub innych klanów i plemion. Były dzikie i trudne, stwarzały problemy, przynębiały, nie przypominały dzieci ze stabilnego społeczeństwa, mimo to jednak dało się nimi kierować w obrębie tego, co znane i rozumiałe.

Inaczej ten nowy gang „dzieciaków”. A raczej gangi: wkrótce dowiedzieliśmy się, że istnieją inne; nie tylko w naszej dzielnicy bandy zupełnie małych

240

dzieci stanowiły granicę dla prób asymilacji. Były bowiem bardzo młode. Najstarsze miały dziewięć, dziesięć lat. Wydawało się, że nigdy nie miały rodziców, nigdy nie zaznały miękczającego serce wpływu rodziny. Niektóre urodziły się w podziemiu i zostały porzucone. Jak przetrwały? Nikt nie wiedział. To jednak owe dzieci potrafiły. Rzeczy potrzebne do życia kradły, ale potrzebowały naprawdę niewiele. Ubierały się — na tyle, na ile to było niezbędne. Były... nie, nie jak zwierzęta, które są lizane, mruczą przytulone do siebie i niczym ludzie znajdują drogę do dobrego zachowania, obserwując wzorcowe egzemplarze. Dzieci nie tworzyły też grupy, lecz zbiorowisko jednostek trzymających się razem tylko dlatego, że w gromadzie bezpieczniej. Nie były lojalne wobec siebie nawzajem, a jeśli już, to w sposób kapryśny i nieobliczalny. Mogły polować całą grupą, a następnie zamordować jednego z jej członków. Napadały na siebie nawzajem powodowane chwilowym impulsem. Nie było między nimi przyjaźni, tylko doraźne układy, i zdawały się nie pamiętać wydarzeń choćby sprzed paru minut. W naszym sąsiedztwie krążyła banda trzydziesto- lub czterdziestoosobowa, i po raz pierwszy ujrzałam, jak ludzie objawiają nie kontrolowane reakcje prawdziwej paniki. Chcieli wzywać policję, wojsko; chcieli wypędzić dzieci dymem z podziemi metra...

241

Pewna kobieta z domu, w którym mieszkałam, poszła z odrobiną żywności zobaczyć, „czy coś można dla nich zrobić”, i spotkała kilkoro na powierzchni. Dała im jedzenie, które pożarły natychmiast, rozdrapując je, szczerząc zęby i warcząc na siebie nawzajem. Czekwała, chcąc z nimi pomówić, zaofiarować pomoc, jedzenie, może nawet mieszkanie. Skończyły jeść i poszły, nie

oglądając się na nią. Usiadła, a było to blisko wejścia do metra, w starym magazynie, gdzie trawa i krzaki poprzerastały podłogę, w miejscu zarówno chronionym, jak otwartym, skąd mogła uciec, gdyby musiała. No i musiała... Siedząc tam, ujrzała nagle, że wokół niej wszędzie są dzieci, które podczołgują się coraz bliżej. Miały łuki i strzały. Nie wierząc, jak stwierdziła, „że naprawdę nie ma dla nich nadziei”, zaczęła do nich spokojnie przemawiać: co mogłaby im dać, co ryzykują, żyjąc w taki sposób. Z prawdziwym przerażeniem pojęła jednak, że one jej nie rozumieją. Nie, nie tyle nie rozumiały jej mowy, porozumiewały się bowiem ze sobą słowami, które nawet jeśli dawały się rozpoznać z trudem — to jednak były słowami, a nie pochrząkiwaniem, szczekaniem czy okrzykami. Siedziała, wiedząc, że byle kaprys wystarczy, by któreś uniosło łuk i posłało jej strzałę. Mówiła, dopóki potrafiła samą siebie zrozumieć. Było to, powiedziała potem, jak mówienie w próżnię — najbardziej niesamowite doświadczenie w jej życiu.

242

— Kiedy na nie patrzyłam, były tylko dziećmi, tego nie mogłam pojąć swoją tępą głową, były po prostu dziećmi... ale złymi. W końcu wstałam i poszłam. A najgorsze nastąpiło wtedy, gdy jeden z nich pobiegł za mną i pociągnął mnie za spódnicę. Nie mogłam uwierzyć. Mógł mnie przecież równie łatwo pchnąć nożem. Trzymał palec w ustach i ciągnął mnie za spódnicę. Uśmiechał się. Rozumiecie, to był odruch. Nie wiedział, co robić. Zaraz potem rozległ się wrzask i wszystkie rzuciły się za mną w pogoń. Popędziłam ile sił w nogach i uciekłam tylko dlatego, że wpadłam do tego starego Hotelu Parkowego na rogu i zabarykadowałam się, aż do zmroku, w pokoju na czwartym piętrze.

Te dzieci Gerald postanowił ratować za pomocą swego gospodarstwa. Jak je wszystkie pomieści? No, jakoś tam, a jeśli nie, to zaraz po drugiej stronie ulicy stoi taki duży dom, no i może Emily i on mogliby poprowadzić dwa domy.

Ten pomysł spotkał się z oporem. Ze strony wszystkich. Także Emily. Gerald jednakże pokonał go, jak to zwykle czynił, bo to w końcu on ich utrzymywał, dostarczał jedzenia i środków do życia — brał za nich odpowiedzialność. Skoro twierdził, że to się da zrobić, to może... i już byli po prostu „małymi dzieciakami”, miał rację. „Po prostu małe dzieciaki, nie możemy pozwolić, żeby tam marniały”.

Sądzę, że w tamtym domu pocieszano się myślą, że „i tak nie przyjdą”. Niesłusznie. Gerald potrafił

243

wzbudzić w ludziach zaufanie. Zszedł do metra, ostentacyjnie silnie uzbrojony. Owszem, bał się... wypęzły z dziur, zza rogów, z tuneli, zdawało się, że widzą prawie bez pomocy światła, podczas gdy jego na wpół oślepił blask pochodni. Był na dole sam i jak każdy był wrogiem, a ofiarowywał im coś, czego one nawet nie umiały nazwać. Potrafił jednak nakłonić je, by poszły za nim. Wrócił z podziemia niczym szczurołap, a prawie dwudziestka dzieci, która za nim przyszła, krzyczała i biegała po całym domu, otwierając i zatraskując drzwi, przepychając pięści przez cenną folię w oknach. Poczawszy, że gotuje się jedzenie, stanęły stłoczone i czekały, aż nadejdzie. Widziały siadających ludzi, dzieci w ich wieku i dorosłych, których widok ich dziwił. Wydawało się, że są pokonane albo że przynajmniej ich odruchy uległy chwilowemu stłumieniu. A może była to ciekawość? Nie usiadły przy stole — nigdy tego nie robiły — nie usiadły też na podłodze w jakiś uporządkowany sposób, by można było je obsłużyć, lecz stały, rzucając się na jedzenie podawane im na tacach i porywając je, a ich jasne twarde oczy obserwowały wszystko, starając się zrozumieć. Gdy jedzenia nie starczyło, by zaspokoić rozbudzone oczekiwania, zaczęły biegać po domu z krzykiem i szyderstwami, niszcząc wszystko dokoła.

Gospodarstwo zakończyło żywot. Gerald nie posłuchał głosu rozumu, przestróg mieszkańców.

244

W losie owych dzieci było coś, z czym Gerald nie mógł się pogodzić; musiał je tu sprowadzić, musiał spróbować, a teraz ich już nie wyrzuci. Teraz było już za późno. Odeszli inni. Po zaledwie kilku godzinach i Gerald, i Emily mogli stwierdzić, że ich „rodzina” zniknęła, a oni są rodzicami dzieci-dzi-kusów. Zdawało się, że Gerald rzeczywiście uwierzył, iż można je nauczyć obowiązujących każdego zasad. Zasad? Te dzieci ledwie rozumiały, co się do nich mówi: nie znały pojęcia domu jako urzędzenia. Psuły wszystko, wrywały warzywa z grządek, siadały w oknach,

rzucając śmieci na przechodniów, niczym małpy. Upijały się, umiały pić.

Ze swego okna ujrzałam, że Emily ma zabandażowane ramię, i wyszłam zapytać, co się stało.

— Och, nic takiego — odrzekła ze swym suchym uśmiechem i opowiedziała, jak schodząc rano z Geraldem do dolnej części domu, natknęli się na dzieci przykucające i czochrające się wspólnie, jak małpy w zbyt ciasnej klatce. Walały się kawałki na wpół ugotowanego mięsa. Piekły szcury: w pobliżu domu było wejście do kanału. Nic, co pod ziemią, nie mogło być obce tym dzieciom; wpełzły tam z swymi procami, łukami i strzałami.

Na górze Emily i Gerald zastanawiali się nad taktyką. Ich sytuacja wyglądała ponuro. Nie mogli znaleźć ani jednego swojego dziecka. Wszystkie odeszły do innych wspólnot i gospodarstw albo uznały, że

245

jest to odpowiedni moment, by dołączyć do jakiejś karawany opuszczającej miasto na dobre.

Pośród nowych dzieci byli oboje zupełnie sami. Zdecydowali w końcu, że muszą ostro wkroczyć, zejść na dół i podjąć próbę rozsądnej, ale surowej rozmowy. W gruncie rzeczy rozważali zapomnianą już dawno „rozsadną” przemowę dorosłych, odwołujących się do rozumu dziecka, zanim nastąpi kara. Kłopot polegał na tym, że tu kara nie była możliwa, tym wyrzutkom przydarzyło się już wszystko. Emily i Gerald uświadomili sobie, że nie mają im czym zagrozić i nie mają nic do zaproponowania prócz starych argumentów, że życie jest dla zbiorowości wygodniejsze, gdy jej członkowie utrzymują dom w czystości, wspólnie pracują, szanują się nawzajem. A dzieciom tym w walce o przetrwanie takie myśli nie powstały nawet w głowach. Nie mogąc jednak wymyślić nic innego, dwoje młodych rodziców zeszło na dół, a jeden z bachorów podbiegł nagle do Emily i uderzył ją pałką. Uderzył ją ponownie i krzyknął — natychmiast drugie dziecko rzuciło się do ataku. Gerald, spieszący na ratunek Emily, także był bity, gryziony i drapany przez prawie tuzin dzieci. Musieli wyteńczyć wszystkie siły, by dać im radę; choć żadne z dzieci nie miało więcej niż dziesięć lat, Emily i Gerald czuli tak silne opory przeciw biciu i krzywdzeniu dziecka, że wręcz „paraliżowały nam ruchy”, jak

246

wyjaśniała Emily. „Jak możesz bić dziecko!”, wołał Gerald, choć ramię Emily było silnie stłuczone. Stojąc tam, walcząc wśród krwi na podłodze, dwoje młodych ludzi odpędzało dzieci i starając się przekrzyczeć ich wrzaski, usiłowało perswadować i przemawiać do rozsądku. Reakcja na te nawoływania była taka, że dzieci skupiły się ciasno w rogu pomieszczenia, nastroszone, z odsłoniętymi zębami, trzymając swe pałki w gotowości do odparcia ataku, jakby słowa były pociskami. W końcu Emily i Gerald usunęli się stamtąd, odbyli jeszcze jedną rozmowę, zdecydowali próbować dalej, lecz nie wiedzieli jak. Tej nocy, leżąc w łóżkach na górze, poczuli woń dymu: dzieci paliły na parterze ognisko, tak jakby dom nie był ich schronieniem. Ogień został wygaszony, a małe dzikusy znów przyczaiły się z bronią, gdy Gerald, tracąc zmysły z emocji — nie mógł po prostu znieść myśli, że tych dzieci nie da się uratować (do czego, nikt z nas oczywiście nie zapytał), prosił, przemawiał do rozsądku i perswadował. Kamień z procy o włos minął jego oko i rozciął mu policzek do kości.

Co w tej sytuacji robić?

Nie można było ich wyrzucić. Kto miał to zrobić? Sam Gerald otwarł bramę przed intruzami, ale oni nie wychodzili. Po co? Mają tu łóżka, odzież, komin, w którym można palić — a im nigdy dotychczas nie było ciepło. Dom z całą pewnością

247

niebawem spłonie. Dotychczas było w nim czysto i schludnie, teraz walały się wszędzie resztki jedzenia, na podłodze, ścianach, suficie. Cuchnęło kałem: dzieci załatwiały się na schodach, nawet w pokojach, gdzie spały. Brakowało im choćby czystości zwierząt, ich instynktu odpowiedzialności. Pod każdym względem były gorsze od zwierząt — i gorsze od ludzi. Zagrozały każdemu w sąsiedztwie i następnego dnia odbyła się na trotuarze wielka narada w tej kwestii. Zeszli się ludzie z okolicznych mieszkań i domów. Zostałam zaproszona. Fakt, że zupełnie zniknęły bariery między mieszkańcami a życiem na trotuarze, ukazywał, jak poważne zagrożenie stanowiły te dzieci.

Owego popołudnia wyszłam, zostawiwszy przezornie Hugona za zamkniętymi drzwiami mojej sypialni i zaciągnąwszy zasłony.

Było to jesienne popołudnie, słońce niskie i chłodne. Wszędzie leżały liście. Staliśmy w wielkiej masie, z pięćset osób albo więcej, a ludzie nadal napływali. Na małej zaimprovizowanej trybunie z cegieł stało kilku przywódców. Emily była tam obok Ge-ralda.

Zanim zaczęła się dyskusja, dzieci, których miała ona dotyczyć, przybyły, stanęły nieco z boku i słuchały. Było ich teraz około czterdziestki. Pamiętam, iż wszystkim nam dodało otuchy, że są z nami,

248

że w ogóle przyszły — być może jakieś poczucie wspólnoty? Przynajmniej rozumiały, że ma to być spotkanie na ich temat; odbierały słowa i rozumiały je tak samo jak my... Nagle zaczęły śpiewać, wybijając rytm nogami: „Ja jestem wielki pan, a ty niemyty cham”. Przerazające. Ta stara dziecięca piosenka była pieśnią wojenną, taką pieśń z niej robiły, przeżywały ją. Ponadto jednak widzieliśmy na własne oczy, jak znane słowa wymykają się z kodu — jak szybko wszystko może się zmienić, my możemy się zmienić... Już się zmieniliśmy: te dzieci były sobą. Wiedzieliśmy to. Staliśmy ponurzy, było nam nieswojo, słuchaliśmy.

Przy akompaniamencie tego przenikliwego szydrczego zaśpiewu Gerald zaczął przedstawiać sytuację. Równocześnie w tłumie pojawił się lęk i niepokój, biorący się z czegoś więcej niż obecność dzieci czy nasza wiedza o sobie. Oto bowiem wyglądało to na typowy „wiec masowy”, a takich wieców mieliśmy wszelkie powody się obawiać. Czego się obawialiśmy najbardziej, to zwrócenia uwagi Władzy — że „ich” może to zaalarmować. Gerald, rozsądny jak zawsze, wyjaśniał, jak istotne dla nas wszystkich jest uratowanie dziecka, a my, stojący ramię w ramię i znów słuchający kogoś przemawiającego do nas z trybuny, myśleliśmy sobie, że jest to jedna z ulic jednego z wielu suburbiów, że nasz wygodny zwyczaj oglądania tylko siebie, naszych

249

trotuarów i ich energicznego życia jest pewnym sposobem radzenia sobie ze strachem. Skutecznym sposobem: my nie jesteśmy ważni, a miasto jest wielkie. Mogliśmy wieść swój niepewny mały żywot dzięki naszemu zdrowemu rozsądkowi, który pozwalał i m nie zwracać na nas uwagi. Wraz z upływem czasu starali się oni coraz więcej nie zauważać, jednakże nie zniosą spalenia domu czy ulicy lub gangu dzieci, który nie bojąc się nikogo, terroryzuje wszystkich. Mają wśród nas swych szpiegów. Wiedzą, co się dzieje.

Opisując, tak jak dotychczas, tylko to, co działo się wśród nas, w naszym sąsiedztwie, nie mogłam być może nakreślić jasnego obrazu tego, jak nasze teraz tak godne uwagi społeczeństwo funkcjonowało... bo w końcu funkcjonowało. Przez cały ten czas, gdy życie codzienne po prostu zamierało albo przybierało nowe kształty, struktura władzy trwała, choć była ciężka, niezdarna i stawała się coraz bardziej rozbudowana. Prawie każdy, kto w ogóle miał pracę, był w administracji — my, zwykli ludzie, żartowaliśmy sobie, że maszynę władzy podtrzymuje się, by uprzywilejowani mieli pracę i pensje. Było w tym trochę prawdy. Rzeczywiste działania rządu polegały na dostosowywaniu się do wydarzeń przy zachowaniu pozorów, że te działania inicjuje. Sądy pracowały i miały mnóstwo roboty. Procesy były nieskończenie wyrafinowane i nieskończenie

250

dłgie albo szybkie, a wyroki drakońskie, tak jakby zniecierpliwienie praktyków ich własnymi procesami i precedensami brało się ze sposobu, w jaki prawo mogło nagle zostać w ogóle uchylone, podeptane i przepisane na nowo — a nowe zaczynało działać ze zgrzytem, równie ciężko jak poprzednie. Więzienia były jak zawsze pełne, choć stale znajdowano jakieś sposoby ich opróżnienia; skazano tylu zbrodniarzy, ale wydawało się, jakby co dnia rodziły się nowe, nieprzewidziane rodzaje przestępstw. Szkoły poprawcze, ośrodki resocjalizacji, sierocińce, domy starców — wszystkiego przybywało i były to miejsca barbarzyńskie i budzące grozę.

Wszystko działało. Jakoś działało. Działo na granicy: po jednej stronie było to, co władza tolerowała, po drugiej to, czego nie mogła tolerować: ten wiec był wyraźnie poza granicą. I wkrótce zjawi się konwój aut policyjnych, zabiorą te dzieci i wsadzą je za kraty „domu”, gdzie nie przeżyją tygodnia. Każdy, kto znał ich dzieje, mógł im tylko współczuć; nikt z nas nie chciał, by skończyły

w „domu” — ale nie życzyliśmy sobie, wręcz nie wyobrażaliśmy wizyty policji, bo zwróciłoby to uwagę władz na sto nielegalnych spraw z naszego życia. Domy, w których mieszkali ludzie nie będący ich właścicielami, ogrody przynoszące żywność ludziom nie mającym prawa jej jeść, partery opuszczonych domów zamienione na stajnie dla koni i osłów, które służyły

251

do transportu niezliczonym kwitnącym nielegalnie małym firmom, same te firmy, w których skarby naszej dawnej technologii były tak pomysłowo adaptowane i przetwarzane, maleńkie fermy indycze, kurze, komórki z królikami — całe to nowe życie, niczym nowa roślinność przebijające się spod starych drzew, było nielegalne. Nic z tego nie powinno istnieć. Nic z tego oficjalnie nie istniało, ale kiedy „oni” musieli już te rzeczy dostrzec, wysyłali wojsko lub policję, żeby zrobiły porządek. Taką wizytę określano w nagłówku gazety czy komunikacie radiowym jako: „Dziś oczyszczono ulicę taką a taką”. Każdy wtedy wiedział, co zaszło, i dziękował Bogu, że to na innej ulicy.

Takich „czystek” ludzie bali się najbardziej, a tu my kusimy „onych”, zbierając się razem. Gerald przemawiał z pełną zaangażowania desperacją, jak gdyby sam akt mówienia mógł przynieść jakieś rozwiązanie. Powiedział w pewnej chwili, że jedynym sposobem poradzenia sobie z „dzieciakami” jest rozdzielenie ich i umieszczenie po jednym lub dwu w różnych domach. Pamiętam szyderyczy protest, jaki dzieci podniosły, i ich białe rozszoszczone twarze. Przerwały swój żaloszny taniec wojenny i stały w zwartej grupie, patrząc czujnie i ściskając broń.

Nad głowami tłumu pojawił się jakiś młody człowiek: obejmował ramionami pień drzewa i przytrzymał się go w ten sposób.

252

— Po co my to robimy? — zawołał. — Jeśli tu przyjdą, to koniec z nami, mniejsza o te dzieciaki. A moim zdaniem powinniśmy zawiadomić policję i skończyć z tym. Nie poradzimy sobie. Gerald próbował... no nie, Gerald?

I zniknął, zsunąwszy się w dół pnia.

Teraz zabrała głos Emily. Wyglądało to tak, jakby ktoś ją o to poprosił. Stała na stercie cegieł, poważna, strapiona, i mówiła:

— Czego my oczekujemy? One się po prostu bronią. Tego się nauczyły. Może powinniśmy z nimi zostać? Ja jestem gotowa, jeśli inni się zgłoszą.

— Nie, nie, nie — rozległo się zewsząd. Ktoś krzyknął:

— Wygląda na to, że złamały ci rękę.

— To plotka ją złamała, nie dzieci — powiedziała Emily z uśmiechem, a parę osób się roześmiało.

I staliśmy dalej. Nieczęsto tłum tak wielki pozostaje milczący i niezdecydowany. Wezwaniem policji nazbyt sprzeniewierzylibyśmy się samym sobie i nie mogliśmy się na to zdecydować.

Jakiś mężczyzna zawołał:

— Sam wezwę policję, a wy możecie się potem ze mną policzyć. Musimy to zrobić, bo lada chwila cały ten rejon stanie w ogniu.

Teraz dzieci zaczęły się wycofywać, ciągle zwartą gromadką, ściskając kije, kamienie i proce.

— Uciekają — krzyknął ktoś.

253

Istotnie. Tłum zachwiał się i zafalował, chcąc zobaczyć dzieci, które przebiegły ulicę i znikły w półmroku zapadającego zmierzchu.

— Wstyd — zawołała z tłumu jakaś kobieta. — Przestraszyły się, biedne małe kruszynki.

W tym momencie rozległ się krzyk „policja!” i wszyscy rzucili się do ucieczki. Zza okien mojego mieszkania Gerald, Emily, ja i jeszcze parę innych osób obserwowaliśmy, jak z rykiem nadjeżdżają wielkie auta, błyskają światła, wyją syreny. Na trotuarze nie było nikogo. Auta szeregiem objechały blok, potem wróciły i zrobiły następną rundę. Wrzeszcząca, jęcząca i brzęcząca gromada potworów przez około pół godziny przeciągała naszymi cichymi ulicami „pokazując zęby”, jak to określaliśmy, a potem zniknęła.

„Oni” nie mogli tolerować, nawet teraz, niczego, co miało pozór masowego zgromadzenia, które by im zagroziło. Niezwykle i pożałowania godne, gdyż ostatnią rzeczą, jaka w owym czasie ludzi

interesowała, była sprawa zmian form władzy: my chcieliśmy tylko o niej zapomnieć. Gdy ulice ucichły, Emily i Gerald poszli do tamtego domu, by zobaczyć, czy dzieci wróciły. Wróciły, ale poszły, zabrawszy swój skromny dobytek — kije, kamienie i inną broń, kawałki smażonego szczura, surowe ziemniaki.

Tych dwoje miało dom dla siebie. Nic nie stało na przeszkodzie, by założyć tam nową wspólnotę.
254

Może odbudować starą? Nie, to oczywiście niemożliwe: zniszczeniu uległo coś organicznego, co wyrosło w sposób naturalny.

. Było zimno. Opału bardzo mało. W długie mroczne popołudnia i wieczory siedziałam przy jednej świecy migoczącej w mym pokoju. Albo gasiłam ją, a pokój oświetlał płomień kominka.

Siedząc tak pewnego dnia, patrząc na migotanie ognia, przeniknęłam przezeń i znalazłam się po drugiej stronie — w samym środku sceny, tak bez związku, jak tylko można to sobie wyobrazić. Chciałoby się mówić o „niewczesnym” świetle, gdyby czas w nim w ogóle istniał. Mimo to nawet tam, gdzie rzeczy brało się takimi, jakimi były, nie krytykując ich porządku, myślałam sobie: „Cóż za dziwna scena mi się ukazuje!”.

Byłam z Hugonem. Nie tylko mi towarzyszył, jak to zwykle pies. Był określoną istotą, pełnoprawną osobą, i to niezbędną do oglądanych przeze mnie wydarzeń.

Znajdowałam się w pokoju dziewczynki w wieku szkolnym, dość małym, z typowymi zasłonami w kwiaty, białą narzutą na łóżko; było tam biurko z porządnie ułożonymi podręcznikami, rozkład zajęć przypięty do białej szafy. W pokoju przed lustrem, które właściwie nie należało do niego (było tam małe lustro przymocowane do ściany nad umy-

255

walką), wysokim, obszernym lustrem, które miało złocone, rowkowane, całe zdobione wijącymi się ornamentami ramy i kojarzyło się z dekoracją do filmu, eleganckim sklepem odzieżowym lub teatrem — przed tym właśnie lustrem, i to tylko dlatego, że atmosfera i emocjonalne wymogi tej sceny żądały czegoś więcej niż małego, rozsądnego, kwadratowego lustra, siedziała młoda kobieta. Emily, dziewczyna ukazana, zaprezentowana jako młoda kobieta.

Hugon i ja staliśmy obok siebie i patrzyliśmy na nią. Trzymałam dłoń na karku zwierzęcia i czułam dreszcze niepokoju docierające do mej ręki od jego serca wypełnionego złym przeczuciem. Emily miała około czternastu lat, ale była „dobrze rozwinięta”, jak to się dawniej mówiło. Miała na sobie suknię wieczorową. Suknia była szkarłatna. Trudno opisać, co odczuwałam, patrząc na suknię, patrząc na Emily. Niewątpliwie było w niej przemożne pragnienie. Doznałam wstrząsu na widok sukni, a raczej na myśl, że takie suknie kobiety uznają, że w ogóle je noszą, zważywszy, co one z kobiety czynią. Uważano je jednak za coś oczywistego, po prostu jeszcze jeden fason, ani gorszy, ani lepszy od innych.

Suknia ciasno opinała talię i biust: słowo „biust” jest tu odpowiednie, bo nie były to piersi, które oddychają, unoszą się i opadają, mogą się zmieniać w zależności od emocji lub faz miesiąca: te tworzy-

256

ły pojedynczy, wydęty, sterczący wzgórek. Ramiona i plecy odsłonięte. Suknia była obcisła aż do kolan, wokół bioder i siedzenia — znów odpowiednie słowo, bo pośladki Emily były zaokrąglone do postaci jednej wypukłości. Poniżej suknia zwijała się i migotała wokół jej kostek. Był to strój krzyżący wulgarny, w pewien perwersyjny sposób bezpłciowy, pomimo aż takiego podkreślenia ciała, i urzeczywistniał fantazje pewnego typu mężczyzny, który ubrawszy tak kobietę, zrobił z niej lalkę, zabawną, wyzywającą i zarazem bezradną, rozbroił ją, uczynił przedmiotem nienawiści, litości, lęku — groteską. Wewnątrz tej monstrualnej sukni, konwencjonalnego stroju, który w ciągu mego życia wkładało setki tysięcy kobiet, który kobiety pragnęły mieć, podziwiała w niezliczonych lustrach, przyoblekały weń swe masochistyczne fantazje — wewnątrz tej szkarłatnej zgrozy stała Emily, obracając przed lustrem głowę to w jedną, to w drugą stronę. Jej „upięte” włosy odsłaniały nagi kark. W ciągu życia Emily nie było takiej mody — w ogóle nie było mody, przynajmniej dla zwykłych ludzi — a jednak Emily jest tu w tej postaci, o parę kroków od nas i wyczuwając naszą obecność, swego wiernego zwierzęcia i stroskanej opiekunki, odwraca głowę, powoli, powoli, i

patrzy na nas spod opuszczonych powiek o długich rzęsach; usta ma rozchylone jak do wymyślnych pocałunków. Do pokoju weszła

257

wielka, wysoka kobieta, matka Emily, i jej zjawienie się natychmiast pomniejszyło Emily, czyniło ją coraz mniejszą i mniejszą i od momentu, gdy matka tam stanęła, Emily zaczęła zanikać. Patrzyła na matkę i zmniejszając się, eksponowała swą prowokacyjną pleć, wijąc się i wysuwając język. Matka patrzyła przerażona i pełna awersji, a jej córka zmniejszała się coraz bardziej, była już małą szkarłatną laleczką z wydętym łonem, z siedzeniem zarysowanym od talii po uda. Laleczka skręcała się i przybierała różne pozy, a potem zniknęła smużką czerwonego dymu, niczym w przypowieści moralnej o ciecie i szatanie.

Hugon zbliżył się do miejsca przed lustrem, węszył, obwąchiwał je, a potem podłogę, gdzie uprzednio stała Emily. Twarz matki wykrzywił wyraz niechęci, ale tym razem to zwierzę tak na nią podziałało.

— Wynoś się — powiedziała cichym głosem bez tchu, jaki zwykle wydobywa się z nas pod wpływem niechęci lub strachu. — Wynoś się, ty brudne, parszywe bydło.

I Hugon cofnął się ku mnie, oboje wycofaliśmy się przed zmierzającą ku nam kobietą, która unosiła pięść, by mnie uderzyć, by uderzyć Hugona. Cofaliśmy się szybko, potem jeszcze szybciej, a kobieta zbliżała się, rosła, stawała się ogromna, obejmowała sobą dziewczęcy pokój Emily z jego ob-

258

łudną konwencjonalnością, niepasujące doń lustro i oto — trzask! — byliśmy z powrotem w bawialni, w mrocznym pokoju, w którym pojedyncza świeca rozkwitała w swej jamce światła, a mały ogień ogrzewał niewielki krąg powietrza wokół siebie. Siedziałam na swoim zwykłym miejscu. Hugon stał wyprostowany pod ścianą i spoglądał na mnie. Oboje spoglądaliśmy na siebie. Szlochał... nie, właściwe słowo to „płakał”. Płakał z samotności jak człowiek. Odwrócił się i powlókł do mojej sypialni.

Ostatni raz wtedy widziałam Emily w scenie zwanej przeze mnie „osobową”. Chodzi mi o to, że nie natknęłam się już na sceny ukazujące jej rozwój jako dziewczyny, niemowlęcia czy dziecka. Ta straszna scena z lustrem, jej sugestie perwersji to był koniec. Nie zdarzyło mi się też, wkraczając w tamten świat przez — to także nowość — płomienie lub nikły blask kominka, gdy siedziałam obok niego w owe długie jesienne wieczory, bym napotkała pokoje otwierające się jeden za drugim — a przynajmniej uważałam, że ich nie znajduję. Wracając z wizyty w owym miejscu, nie potrafiłam zachować wyraźnych wspomnień z tego, co przeżyłam, gdzie byłam. Wiedziałam, że tam byłam, na podstawie uczuć, jakie trwały we mnie, czy też mnie drażyły: nasycalo mnie jakieś obfite szemrzące źródło pociechy i słodczy, przeżywałam lęk i poczucie zagrożenia. I wydawało się też, że w gęs-

259

tym świetle (albo pod nim) pokoju migocze inne światło, nadchodzące stamtąd — przyniosłam je ze sobą, a ono pozostało przez chwilę, rodząc we mnie tęsknotę za tym, co sobą przedstawiało.

A kiedy zniknęło, jakaż leniwa, ponura i ciężka aura się pojawiła... Hugon zaczynał sucho kaszleć, i kiedy tak siedzieliśmy razem, zrywał się nagle i podchodził do okna, węszył, mocno pracując bokami, a ja otwierałam okno, uświadamiając sobie, że też popadłam w otępienie od zatechniętego, ciężkiego powietrza w pokoju. Staliśmy tak obok siebie, wdychając powietrze napływające z zewnątrz i starając się oczyścić nim płuca.

Gdy przez parę dni nie widziałam Emily, wybrałam się do domu Geralda; szłam ulicami, na których jak zawsze panował nieporządek, ale które teraz były chyba dużo czystsze. Tak jakby po powszechnej erupcji brudu i bałaganu wiatr, a przynajmniej ruch powietrza, usunął trochę tego śmiecia. Po drodze nie spotkałam nikogo.

Oczekiwałam po trosze, że natknę się na prace przy odbudowie ogrodu warzywnego. A jednak nie. Był zniszczony i zdeptany, grzebało w nim parę kur. Spod krzaków pełzł ku nim jakiś pies. Był to widok tak niezwykły, że przystanęłam, by popatrzeć. Nie jeden pies, ale stado psów; czołgały się ze wszystkich stron ku dziobiącym kurom. Nie sposób opi-

260

sać, jak mnie to zaniepokoiło; coś monstrualnego czyha na mnie, jakiś rzeczywisty ruch i zmiana naszej substancji: psy! Stado psów, jedenaście czy dwanaście, co to mogło oznaczać? I gdy tak je obserwowałam, ciarki na mojej skórze i zimny pot na czole powiedziały mi, że czuję strach, i to z całkiem uzasadnionego powodu: psy mogły zamiast kur wybrać mnie. Weszłam jak najszybciej do wnętrza domu. Było w nim czysto i pusto. Wchodząc po schodach, nasłuchiwałam odgłosów życia w pokojach

— cisza. Na górze zamknięte drzwi. Zapukałam. Emily uchyliła je na parę centymetrów, zobaczyła, że to ja, wpuściła mnie, zatrzasnęła szybko drzwi i zarygłowała. Była odziana w futra, spodnie z królika lub kota, futrzaną kurtkę, szarą futrzaną czapkę naciągniętą nisko na oczy. Wyglądała jak aktor pan-tomimiczny w roli kota. Błada jednak i zatroskana. Gdzie jest Gerald? Wróciła do gniazda, które uwiła sobie na podłodze z futrzanych dywaników i futrzanych poduszek. Pokój zalatywał wonią futra niczym jaskinia, ale wciągając powietrze, stwierdziłam, że jest jednak świeże i rześkie i że wciągam je wielkimi haustami. Emily zrobiła mi miejsce wśród dywaników, a ja usiadłam i okryłam się. Było bardzo zimno, żadnego ogrzewania. Siedziałyśmy w milczeniu — oddychając. Powiedziała:

261

— Teraz, kiedy powietrzem na dworze nie sposób już oddychać, spędzam tu tyle czasu, ile tylko mogę.

Pojęłam trafność tej uwagi: był to moment, w którym ktoś wypowiedział coś, co zestaliło w fakt wskazówki tylko częściowo uchwytywane, odsyłające do oczywistego wniosku... W tym przypadku chodziło o to, że powietrze, którym oddychaliśmy, od pewnego czasu stawało się ciężkie, było coraz bardziej nieświeże i gęste. Przywykliśmy do tego, przystosowaliśmy się; ja również, jak wszyscy, robiłam krótkie, niechętne wdechy, tak jakbym nabierając w płuca, do organizmu, porcję powietrza, wciągała również dawkę trucizny — ale jakiej trucizny? Któż mógł wiedzieć lub powiedzieć! Znowu „to”, w swej nowej — być może pierwotnej — formie.

Siedząc w owym pokoju, którego podłogę zalegały futra służące do leżenia i spoczynku, pokoju, w którym można było tylko leżeć lub siedzieć, uświadomiłam sobie, że jestem... po prostu szczęśliwa, że tam jestem i oddycham. I to właśnie długo czyniłam, a moja głowa oczyszczała się i nastrój nabierał lekkości. Wyglądałam przez czystą folię na niebo gęste od kłębowiska chmur niosących śnieg, oglądałam grę światła na ścianie. Od czasu do czasu Emily i ja uśmiechałyśmy się do siebie. Wszędzie było bardzo cicho. W pewnej chwili z ogrodu dobiegło gwałtowne gdakanie i warkot, ale my nie

262

reagowałyśmy. Ucichło. Znowu cisza. Siedziałyśmy bez ruchu, po prostu oddychając.

W pokoju było parę różnych urządzeń: jedno zwieszało się z sufitu, drugie stało na podłodze, jeszcze inne było przybite do ściany. Służyły do oczyszczania powietrza, działały, wysyłając strumienie elektronów, jonów ujemnych — od pewnego czasu ludzie z nich korzystali, tak samo jak nikomu nie przyszłoby do głowy użyć wody prosto z kranu, nie przepuściwszy jej najpierw przez jakiś filtr, jedną z licznych jego wersji. Powietrze i woda, woda i powietrze, podstawa naszej materii, składniki elementarne, w których pływamy, poruszamy się, które nas budują i przebudowują, nieustannie, wiecznie, przetwarzają i odnawiają... od jak dawna musieliśmy im nie ufać, uciekać przed nimi, traktować je jak ewentualnych wrogów?

— Powinnaś zabrać do domu parę urządzeń — odezwała się. — Jest ich cały pokój.

— Gerald?

— Tak, był w magazynie. Są w pokoju pod nami. Pomogę ci je zanieść. Jak możesz żyć w takim paskudnym powietrzu? — powiedziała to tonem kogoś, kto mówi to, co chciał powiedzieć, ale dotychczas się powstrzymywał.

Uśmiechała się... z wyrzutem.

— Czy wrócisz do... — zawrahałam się przed wypowiedzeniem słowa „dom”, ale ona odrzekła:

263

— Tak, wrócę z tobą do domu.

— Hugon się ucieszy — powiedziałam bez intencji wymówki, ale jej oczy zaszklily się i twarz zarumieniła.

— Dlaczego decydujesz się wrócić? — zaryzykowałam pytanie, ale ona po prostu potrząsnęła głową: odpowiem za chwilę... I odpowiedziała, gdy zapanowała nad sobą.

— Nie ma po co tu tkwić.

— Gerald odszedł?

— Nie wiem, gdzie jest. Nie zjawił się, odkąd przyniósł te urządzenia.

— Sam organizuje nową grupę?

— Próbuje.

Kiedy, wstawszy, zwijała jedne futra w wielkie rolki do zabrania do domu, inne rozkładała, by owinąć w nie urządzenia, rozległo się pukanie, a ona podeszła do drzwi, zobaczyć kto to. Nie, nie Gerald, para dzieci. Widok dzieci przestraszył mnie. Uświadomiłam sobie w „błysku olśnienia” — następnego! — że zarówno ja, jak inni przywykliśmy uważać wszystkie dzieci za budzące lęk. Tak było nawet jeszcze przed zjawieniem się „biednych małych dzieciaczków”.

Tych dwoje, brudnych, o żywych twarzach, bystrych i czujnych, usiadło na futrzanej podłodze z dala od nas i z dala od siebie nawzajem. Każde z nich trzymało gruby kij z nabijaną gwoździami

264
gałką, gotowe do użycia go przeciw nam i przeciw sobie nawzajem.

— Trochę chciałem poodychać świeżym powietrzem — odezwał się rudowłosy chłopiec o mlecznobiałej cerze i uroczych piegach. To drugie, jasnowłosa anielska dziewczynka, powiedziało za siebie:

— Tak, ja chciałam trochę świeżego powietrza. Siedzieli, oddychali, patrzyli, podczas gdy my, mając się przed nimi na baczności, dalej zwijałyśmy i pakowały.

— Gdzie idziecie? — spytała dziewczynka.

— Powiedz Geraldowi, że będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

Dało to tyle pożytki moim myślom, że wręcz nie mogłam sobie tego początkowo przyswoić.

Czyżby te dzieci należały do nowego gangu Ge-ralda? Czy nie należą do gangu dzieci z metra?

Jeśli tak, to... być może gang jest stracony jako całość, ale poszczególne jednostki można uratować, czyli Gerald miał rację? Gdy nasze pakunki były gotowe, wy-szłyśmy, a dzieci z nami, opuściły nas jednak na widok istnej rzezi, jaką stanowił teraz ogród: wszędzie pióra, kawałki mięsa, martwy pies. Gdy odchodziłyśmy, dzieci kroili psa za pomocą ostrych kawałków stali, przykucnąwszy po obu stronach padliny.

Wracałyśmy ulicami, a ja zwróciłam uwagę Emily na mniejszy — prawda? — brud na nich i za-

265
uważyłam, że powstrzymała swą reakcję. Skomentowałam też ulice, na których prócz nas nie było żywej duszy, i usłyszałam jej westchnienie. Miała do mnie cierpliwość.

W holu naszego bloku wielki wazon na kwiaty leżał opodal windy rozbity na kawałki. Wśród szczątków był martwy szczur. Gdy Emily wzięła zwierzę za ogon, by je wyrzucić na ulicę, z naszego wspólnego korytarza wyłonili się profesor White, pani White i Janet. Tak dalece zachowali dawny styl życia, iż można było teraz od razu powiedzieć, że są ubrani do podróży — płaszcze, szaliki, walizki. Ich widok przypominał o tamtym innym świecie — czy też warstwie społecznej — ponad nami, gdzie ludzie nadal na różne okazje mieli odpowiednie stroje i rzeczy. Rodzina White'ów, jak gdyby w naszym świecie nic nie zaszło, wybierała się w podróż, a Janet mówiła:

— Och, szybciej, mamu, tato, chodźmy, tu jest teraz tak strasznie, kiedy nikogo już nie ma.

Klik — znowu parę słów wyfrunęło, jakby wysłane przez samą atmosferę, przez „to”, podsumowując pewien nowy stan rzeczy, który jeszcze nie został podsumowany, a przynajmniej nie przeze mnie. Dostrzegłam bystre spojrzenie rzucone przez Emily na mnie, podsunęła się nawet odruchowo o krok bliżej macierzyńskim ruchem wsparcia, na wypadek chwili słabości. Stałam w milczeniu, pa-

266

trząc na zamieszanie i krzątanie rodziny White'ów, oglądając swoją przeszłość, naszą przeszłość; wyglądała komicznie. Była komiczna. Zawsze byliśmy zabawnymi, małymi, zarozumiałymi

zwierzątkami, gdyśmy odgrywali swe role i występowali w swych sztukach... nie było miłe to oglądanie rodziny White'ów, oglądanie siebie. A potem powiedzieliśmy sobie do widzenia w zupełnie starym stylu: „Miło było państwa poznać, mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy” — tego rodzaju rzeczy, tak jakby nic szczególnego się nie działo. Dowiedzieli się, że tego popołudnia na północ, dziesięć mil za miasto, będzie jechał w sprawach służbowych jakiś wagon. Choć nie był on dostępny zwykłemu obywatelowi, zapłacili gdzie trzeba, i udało im się załatwić sobie miejsce w wagonie, który wyrzuci ich razem z bagażem o milę od lotniska. Po południu planowany był służbowy lot w najodleglejsze rejony na północy; i znowu, choć zwykła osoba nigdy nie załapałaby się na taki lot, szef wydziału i jego rodzina mogli to osiągnąć, jeśli mieli pieniądze, i to znaczne — rzecz jasna nie na bilet, lecz znów na łapówki. Ileż handlu wymiennego, obietnic, gróźb i próśb musiała kosztować ta podróż, ileż straszliwego wysiłku — i wszystko to w całkowicie nowym stylu, wedle naszej nowej mody, mody na przeżycie, na przetrwanie za wszelką cenę; teraz jednak w ich zachowaniu nie było po tym ani śladu:

267

„Do widzenia, do widzenia, miło było mieć panie za sąsiadki, być może wkrótce się zobaczymy, tak, też mam taką nadzieję, do widzenia, miłej podróży”.

Weszłyśmy do mojego mieszkania i zza okien obserwowałyśmy, jak odchodzą ulicą, dźwigając ciężkie walizy.

Pokoje obok mojego mieszkania były teraz puste. Puste... uświadomiłam sobie, że w holu i na korytarzach widywałam ostatnio bardzo niewielu ludzi. Co się stało z bazarem? Zapytałam Emily, a ona wzruszyła ramionami, najwyraźniej uważając, że sama powinnam wiedzieć. Wysłałam ponownie i skierowałam się do stróżówki na końcu korytarza. „W razie nagłej potrzeby kierować się do mieszkania 7, piąte piętro”. Sposób, w jaki zwisała ta kartka, i cisza za drzwiami to były znaki, że stróż i jego rodzina opuścili mieszkanie, odeszli; kartka mogła tak wisieć już od tygodni. Poszłam jednak do windy, która czasami działała, i nacisnęłam guzik. Kabina ruszyła gdzieś w górę, czekałam więc, naciskając guzik i spoglądając wzwyż, ale nie zjechała, więc zaczęłam wdrapywać się po schodach; piętro za pięciem puste, nigdzie żadnego życia, handlu ani wymiany. Handlowcy, nabywcy, towary, wszystko zniknęło, pod siódmym na piątym piętrze nie było nikogo, ale za to na samej górze, już blisko dachu, ujrzałam paru chłopców, którzy karmili konie, nabierając widłami siano; wycofałam

268

się, nie chcąc, by mnie ujrzano, bo wśród pracujących były dzieci. Przebyłam ten korytarz, mijając dalsze pokoje, w których trzymano zwierzęta: zza drzwi wзираł kozi łeb, na końcu korytarza stała para wspaniałych jagniąt, a z któregoś z pobliskich pomieszczeń dobiegało szuranie, skrobanie i czuć było woń świń. Wysłałam nawet na dach: rozciągał się tu bujny ogród, rosły warzywa i zioła wszelkiego rodzaju, była foliowa cieplarnia, w klatkach siedziały króliki, a rodzina — matka, ojciec i troje dzieci — zajęta była ciężką pracą. Skierowali na mnie spojrzenia owego czasu: A ty kto? Przyjaciół? Wróg? — i czekali, gotowi użyć narzędzi jako broni. Zeszłam z powrotem na ostatnie piętro, a tam jakieś dziecko wtapiało się w mroczny kąt — śledziło mnie. Chłopiec szczyrzył zęby, groźnie, ale w sposób wykalkulowany. Chodzi mi o to, że jego wrogość była wykalkulowana, odmierzona w takiej ilości, aby mnie przestraszyła. Wyobrażałam go sobie z lusterkiem znalezionym w jakimś kącie, jak ćwiczy rozmaite straszne grymasy. Byłam naprawdę przerażona, jego ręka (jak w tym czasie ręka Emily!) przywierała do piersi, gdzie ukazywał się trzonek noża. Wydawało mi się, że znam tę twarz, sądziłam, że to jeden z tych urwisów — był rudowłosy i podobnego wzrostu — którzy odwiedzili Emily tego dnia. Ale nie odwoływałam się rzecz jasna do takich sentymentalnych źródeł znajomości,

269

lecz też błysnęłam oczami i sięgnęłam groźnie prawą ręką po swój — nie istniejący — nóż. Chłopiec pozostał na swoim miejscu, a ja przeszłam obok niego, zmierzając dalej korytarzem, zaglądałam do pomieszczeń i czułam, że skrada się za mną w pewnej odległości. Zobaczyłam Geralda. Siedział na stercie futer otoczony dziećmi — był to „podziemny gang”, który oto mieszkał w „moim” bloku. To mną naprawdę wstrząsnęło, zeszłam na dół schodami, śmiało minąwszy

chłopca, który nadal starał się przerażać minami i wzrokiem. Na dół, na dół do swojego mieszkania, które po wszystkim, co ujrzałam, wydało mi się dziwną małą oazą porządku, staroświeckich przyjemności, ciepła. Emily rozpałała w kominku i siedziała przy nim naprzeciw Hugona. Patrzyli na siebie, nie dotykając się, patrzyli na siebie długo i spokojnie. Dziewczyna całkowicie spowita w futra, tak iż trudno było stwierdzić, gdzie zaczynają się i kończą jej własne gładkie włosy, i biedne zwierzę o szorstkiej żółtej sierści — można by rzec, Piękna i Bestia, ale Piękna była teraz bardzo podobna do swej Bestii, owinięta w strój zwierzęcia, bystra i czujna jak zwierzę, jak ono walcząca o przetrwanie. Tak, Piękna upadła, upadła bardzo nisko... Żle się poczułam, patrząc na nich, pomyślałam sobie, jak niewiele brakuje do tego, byśmy biegali i uciekali tunelami jak szczury — ale ujrzałam, że ogień pali się żywy i jasny, wszystkie przy-

270

niesione przez nas odświeżacze powietrza pracują, a zasłony są zaciągnięte i opatrzone przypiętymi do nich starymi kocami. Powietrze było tu przyjemne, czyste i czułam, jak ożywa w nim moje prawdziwe ja, ale najpierw wyszłam jeszcze raz i odwiedziłam trotuar. Na zwykłym miejscu zgromadzeń było ledwie parę osób. Snuli się tam zagubieni i niepewni: tyle plemion odeszło, a oni są maruderami. Jakże ciemno było wszędzie! Zwykle gdy zapadał zmrok, setki płomyków świec jakby unosiły się na wszystkich poziomach wielkich budynków: ludzie przy oknach, patrzący w dół, za nimi wnętrza mieszkań rozjaśnione słabym blaskiem świec. Tego wieczoru jednak migotało ledwie kilka miejsc gdzieś wysoko w mroku. Moje okna były ciemne, ale mieszkanie żyło: z oświetlenia okien nie można było teraz wnioskować, kto przebywa w budynku. Na ulicach żadnego światła, tylko gęsty, ciężki mrok, ogień papierosa na trotuarze, nic więcej. Wiedziałam, że stoję tam naprzeciw ciemnej fasady budynku i jednego w nim płomyka świecy — mojej. Tak więc to wygląda teraz. Każdy przechodzący obok wiedział, że mieszka tu samotna, pozbawiona ochrony osoba, czy też rodzina. Byłam obłąkana. Powstrzymywane przez Emily reakcje zniecierpliwienia czy zatroskania stały się zrozumiałe, oczywiste. I dość często w blasku tego jednego płomyka musiał się rysować kształt cierpliwie czuwającego Hugona; tak, tym ra-

271

zem po to przysłała do domu, a przynajmniej na to wyglądało: czuwać nade mną, tylko po to. Wróciłam do mieszkania. Emily poszła spać. Hugon nie poszedł za nią. Duma; ona oczywiście to rozumiała. Leżał przed kominkiem, jak to zwykle czynić zwierzę domowe, z nosem zwróconym ku ciepłu, zielone oczy były czujne i otwarte. Wyciągnęłam ku niemu rękę; pozwolił mi poczuć lekkie drżenie swego ogona. Siedziałam długo, aż kominek wygasł, i słuchałam absolutnej ciszy bloku. A przecież nade mną był ogród, były zwierzęta, stracone dzieci, był stary przyjaciel, Gerald; poszłam spać, zwyczajem wieśniaków i prostych ludzi otulając głowę dla bezpieczeństwa i odsłaniając tylko twarz — a wstawszy rano, stwierdziłam, że w kranach nie ma wody.

Dom, jako urządzenie, zakończył żywot.

Rano Gerald zszedł na dół z dwojgiem dzieci, Rudym i małą Murzynką. Przyniósł prezenty w postaci wina, bo znalazł na wpół rozgrabiony stary sklep z winem, oraz parę koców. A także trochę jedzenia. Emily przygotowała dla nas pięciorga posiłek w postaci jakiejś kaszy z mięsem; było to smaczne i krzepiące.

Gerald chciał, żebyśmy przeniosły się na górę, gdzie byłoby mu łatwo zainstalować aparat wietrzny, jakiś mały wiatrak; wystarczyłoby nam energii na zagranie wody, jeśli uda nam się ją zdobyć. Nic

272

na to nie powiedziałam, niech Emily się wypowie i wybierze. Odmówiła, lepiej zostać na dole; mówiąc to, nie patrzyła na mnie, a ja dopiero z wolna uświadamiałam sobie, że powód jest taki, iż na górze byłybyśmy bardziej narażone na atak, nie mogłybyśmy stamtąd łatwo uciec, podczas gdy tu wystarczy wyskoczyć przez okno. Dlatego właśnie odmówiła, gdy zaproponował „wielkie mieszkanie, naprawdę, Emily, bardzo duże, i pełno rozmaitego jedzenia i rzeczy. A ja zainstaluję siłę w ciągu jednego dnia — prawda?“, zwrócił się do dzieci, które kiwnęły głowami i uśmiechnęły się. Siedziały po obu jego stronach, małe stworzonka siedmio- lub ośmioletnie; były jego, jego dzieło, on je stworzył, miał swój gang, swe plemię... ale za cenę robienia tego, co one chciały, służenia im.

On zaś chciał jej powrotu. Chciał, by poszła z nim na górę, mieszkała z nim — jako królowa lub pani przywódcy, lub kobieta rozbójnika — pośród dzieci, pośród jego gangu. A ona nie chciała, z całą stanowczością nie chciała. Wprawdzie nie wypowiedziała tego, ale było to jasne. A dzieci, bystro-okie i czujne, wiedziały, o co chodzi. Trudno było się zorientować, co czują — nie istniał żaden znany sygnał, który mógłby nas o tym powiadomić. Przenosiły wzrok z Emily na Geralda, z Geralda na Emily: może zastanawiały się, czy Emily tak jak Gerald stanie się jedną z nich, będzie jak one zabi-

273

jać, jak one walczyć? A może uważały, że jest ładna i miła i byłoby przyjemnie mieć ją przy sobie? Uważały lub czuły, że wypełni miejsce po ich matkach — jeśli w ogóle pamiętały matki i rodziny? A może były zdania, że trzeba ją zabić, bo Gerald, ich własność, ją kocha? Kto mógł wiedzieć?

Ich sposób jedzenia był odrażający. Gerald mówił:

— Jedz łyżką, zobacz, tak... nie rzucaj tego na podłogę!

Widać było jednak, że we własnym mieszkaniu, we własnej jaskini nie dbały już o takie drobiazgi. Jego spojrzenia na Emily mówiły, że gdyby ona była z nimi, mogłaby na nie wpłynąć i je ucywilizować... ale wszystko to na darmo i około południa poszli, mężczyzna i dwoje małych dzieci. Jutro przyniosą nam świeże mięso: ma być zabita owieczka. Gerald wkrótce przyjdzie odwiedzić Emily, powiedział jej, że to teraz jej dom. Moje mieszkanie należy do Emily, a ja jestem jej starą służącą. Cóż, czemu nie?

Kiedy poszedł, długo milczała, a potem zjawił się Hugon i usiadł, kładąc pysk na jej kolanie; zdawał się mówić: widzę, że w końcu naprawdę wybrałaś mnie, mnie przeciw niemu, mnie zamiast wszystkich innych!

Było to zabawne i żalodne, ale ona rzucała mi spojrzenia mówiące, że nie powinnam się śmiać; sama powstrzymywała uśmiech, zagryzała wargi,

274

wciaagała powietrze, żeby się nie roześmiać. Głaskała gco i pieściła:

---Drogi Hugon, drogi, drogi Hugon...

P.°atrzyłam i zapamiętywałam. Widziałam doj-rzałą kobietę, kobietę, która dała już wszystko, ale ciągle ją proszą, żądają od niej, perswadują jej, by daw-ała; taka kobieta jest naprawdę szczerą, jej kufry i studnie są zawsze pełne, a ich zawartość ciągle rozdawana. O tak, kocha — ale gdzieś w jej wnętrzu czai się śmiertelne znużenie. Poznała to wszystko i już więcej nie chce — ale coż można pocsąć? Zna siebie — tak mówią oczy mężczyzn i ch3opców — jako źródło; jeśli nim nie jest, jest nicz ym. Ciągle jeszcze tak myśli, nie pozbyła się tego złudzenia. Daje. Daje. Ale z tym ukrywanym i tajonym znużeniem... głasz:cze łeb swego Hugona, pieści jego uszy, szepce doń czułe głupstewka. Nad jego łbem jej oczy spotkały moje: były to oczy dojrzałej kobiety w wieku trzydziestu pięciu lub czterdziestu lat... nigdy więcej dobrowolnie nie zgodzi się na taką mękę. Znużona kobieta naszej martwej cywilizacji, widziała miłość jako gorączkę, którą trzeba przejść, przetrwać: „zakochanie” to choroba, którą trzeba przetrzymać, pułapka, która może ją doprowadzić do zdrady własnej natury, własnego zdrowego rozsądku, własnych prawdziwych celów. Nie wiedzie do niczego prócz samego siebie, nie jest kluczem do życia. Jest stanem, kondycją, wy-

275

starcza samemu sobie, niemal niezależnie od swego przedmiotu... Gdyby o tym mówiła, mówiłaby tak, jak napisałam. Nie chciała jednak mówić. Sączyła swe znużenie, swą gotowość dawania, jeśli to absolutnie konieczne, dawania bez wiary. Gerald, którego dawniej uwielbiała, tradycyjna „pierwsza miłość”, Gerald, na którego czekała, z którego powodu cierpiała, nie spała po nocach — on, jej kochanek, teraz pragnął jej i potrzebował, zaspokoiwszy krąg własnych potrzeb, ale ona nie miała już sił, by wstać i wyjść mu na spotkanie.

Gdy jeszcze tego samego dnia Gerald ponownie zszedł na dół, aby spróbować nakłonienia jej do powrotu do niego, przemówiła. Ona mówiła, a on słuchał. Powiedziała mu, co się z nim stało, bo on nie wiedział.

Kiedy gang „dzieciaków” z metra zniszczył mu wspólnotę zbudowaną przezeń w domu, a on stwierdził, że nikt z dawnego gospodarstwa nie wróci, cały wysiłek skierował na zatrzymanie Emily

przy sobie i zbudowanie nowego gospodarstwa. Wrócił na trotuar, aby przyciągnąć ludzi, którzy utworzą załóżek nowego plemienia. Jednakże bez skutku. Dlaczego? Być może uważano, że pozostaje w kontakcie z niebezpiecznymi dziećmi albo że każda nowa stworzona przezeń wspólnota musi je zwabić; być może fakt, że otwarcie okazywał gotowość pozostania z jedną kobietą, z Emily, zamiast mieć wol-

276

ność wyboru, obdarzać łaskami każdą, którą zastał w swym łóżku, odstręczał odeń dziewczęta — jakiegokolwiek prawo tu zadziało, wynik był taki, że Gerald, uprzednio młody książę, być może najbardziej poważany ze wszystkich młodych mężczyzn na trotuarze, znalazł się nagle sam, jako po prostu jeden z młodych, którzy musieli trzymać się jakiegoś przywódcy, aby przeżyć... Gerald słuchał tego wszystkiego zamyślony, nie protestując przeciw niczemu, co Emily mówiła.

— A potem uznałeś, że lepiej mieć dzieci, niż nie mieć nic lub być cierpliwym i czekać. Po prostu musiałeś mieć grupę za wszelką cenę. Wróciłeś do nich i wzięłeś je. Ale w istocie to one wzięły ciebie, zdajesz sobie z tego sprawę? Założę się, że robisz dokładnie to, czego one chcą, prawda? Jestem pewna, że nie potrafisz ich powstrzymać przed zrobieniem, co tylko chcą. I musisz godzić się ze wszystkim.

On zaś teraz się cofnął, nie był przygotowany na takie ujęcie sprawy, nie mógł słuchać.

— Ale to przecież małe dzieciaki — powiedział. — Czy nie lepiej dla nich, że mają mnie? Daję im jedzenie i rzeczy. Opiekuję się nimi.

— Wcześniej też miały jedzenie i rzeczy — odparła Emily sucho.

Nazbyt sucho... uznał, że go krytykuje — nic więcej w niej nie dojrzał. Żadnego uczucia dla niego

277

— tak to odbierał. Poszedł i nie przychodził przez parę dni.

Organizowałyśmy sobie nasze życie i nasze mieszkanie.

Zapewniałyśmy sobie czyste powietrze za cenę siadania od czasu do czasu i obracania korbą w celu naładowania baterii. Było ciepło, bo Emily wychodziła z siekierą i wracała z wielkimi naręczami drewna. A gdy właśnie myślałam sobie, że brak wody zmusi nas do wyruszenia w drogę, rozległo się klik-klak za oknem i ukazał się wóz zaprzężony w osła i załadowany plastikowymi, drewnianymi, metalowymi wiadrami z wodą.

— Wooda! Wooda! — dawne wołanie niosło się przez nasze wilgotne północne ulice.

Sprzedawały, a raczej wymieniały, dwie mniej więcej jedenastoletnie dziewczynki. Wysłałam z pojemnikami i zobaczyłam innych ludzi wychodzących z okolicznych bloków. Niewiele, najwyżej pięćdziesiąt osób. Woda kosztowała mnie sporo; dziewczynki nauczyły się być twarde, potrząsać głowami i wzruszać ramionami na argument, co ludzie poczną bez wody. Za dwa wiadra dobrej wody

— pozwoliły nam przynajmniej skosztować przed kupnem — zapłaciłam owczą skórą.

A potem zjawił się Gerald i chyba ze dwudziestka z jego gangu — z pojemnikami wszelkiego rodzaju. Na górze były zwierzęta, potrzebowały rzecz

278

jasna wody. Gang jednakże natychmiast zabrał całą wodę, po prostu ją zagarnął, nie płacąc. Sama krzyczałam na Geralda, że ta woda to źródło przeżycia tych dziewczynek, ale on nie zwracał na mnie uwagi. Myślę, że mnie nie słyszał. Stał na straży, czujny, jego oczy zimno oceniały sytuację, a jego dzieci zdejmowały z wozu wiadra i biegły z nimi do bloku; sprzedawczynie lamentowały, ludzie, którzy przyszli kupować wodę i nie zostali jeszcze obsłużeni, stali, krzycząc i wrzeszcząc. Potem Gerald i dzieci zniknęli i przyszła kolej na mnie: oto padłam ofiarą rabunku. Stałam z dwoma pełnymi wiadrami, gdy pewien mężczyzna z bloku naprzeciwko wyciągnął rękę, zniżając głowę, by zajrzeć mi w oczy, i wyszczerzył zęby. Oddałam jedno wiadro i pobiegłam do domu z drugim. Emily obserwowała wszystko przez okno. Wydawała się smutna. A także zirytowana: mogłam sobie wyobrazić, jak w jej umyśle układają się słowa, którymi złaje Geralda.

Miska czystej wody stanęła przed Hugonem, który pił i pił. Stał nad pustym naczyniem z opuszczoną głową; napełniłyśmy je ponownie, a on znowu zaczął pić... w ten sposób wyszła jedna trzecia wiadra, a w naszych głowach obecna była ta sama myśl — zarówno w głowie Hugona, jak

w naszych. Emily usiadła przy nim i w dawny sposób otoczyła go ramionami: nie powjuien się martwić ani smuć, ona go ochroni, nikt go nie napadnie, będzie

279

miał wodę, nawet gdyby jego pani miała się obejść bez niej albo ja...

Gdy w kilka dni później wróciły sprzedawczynie wody, towarzyszyli im mężczyźni z pistoletami i kupowaliśmy ustawieni w porządne kolejki. Ge-rald i jego gang nie pojawili się. Jakaś kobieta powiedziała, że „ta przeklęta banda” otwarła ujście Fleet River i zaczęła sprzedawać wodę na własny rachunek. Istotnie tak było — dla nas, dla Hugona, Emily i mnie, pomyślny obrót wydarzeń, bo Gerald codziennie przynosił nam na dół wiadro wody, a czasem i więcej.

— Musieliśmy przecież to zrobić, musimy poić zwierzęta, prawda?

Usprawiedliwiający ton tego stwierdzenia uświadomił nam, że odbyła się jakaś ciężka bitwa. Z władzami? Z innymi ludźmi korzystającymi z tamtego źródła? — bo oczywiście stare studnie i źródła były otwarte w całym mieście. A jeśli z władzami, to jakim cudem Gerald i dzieci wygrali? Musieli wygrać, skoro mogą czerpać wodę.

— No — powiedział Gerald — przecież nie mają tylu ludzi, żeby wszystkiego dopilnować, nie? Większość z nich się wyniosła. Nas jest chyba teraz więcej niż ich...

A skoro wszyscy odeszli, to co my — Emily, Hugon i ja — jeszcze tu robimy?

280

Nie myślałyśmy już jednak o ruszaniu w drogę, przynajmniej nie serio. Czasami gawędziłyśmy trochę o Dolgellych albo mówiłyśmy: „No, któregoś dnia będziemy musiały poważnie pomyśleć...”. Powietrze, woda, żywność, ciepło — wszystko to miałyśmy. Było teraz lżej niż dotychczas. Mniej napięć, mniej niebezpieczeństw. Ale nawet ci nieliczni, którzy jeszcze kryli się w szczelinach i szparach tego wielkiego miasta, odchodzili, odchodzili...

Obserwowałam plemię, które wyruszało, gdy skończyła się jesień i nadeszła zima. Ostatnie plemię, przynajmniej z naszego trotuaru. Było podobne do wszystkich innych, których odejście oglądałam, ale lepiej wyposażone i charakterystyczne dla karawan z naszego rejonu; kiedy teraz porównuję zapiski, odnoszę wrażenie, że każdy rejon miał swoje sposoby wędrowki, nawet styl! Tak, można tak powiedzieć... jak szybko powstają zwyczaje i nawyki! Pamiętam, jak ktoś mówił, a było to we wczesnym okresie ruchu plemion: „Gdzie skóra na buty? Z a -w s z e zabieramy skórę na buty”. Może warto bardziej dokładnie opisać ten ostatni wymarsz.

Owego ranka było zimno. Niskie chmury przesuwały się szybko z zachodu na wschód, mroczne, rozlane morze. Powietrze gęste, trudno było oddychać, choć wiał wiatr, który rozrzucał i przeganiał cienką warstewkę okruszyn śniegu zalegają-

281

cych jezdnię i trotuar. Ziemia wydawała się płynna. Wysokie budynki wokół ukazywały się wyraziste i mroczne lub znikwały w śnieżnej zadymce.

Zebrało się około pięćdziesięciu osób, wszystkie ciasno owinięte w skóry. Na czele stało dwóch młodych mężczyzn dzierzących ostentacyjnie pistolety. Dalej jeszcze czterech, z łukami, strzałami, kijami, nożami. Za nimi wóz przerobiony z samochodu: wszystko aż po podwozie zdjęte, a w zamian ułożone deski tworzące równą powierzchnię. Wóz ciągnięty był przez konia i załadowany stertą tobołów z odzieżą i sprzętem; siedziało tam także troje małych dzieci i leżało siano dla konia. Starsze dzieci musiały iść pieszo.

Za wozem szły kobiety i dzieci, a za nimi jeszcze jeden wóz, do którego zaprzęgnięto się dwóch młodzieńców. Mieściła się na nim odległa wersja dawnego warnika, drewniany pojemnik, dobrze izolowany od zewnątrz, do którego można wkładać naczynia, tuż przed rozpoczęciem podróży zdjęte z ognia, potrawy więc będą się tam warzyć, i pod jej koniec posiłek będzie gotowy. Za tym drugim wozem jechał trzeci, dawny wóz na mleko, załadowany artykułami żywnościowymi: ziarno, suszone warzywa, koncentraty i tak dalej. I jeszcze czwarty wóz, ciągnięty przez osła. Stały tam klatki. Były w nich kury nioski, były króliki, nie na zabicie, ale na rozmnożenie: kilkanaście kotnych samic. Ten

282

ostatni wóz miał specjalną straż, złożoną z czterech uzbrojonych chłopców.

Cechę charakterystyczną tej karawany stanowiły koń i osioł. Nasza część miasta znana była ze zwierząt pociągowych. Dlaczego rozwinęliśmy tę specjalność, nie mam pojęcia. Być może dlatego, że dawniej były tu stajnie klubów jeździeckich, przekształcone później w miejsca do hodowli, gdy zaszła tego potrzeba. Nawet nasz skromny blok miał na górze konie — oczywiście dzień i noc pilnie strzeżone.

Zwykle gdy kolumna wyruszała w podróż na północ lub zachód, ludzie wychodzili z domów, by się pożegnać, życzyć powodzenia, przekazać wieści dla przyjaciół i krewnych, którzy odeszli wcześniej. Tego dnia zjawilo się tylko czworo. Siedziałam z Hugonem przy oknie, patrząc, jak plemię ustawia się w ordynku i odchodzi bez zamieszania i pożegnań. Wymarsz bardzo odmienny od poprzednich, tak hałaśliwych i wesołych. Ci ludzie wyglądali na złamanych, złkniętych, kulili się w futrach i starali się być niewidoczni: ich karawana była tłustym kąskiem dla potencjalnego napastnika.

Emily nawet nie patrzyła.

W ostatniej chwili wyłonił się Gerald i kilkoro dzieci; stali na trotuarze, dopóki ostatni wóz ze swym gładzącym ładunkiem nie zniknął im z oczu za kościołem na rogu. Gerald odwrócił się wtedy i poprowadził swe stadko z powrotem do budynku.

283

Zobaczył mnie i skinął głową, ale bez uśmiechu. Wyglądał na zmęczonego, co nie powinno dziwić. Sam widok tej bandy małych dzikusów mógł przyprawić o skurcz strachu. A on żył wśród nich dzień i noc; myślę, że wybiegł z nimi, by powstrzymać je od ataku na obładowane wozy.

Wieczorem rozległo się pukanie; za drzwiami stało czworo dzieci, miały dziki wzrok i były bardzo podniecone. Emily po prostu zatrzasnęła drzwi i zamknęła na klucz. Potem przystawiła je ciężkimi krzesłami. Szuranie nóg i szepty, a potem oddalające się kroki.

Emily spojrzała na mnie i nad głową Hugona przekazała mi ruchem warg (zrozumiałam dopiero po chwili): Usmażyć Hugona.

— Albo Emily — powiedziałam.

W parę minut później usłyszałyśmy krzyki na ulicy, potem tupot wielu nóg i triumfalne piskliwe głosy dzieci — wszelkie odgłosy napaści, zbrodni. Uchyliłyśmy naszych ciężkich zasłon, by w ostatniej chwili poprzez migotanie śniegu oświetlanego księżycem na nowiu ujrzeć gang Geralda, ale bez Geralda, wlokący coś po wejściowych schodach. Wyglądało to na jakieś ciało. Ale niekoniecznie, mógł to być worek albo toboł. Nasze podejrzania jednakże były tak silne, że wręcz uwierzyłyśmy.

Siedziałyśmy w ten wieczór przy ogniu, milcząc, czekając, nasłuchując.

284

Nic nie mogło przeszkodzić w uczynieniu z nas w dowolnej chwili ofiary.

Nic. Nawet to, że Gerald sam lub z grupką dzieci, a nawet niektóre dzieci same jakby nigdy nie schodzili nas odwiedzić. Przynosili nam prezenty. Przynosili mąkę, mleko w proszku i jaja, kawałki folii, taśmę celofanową, gwoździe, wszelkiego rodzaju narzędzia. Dawali nam futrzaki, węgiel, nasiona, świece. Przynosili... miasto wokół było prawie puste, wystarczyło po prostu wejść do niestrzeżonych budynków i magazynów i brać, na co kto miał ochotę. Większość jednakże tego, co tam było, stanowiły rzeczy, których nikt by nie używał ani nie chciałby używać; za parę lat ktoś, kto przetrwa i je znajdzie, zapyta: Do czego, u licha, to może służyć?

Tak jak już teraz pytały te dzieci. Można było obserwować, jak przykucają nad kupką kart pozdrowieniowych, różowym rowkowanym abażurem z nylonu, karzelkiem ogrodowym z polistyrenu, książką lub płytą i obracają je na wszystkie strony: Do czego to było? Co oni z tym robili?

Te odwiedziny jednakże, te prezenty nie oznaczały, że w innym nastroju, przy innej okazji nie będą zabijały. Tak dla kaprysu, zabawy, odruchowo.

Niekonsekwencja...

Znowu niekonsekwencja, jak przy odejściu małej June. Siedziałyśmy i rozmyślały o tym, rozmawiały o tym, nasłuchując równocześnie — gdzieś wysoko

285

nad nami zarżał koń, zabeczała owca, za oknami ptaki pruły w górę domu, gdzie były uprawy w

ogrodzie, osiągalne po wskoczeniu przez wybitą szybę, był ogród warzywny, a nawet parę drzewek. Niekonsekwencja, nowa rzecz w psychologii człowieka. Nowa? Cóż, jeśli nawet istniała zawsze, to była jednak dobrze skanalizowana, poddana dyscyplinie i socjalizacji. A może tak bardzo przywykliśmy do sposobów jej przejawiania się, że jej nie zauważaliśmy.

Jeszcze niewiele wcześniej, gdy mężczyzna lub kobieta wymieniali z kimś uścisk dłoni, dawali mu prezenty, ten ktoś mógł oczekiwać, że nie zostanie zabity przy następnym spotkaniu, gdyby taki pomysł właśnie przyszedł jemu czy jej do głowy... brzmi to znowu niczym farsa. Farsa jednakże jest funkcją tego, co normalne, zwykłe, standardowe. Bez normy, która jest źródłem farsy, ta szczególna forma śmiechu więdnie.

Pamiętam, że gdy June okradła moje mieszkanie, zapytałam Emily: „Ale dlaczego mnie?”. Odpowiedź brzmiała: „Ponieważ tu mieszkasz, a ona cię zna”. A nawet: „Ponieważ jesteś przyjacielem”.

Łatwo było uwierzyć, że dzieci z góry mogą przyjść któreś nocy i zabić nas, ponieważ jesteśmy ich przyjaciółmi. Znały nas.

Pewnego wieczoru, bardzo późno, siedząc wokół słabego ognia, usłyszeliśmy głosy za drzwiami i za oknem. Nikt się nie poruszył ani nie rozejrzył za bronią. Nasza trójka wymieniła spojrzenia — nie można powiedzieć, że rozbawione, tak filozoficznie nastawieni nie byliśmy, rzekłabym jednak, że spojrzenia te mieściły się w porządku humoru. Dzisiaj rano dałyśmy jeść kilkorgu bachorom, które teraz były za oknem. Jadłyśmy z nimi. Ciepło wam? Weź jeszcze chleba. Chcesz jeszcze zupy?

Nie mogłyśmy się obronić przed tak liczną grupą, trzydzieścioro albo więcej szepcze za drzwiami, pod oknem. A Gerald? Nie, w to nie mogłyśmy uwierzyć. Śpi lub jest gdzieś na wyprawie.

Hugon ulokował się między drzwiami a Emily, której miał zamiar bronić. Spojrzał na mnie, sugerując zapewne, bym stanęła między nią a oknem: oczywiście to Emily trzeba bronić.

Szuranie nóg i szepty trwały nadal. Parę uderzeń w drzwi. Znowu szuranie. Potem nagły hałas — krzyki i tupot oddalających się kroków. Co się stało? Nie wiedziałyśmy. Może Gerald usłyszał, co one robią, i przyszedł je powstrzymać. Może po prostu zmieniły zamiar.

A następnego dnia kilkoro dzieci w towarzystwie Geralda zeszło do nas i spędziliśmy wszyscy miło trochę czasu... mogę tak powiedzieć, mogę tak napisać. Nie mogę jednak przekazać naturalności tego, zwyczajności, z jaką siedzieliśmy, gawędząc, jedząc, patrząc na dziecięce twarze i myśląc:

No,

286

287

no, zdaje się, że to wy poprzedniej nocy zamierzałyście poczęstować nas nożem!

I tak to się działo.

Nie odeszłyśmy. Gdyby ktoś spytał: „Chcesz powiedzieć, że tkwicie tam, narażając się na niebezpieczeństwo, zamiast opuścić miasto i udać się na wieś, gdzie życie jest bezpieczne lub bezpieczniejsze, tylko z powodu tego zwierzęcia, tej paskudnej, zjeżonej starej bestii, jesteście gotowe zagłodzić się, zamrozić lub dać zamordować tylko z powodu tego bydłęcia?” — to odpowiedziałybyśmy: Oczywiście, że nie, nie postępujemy tak absurdalnie, stawiamy istoty ludzkie na ich właściwym miejscu, wyżej niż zwierzęta, jest to słuszne i właściwe i będziemy to robić tak samo jak wszyscy inni.

Nie chodziło już o Hugona.

Chodziło o to, że nie wiadomo było, dokąd miałybyśmy pójść. Do czego? Ze stron, do których tylu ludzi się udało, nie nadchodziły żadne wieści. Cisza i chłód... żadnego słowa stamtąd, nikt nie zjawił się na naszym trotuarze, by donieść: „Wracam właśnie z północy, z zachodu, spotkałem takiego a takiego i on powiedział...”.

Spoglądając w górę przez okno, mogłyśmy zobaczyć jedynie niskie, gęste chmury pędzącej ku nam zimy: ciemne chmury, ciemne, zimne chmury. Padał bowiem śnieg. Sypało, śnieg sięgał do parapetu. Co się stało z tymi masami ludzi, którzy odeszli?

Mogli równie dobrze zniknąć za krawędzią płaskiej ziemi... Radio, a czasem głośnik państwowego auta — które, oglądane z naszego okna, wyglądało jak relikwiarz zamierzchłej epoki — podawało

wiadomości ze wschodu: nadal utrzymywało się tam jakieś życie. Niektórzy nawet uprawiali ziemię, zboże, utrzymywali się jakoś. „Tam”, „w tamtych stronach”... słyszałyśmy o tych rejonach, były dla nas żywe. I miejsce, w którym trwałyśmy, było żywe; stare miasto, niemal opustoszałe, ale w nim ludzie, zwierzęta i rośliny, które rosły i krzewiły się, zagarniając ulice, trotuary, partery domów, rozsadzając nawierzchnię ulic, pnąc się po murach... Życie. Gdy nadejdzie wiosna, cóż to będzie za wybuch zieleni, zwierzęta będą się mnożyć, pożywiać i rozkwitać.

Ale nie północ i zachód. Tam tylko chłód i milczenie. Nie chciałyśmy odchodzić. A poza tym z kim? Emily, ja i nasze zwierzę — czyż mogłyśmy wyruszyć same? Nie odchodziły żadne plemiona, żadne się nawet nie formowały, i gdy spoglądałyśmy z okien na trotuar, nie widać tam było nikogo. Zostałyśmy w tym zimnym mroku zimy bez końca. Było tak ciemno, panowała taka obwisła, gęsta ciemność. Wokół nas czarne wysokie wieże wyrastały ze śniegu, który piętrzył się u ich podstawy, co dnia wyższy. Żadnych świateł w tych budynkach, nic; jeśli jakieś okno załśniło podczas długiej, czarnej nocy, to tylko światłem księżyca, który na krótką

288

289

chwilę wyłaniał się między jedną pędzącą chmurą a drugą.

Pewnego popołudnia, na jakąś godzinę przed zachodem, Emily, wyglądając przez okno, krzyknęła nagle:

— O nie, nie, nie!

Podeszłam do niej i na głębokim, czystym śniegu, wysokim aż po ponure gałęzie, ujrzałam Geralda. Miał na sobie strój dzielnego rozbójnika, ale rozpięty, jakby nie dbał o przenikliwy ziąb; był z gołą głową i poruszał się tak, jakby był w tym mieście zupełnie sam i jakby nikt nie mógł go widzieć. Wracał do chwil — tak w końcu niedawnych — swych triumfów, kiedy to był panem trotuaru, szefem gromadzących się plemion? Rozglądał się wokół, patrząc na wspaniałą kruchość śniegu, spoglądał w górę na niskie chmury niosące z zachodu swe ciemne wnętrza, na czarne drzewa okryte bielą; stał tak przez pewien czas, całkowicie biernie, i spoglądał zamyślony lub nieobecny duchem. A Emily patrzyła i czułam, jak narasta w niej gorączkowy lęk. Teraz już we troje patrzyliśmy na Geralda, a w innych oknach oczywiście inni ludzie. Był bez broni. Gołe ręce trzymał w kieszeni lub luźno opuszczone. Wyglądał na zupełnie zobojętniałego, rozbroił się i było mu wszystko jedno.

Potem jakiś mały przedmiot przemknął koło niego niczym pędzący ptak. Rzucił szybkie obojętne

290

spojrzenie w stronę bloku i pozostał tam, gdzie był. Zaczęła się drobna ulewa kamieni, z okien nad nami proce lub coś jeszcze gorszego ćwiczyły się w celowaniu doń. Kamień trafił go w ramię, mógł trafić w twarz lub nawet w oko. Zobaczyliśmy, że Gerald obraca się i staje twarzą ku budynkowi, rozmyślnie wystawiając się na cel. Opuścił ręce wzdłuż boków i stał tak w milczeniu, bez uśmiechu, ale i bez troski, bez niepokoju, czekając; wzrok miał utkwiony w czymś lub kimś w oknie, prawdopodobnie o piętro wyżej od nas.

— O nie — powiedziała znów Emily.

Błyskawicznie owinęła się szalem jak wieśniaczka, wyszła i za chwilę zobaczyłam ją, jak przebiega przez ulicę. Hugon dyszał, wydając krótkie jęki trwogi, a wokół jego nosa rosła na szybko mgiełka. Położyłam dłoń na jego karku, uspokoił się nieco. Emily ujęła Geralda pod ramię i mówiła coś do niego, usiłując go sprowadzić z trotuaru i ulicy w naszą stronę. Posypał się deszcz kamieni, kawałków metalu, odpadków, śmieci. Na skroni Geralda pojawiła się krew, a trafiona kamieniem w pierś Emily zachwiała się i cofnęła o krok. Gerald, oprzytomniawszy w obliczu grożącego jej niebezpieczeństwa, osłonił ją ramieniem i odprowadził do budynku. Na górze dzieci krzyczały, wrzeszczały i śpiewały swoje: „Ja jestem wielki pan...”. Tupanie i śpiew trwały tam nadal, gdy Gerald i Emily

291

pojawił się u mnie, gdzie czekałam na nich wraz z Hugonem. Gerald był błydy jak ściana, a na czole miał głębokie rozcięcie, które Emily obmyła i opatrzyła, on zaś zażądał, by sprawdziła, czy

kamień jej zbyttno nie zranił; miejsce było stłuczone, ale nic poza tym.

Emily posadziła go przy kominku, sama usiadła obok niego i rozcierała mu dłonie.

Był bardzo cichy i przygnębiony.

— Ale to przecież małe dzieciaki — powiedział, spoglądając na Emily, na mnie, na Hugona. — Tylko małe dzieciaki.

Jego twarz wyrażała niedowierzenie i ból; nie wiem, co w Geraldzie nie pozwalało mu — nawet teraz — znieść tego, co się zrobiło z tych dzieci. Wiem jednak, że tkwiło w nim głęboko, w samym sercu, i że wyrzec się tego oznaczało — tak to odczuwał — odrzucić najlepszą część siebie.

— Wiesz co, Em, ten mały, Denis, ma cztery lata, tak, cztery. Znasz go, prawda, wiesz, o którego mi chodzi? Był tu na dole ze mną kilka dni temu, taki mały z kościstą twarzą.

— Tak, pamiętam, ale Gerald, ty musisz się pogodzić...

— Cztery — powtarzał — cztery. Nie więcej. Stwierdziłem to po czymś, co kiedyś powiedział.

Urodził się w roku, kiedy pojawiły się na tym terenie pierwsze wędrujące grupy. On też chodzi z in-
292

nymi, jest tak samo dzielny jak oni. Czy wiesz, że był przy tej sprawie... wiesz, kiedyś wieczorem?

— Przy morderstwie? — spytałam, bo Emily milczała, rozcierając mu nadal zmarznięte dłonie.

— Tak, no... tak, przy morderstwie. Był z nimi. Kiedy wróciłem tamtego wieczoru, straciłem panowanie nad sobą. Miałem tego naprawdę dość. Powiedziałem im... i wtedy jeden powiedział, że to Denis zrobił, że on pierwszy zaczął, czym tam miał, chyba kamieniem. On był pierwszy, a za nim inni... cztery lata. A kiedy wróciłem do mieszkania, ten martwy człowiek tam leżał, i one wszystkie tam były... Denis też, całe życie był z nimi, brał udział... to nie ich wina, cóż one są winne? Jak można potępiać czteroletnie dziecko?

— Nikt ich nie potępia — powiedziała łagodnie Emily.

Jej oczy lśniły, twarz miała bladą, siedziała przy Geraldzie, jakby trzymała straż i chroniła go, jakby uratowawszy go teraz, postanowiła już go nie wypuścić.

— Ale jeśli nikt ich nie ratuje, to znaczy, że się je potępia, prawda? Prawda? — zwracał się teraz do mnie.

Siedzieliśmy, czuwając przez całą długą noc. Oczekiwaliśmy, rzecz jasna, jakiegoś ataku, odwiedzin, poselstwa, w każdym razie czegoś. Nad nami wielki, pusty budynek pogrążony był w
zupełnej

293

ciszy. A przez cały następny dzień padał śnieg, było ciemno i zimno. Siedzieliśmy, czekali, ale nic się nie działo.

Wiedziałam, że Emily spodziewa się, iż Gerald wybierze się na górę, by sprawdzić, co tam się dzieje. Chciała mu to odradzić. On jednak nie poszedł; po paru dniach powiedział tylko:

— Może się przeprowadziły w inne miejsce.

— A zwierzęta? — zawołała poruszona do głębi Emily, myśląc o biednych stworzeniach z góry.

Uniósł głowę, spojrział na nią i zaśmiał się krótko, jak to czyni ktoś, kto w myśli skończył z czymś: podjął decyzję, ale jest to decyzja podszyta ironią lub pełna rozterek.

— Jeśli tam pójdę, mogę w to wejść na nowo, co nie byłoby dobre. A zwierzęta muszą sobie radzić jak wszyscy; zresztą na górze mieszkają jeszcze jacyś ludzie.

I tak żyliśmy sobie spokojnie, cała nasza czwórka.

Wszystko to się skończyło, ale nie potrafię powiedzieć, w którym momencie po przyłączeniu się Geralda do nas. Trwaliśmy, czekając na koniec zimy i wiedząc, że będzie ona długa, ale nie tak długa, jak nam mówią nasze znużone zmysły: niezmiernie długi czas, ale i tak nie dłuższy niż zima. Potem pewnego poranka na ścianie zjawiała się żółta plama, ukryty ornament został przywrócony do życia. Moje poczucie, że na to właśnie czekaliśmy,

294

było tak silne, iż zawołałam do nich, choć jeszcze spali.

— Emily, Emily! Gerald i Emily, chodźcie szybko. Hugon, gdzie jesteś?

Z jej pokoju przyczłapało to niezmożone zwierzę, a za nim pojawili się Gerald i Emily, zawinięci w futra, ziewający, rozczochrani, niezdziwieni, ale oczekujący wyjaśnienia. Hugon w ogóle nie był

zdziwiony: z natężoną uwagą, ożywiony, stał przed ścianą, patrząc na nią tak, jakby to, czego chciał, pragnął i o czym wiedział, że się zdarzy, wreszcie nadeszło, a on był na to gotowy. Emily ujęła Geralda za rękę i wraz z Hugonem przebyli lesistą ścianę i weszli do... trudno precyzyjnie powiedzieć, co się właściwie zdarzyło. Byliśmy w miejscu, które dawało nam wszystko — pokoje umeblowane tak i owak, eksponujące gusta i zwyczaje całych tysiącleci, zniszczone ściany, upadające, rosnące na nowo, dach domu niczym poszycie leśne, z trawą i gniazdami ptaków, zniszczone, zaśmiecone, ograbione pokoje, jasnozieloną polanę pod chmurami ślącymi grzmoty i błyski, a na polanie ogromne czarne jajo z porowatego żelaza, jednakże wypolerowane i szkliste, a wokół niego, odbijając się w czarnej, lśniącej powierzchni, stali Emily, Hugon, Gerald i jej ojciec oficer, jej duża, roześmiana, dzielna matka i mały Denis, czteroletni zbrodniarz, uczepony ręki Geralda, ściskający ją

295

i zaglądnący mu z uśmiechem w twarz — stali, patrząc na to żelazne jajo, dopóki nie rozpadło się, zniszczone siłą ich obecności, i wyłoniła się z niego... pewna scena, coś jakby ludzie w cichym pomieszczeniu, pochylający się, by położyć właściwą część wzorzystego materiału na dywan, który nie miał w sobie życia do momentu, gdy wypełniły go te dokładnie pasujące kawałki — a jednak nie, tego nie widziałam, a jeśli nawet, to nie dość wyraźnie... ten świat przedstawiający się tysiącem drobnych błysków, natłok małych scenek, zarysy nowego obrazu, wszystko nietrwałe, zwijał się, w miarę jak się weń zagłębialiśmy, zwijał się w sobie, znikał, zmniejszał i przepadał — wszystko: drzewa i strumienie, trawy, pokoje i ludzie. Ale ten jeden człowiek, którego przez cały ten czas szukałam, był tam: Ona.

Nie potrafię powiedzieć jasno, jak wyglądała. Była piękna: oto odpowiednie słowo. Ujrzałam ją tylko na moment, niczym gasnącą iskierkę w mroku — na mgnienie oka; zwróciła twarz ku mnie tylko raz, a ja wszystko, co mogę powiedzieć, to... nic w ogóle.

Obok niej, gdy odwróciła się, by odejść, i szła przed siebie, a świat skupiał się wokół niej, kroczyła Emily, obok Emily Hugon, za nimi zaś włócił się Gerald. Emily — ale całkiem inna, przemieniona, w innej tonacji, a żółte zwierzę Hugon dostosowy-

296

wało się do jej nowego ja: wspaniałe stworzenie, piękne, sama życzliwa godność i dostojność. Szedł obok niej, a ona opierała dłoń na jego karku. Oboje szli szybko za Tą, która prowadziła, ukazując im drogę wyjścia z tego upadłego małego świata w zupełnie inny porządek. Oboje tylko na mgnienie odwrócili głowy, gdy przekraczali ten inny próg. Uśmiechnęli się... widząc to, Gerald podążył za nimi, ale ciągle się wahał, pełen lęku i rozterek, oglądał się wstecz, rozglądał wokół, gdy lśniąca okrucy wirowały wokół niego. A potem, w ostatniej chwili, nadeszły, nadbiegły jego dzieci, uczepony się jego rąk i ubrania i wszyscy pospieszyli za tamtymi, gdy rozmywały się ostatnie mury.

»

Redaktor prowadzący Barbara Górka

Korekta

Henryka Salawa, Urszula Srokosz-Martiuk, Elżbieta Stanowska, Barbara Wojtanowicz, Maria Wolańczyk

Projekt okładki i stron tytułowych Marek Pawłowski

Na okładce wykorzystano zdjęcie Doris Lessing fot. Martin Cleaver/AP PHOTO/Agencja Gazeta

Redakcja techniczna Bożena Korbut

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book 70 g, vol. 2,0

Wydanie drugie

Printed in Poland

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2007

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

bezpłatna linia telefoniczna: 0 800 42 10 40

księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

e-mail: księgarnia@wydawnictwoliterackie .pi

fax: (+48-12) 430 00 96

tel.: (+48-12) 619 27 70

Skład i łamanie: Infomarkęj

Druk i oprawa: Drukarnia GS Kraków